

● PREZYDENT PUTIN:
dyktator
i demokrata
w rękach KGB

S. 42



● TEMAT NUMERU: **Rok w Unii**
JAK BRAĆ PIENIĄDZE,
CHOCIAŻ NIE DAJĄ?

S. 54

Uwaga:
„Przekrój”
dostępny także
bez filmu
za 4,50 zł



PRZE
KT

Świnia czy gadująca

**NAJSZTUB PYTA
OJCA HEJMĘ**

S. 12

nr 19 / 3124
5 maja 2005
cena z DVD
11,90 zł
w tym 7% VAT/



FAKTY **LUDZIE** **OPINIE**



Indeks 31/424

GDYBY NIE TWOJE BYSTRE OKO, TO NIE ZNALAZŁBYŚ TEJ ATRAKCYJNEJ OFERTY



WYKORZYSTAJ SWÓJ ZMYŚŁ DO ROBIENIA INTERESÓW. UWZGLĘDNIŁYŚMY SILNĄ POZYCJĘ ZŁOTÓWKI I OBNIŻYLIŚMY CENY NA WSZYSTKIE MODELE VOLVO. MY GWARANTUJEMY CI STAŁE CENY W ZŁOTÓWKACH, A TOBIE POZOSTAJE TYLKO WYBRAĆ WŁAŚCIWY MODEL. NOWE VOLVO S40 1.6 TERAZ JUŻ OD 81 900 PLN! NIEPRAWDOPODOBNE?

TERAZ OD 81 900 PLN!



SPRAWDŹ NASZE NOWE CENY NA WWW.VOLVOCARS.PL, POD NUMEREM INFOLINII 0 801 1 VOLVO (0 801 1 86586), 0 502 2 VOLVO (0 502 2 86586) LUB U AUTORYZOWANYCH DEALERÓW VOLVO

VOLVO
for life

PRZE
KRÓJ

RACZKOWSKI na Czwartek



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o niezwykle pracowitym weekendzie polityków i polityków wszystkich opcji. Bo mimo heroicznych wysiłków wiele nowego w swój obraz nie wnieśli: – **wicepremier Izabela Jaruga-Nowacka** podczas niby-pochodu odkrywczo zapewniała nielicznych zgromadzonych, że 1 maja jest „świętem ludzi, świętem praw pracowniczych, świętem godności ludzi pracy”; – **kandydat SdPi na prezydenta Marek Borowski** starał się przekonać samego siebie: „Jestem tutaj, bo tu trzeba być 1 maja. W dniu Święta Pracy wszystkie partie lewicowe (...) w tej sprawie muszą być zjednoczone; prawa ludzi pracy, solidarność społeczna to są te wyróżniki, które jednoczą partie prawdziwie lewicowe”. I nawet siebie nie przekonał; – **wiceprzewodniczący OPZZ Ryszard Łepik** mówił do ludzi

władzy, że władza musi bardziej wsłuchiwać się w związkowe postulaty – demokracji, pracy i chleba. A **Nowa Lewica** na swoich plakatach przedstawiła ideał robotniczo-uczniowski życia: „8 godzin pracy, 8 godzin odpoczynku, 8 godzin snu”. Jej lider Piotr Ikonowicz nadal żyje w XIX wieku, więc wykrzykiwał: „Musimy się organizować, żeby walczyć o prawa ekonomiczne i polityczne. Wciąż toczy się walka klas!”. Niestety, nie podał, do której klasy chodzi; – **znacznie większych uniesień doznawał prezes PiS Jarosław Kaczyński** podczas dwóch pierwszych imprez w ramach kampanii wyborczej „Wiosna Polaków”. Jak zawsze pamiętał o wszystkich niezbędnych wartościach, więc Marka Borowskiego zaliczył do grupy „krętaczy z lewej strony”, a Maciejowi Giertychowi

przypominał, że był „chwalcą Armii Czerwonej” i „zdradzał Polskę”. Będzie to jeszcze powtarzał co najmniej 18 razy, bo tyle miast ma zamiar odwiedzić; – **nowa partia Ruch Odrodzenia Gospodarczego** zdołała podczas swego I kongresu określić program gospodarczy. Jego główne hasło to: „Mieszkanie i praca”. Czyli jest wreszcie partia bezdomnych i bezrobotnych; – **na kongresie LPR** dowiedzieliśmy się, kto by nami rządził, gdyby Giertych został premierem (żołnierze! waszym ministrem będzie Zygmunt Wrzodak), ale jak wynika ze słów samego Giertycha, i tak do tego nie dojdzie. „Koniec Okrągłego Stołu i koniec »grubej kreski« to fundamenty IV Rzeczypospolitej”. Bo cóż to za fundament zbudowany na końcu kreski i gdzie jest koniec czegoś, co jest okrągłe?

CYTAT tygodnia

Dominikanie prowadzili działalność inkwizycji. Bądźmy spokojni, oni sobie poradzą

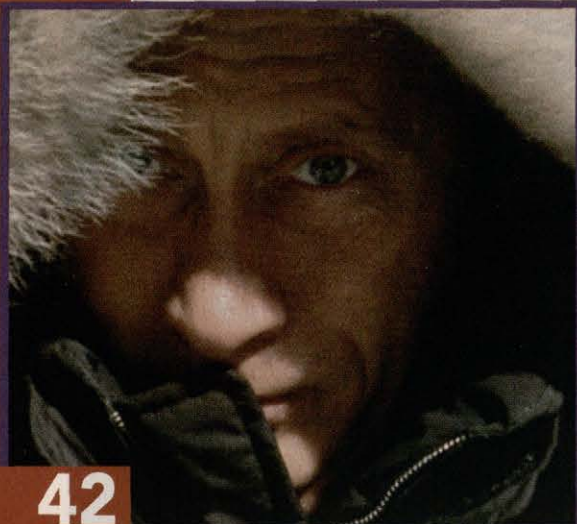
KS. ADAM BONIECKI, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”, zapytany, co zakon zrobi z oskarżonym przez IPN o współpracę z SB ojcem Konradem Hejmą



Foto: PIOTR MAŁECKI/FORUM

spis prawdziwych treści s. 4

42

Władimir
Putin

Fot. CORBIS/FREE

POWIEKSZENIE

6 PYSKI MAJOWE

NAJSZTUB PYTA

12 GADUŁA CZY ŚWINIA?
Liczę, że będzie jednak jakaś
sprawiedliwość w Polsce
i następny gabinet inaczej
potraktuje tę sprawę
– pociesza się o. Konrad
Hejmo

16 HEJNAŁ Z IPN
Ojciec Konrad Hejmo
– zdrajca czy ofiara?

22 KOMENTARZE PIOTRA
NAJSZTUBA I WAWRZYŃCA
SMOCZYŃSKIEGO

KRAJ

24 PRZEKRÓJ TYGODNIA

26 UTRACONA ŚWIEŻOŚĆ
Polskie wędliny są tak
nasączone wodą, że potrafią
pełzać, i tak naszpikowane
chemią, że nigdy się nie
popusują

ALE O CO CHODZI

30 POKRĘCONY JARUZELSKI
Kogo chce reprezentować
Jaruzelski w Moskwie?
A kogo powinien

ZAGRANICA

32 PRZEKRÓJ TYGODNIA

34 WOJNA O HISTORIĘ
Czym różni się masowa
egzekucja od misji
pokojowej? Miejscem,
z którego obserwuje się
wydarzenie

38 OCZERNIANIE I WYBIELANIE
MICHAELA JACKSONA
W tym procesie nie chodzi
o prawdę, tylko o dobre
widowisko



38

Proces Jacksona
– tym żyje
Ameryka

ALE O CO CHODZI

40 PÓŁTORA ROKU KAMPANII
WYBORCZEJ
Joseph Ratzinger jest
zwycięzcą udanej i świetnie
przygotowanej kampanii
wyborczej

LUDZIE

42 ZAGADKA PUTINA
W życiorysie Władimira
Putina wszystko
jest radzieckie,
jakby był kwintesencją
sowieckiej historii

48 NIEDOŚCIGNIONY
Dariusz Przywieczerski
– dinozaur polskiego biznesu
– poszukiwany listem
gończym

SPOŁECZEŃSTWO

BIZNESMAGAZYN MOSZA

52 Jest dobrze, a będzie
jeszcze lepiej – nie boimy
się Unii

TEMAT „PRZEKROJU”

54 JAK BRĄC, KIEDY NIE DAJĄ
Dostaliśmy dużo pieniędzy
z Unii, ale nie potrafiliśmy
ich nawet rozdać

OBYCZAJE

60 CZAS NA BANK
Oszczędzaj czas w... banku

NAUKA

68 PO CO NAM SZTUKA?
...aby uwodzić kobiety

72 Z KOMÓRKĄ DO BOJU
Jak telefonem komórkowym
odpalić rakietę

PATRZĄC I CZYTAJĄC

74 PIERWSI NAIWNI
Czy 8 maja jest naszym
dniem zwycięstwa?

KRÓTKA ROZMOWA

98 LEPSZE JUTRO BYŁO WCZORAJ
– do czasów rządów swego
ojca przekonuje Adam Gierk

TYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY

82 WYDARZENIE Art Poznań
84 FILM „Królestwo niebieskie”
86 MUZYKA bracia Waglewscy
88 KSIĄŻKI Eduard Limonow „To
ja, Ediczka”
90 GRY „Brothers In Arms: Road to
Hill 30”

ZAWSZE CZYTAJ

3 NA CZWARTEK RACZKOWSKI,
W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY
20 TECZKI OSOBOWE, ZALEWKA
KAZIMIERZA KUTZA
53 CENNIK
66 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ
95 RACZEJ RACZKOWSKI
96 KULINARNE PIÓRO POLSKI,
WINNY BIEŃCZYK, KRZYŻÓWKA,
JOLKA
100 ROZMAITOŚCI

26

Afera
kiefbasiana

POCZUJ SIĘ KOMFORTOWO



MOTOROLA V3

SUKCES W INTERESACH NIGDY NIE JEST PEŁNY, JEŚLI NIE DAJE ZADOWOLENIA
I KOMFORTU. WŁAŚNIE DLATEGO STWORZYLIŚMY KOMPLEKSOWĄ USŁUGĘ
DLA LUDZI BIZNESU – **KOMFORT PRESTIŻ 1400.**

NOWA TARYFA KOMFORT PRESTIŻ 1400 TO:

- 1400 DARMOWYCH MINUT NA POŁĄCZENIA
W SIECI ERA I Z TELEFONAMI STACJONARNYMI
- DARMOWE POŁĄCZENIA Z PRACOWNIKAMI
- ŻŁOTY NUMER ZA DARMO
- TANIE POŁĄCZENIA Z WYBRANYM KRAJEM
- I WIELE INNYCH PRESTIŻOWYCH USŁUG

ABONAMENT – TYLKO 390 ZŁ (475,80 ZŁ Z VAT)

WYJĄTKOWA PROPOZYCJA – TELEFON MOTOROLA V3 ZA 388 ZŁ (473,36 ZŁ Z VAT)

W ERA BIZNES NAPRAWDĘ MOŻESZ WIĘCEJ

BIZNES
MOŻESZ WIĘCEJ

SPRAWDŹ NA STRONIE WWW.ERA.PL LUB DZWOŃ 0 801 602 602

OPŁATA ZGODNA Z CENNIKIEM OPERATORA SIECI, Z KTÓREJ WYKONYWANE JEST POŁĄCZENIE. SZCZEGÓŁY OFERTY W REGULAMINIE DOSTĘPNYM W PUNKTACH SPRZEDAŻY SIECI ERA.

Okładka:
Fot. CHRIS HELGREN/
REUTERS/FORUM
GETTY/EAST NEWSJuż w sprzedaży
nowy album
z kolekcji
„Przekroju”

sluchaj audycji **PRZEKROJOWA SPRAWA**

RADIO 94

W czwartek 5 maja
o godzinie 21.00
Tomek Kin zaprasza
na program pod tytułem
„BANKI CZASU”

Warszawa 94 FM
Katowice Radio Flash 106.3 FM

PYSKI MAJOWE

W Święto Pracy na całym świecie zapłonęły podobizny wrogów klasowych. Przez jeden dzień lud pracujący miast i wsi hulał na potęgę, a potem wszyscy jak co roku wrócili do pracy

W Manili związkowcy spalili kukłę filipińskiej prezydent Glorii Macapagal Aroyo. Lewicowe bojówki oskarżają ją o prowadzenie rabunkowej polityki, która powiększa obszary nędzy. 1 maja pałacu prezydenckiego strzegły specjalne oddziały wojska

W Polsce Święto Pracy
wpisało się w kampanię
wyborczą. Pozaparlamentarna
lewica awansem wyżywała się
na liderach prawicy za to,
co chcą zrobić,
gdy przejmą władzę

W Warszawie działacze kanapowej
partii Nowa Lewica Piotra Ikonowicza
przemaszzerowali ulicami z podobiznami
braci Kaczyńskich, Jana Rokity
i Romana Giertycha jako Frankensteina



W POZNANIU PÓŁNADZY CZŁONKOWIE PRAWICOWEGO RUCHU NASZOŚĆ Z ROGAMI NA GŁOWACH ZAKŁÓCILI POCHÓD SLD. – JESTEŚMY JELENIAMI. BO GŁOSOWALIŚMY NA WAS – MÓWILI

W ROSJI OBCHODY 1 MAJA ZBIEGŁY SIĘ Z PRAWOSŁAWNĄ WIELKANOCĄ. MIMO TO NA ULICE PRZYWROCILIŁY PORTRETY LENINA I STALINA

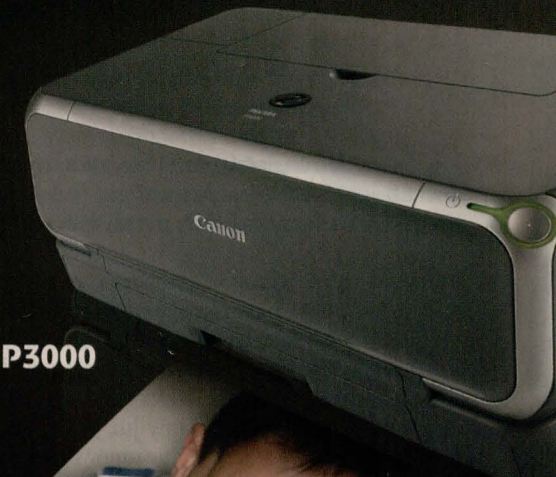


Dla rosyjskich komunistów, którzy wiodli prym w moskiewskich pochodach, Putin jest marionetką w rękach Amerykanów. Jak zwykle 1 maja nie zabrakło też nostalgii za ZSRR

W Moskwie 20 tysięcy związkowców, nacjonalistów i komunistów przemarszowało ulicami miasta. Ci ostatni na smyczy przyprowadzili pod Kreml Putina

PIXMA

iP3000



Oryginalny Papier FOTO



10 x 15 cm,
13 x 18 cm, A4

+

Drukarka
PIXMA



iP2000, iP3000, iP4000,
iP5000, iP6000D, iP8500

=

Domowy FOTO LAB

PIXMA – wypróbuj ją za darmo!!!

www.canon.pl

you can
Canon

Kiedy się ojciec dowiedział, że zdaniem IPN tym głośnym współpracownikiem SB w Watykanie jest on sam?

– Dopiero na lotnisku, kiedy już miałem wsiadać do samolotu do Polski.

Ale ojciec mówił później w wywiadach, że już wcześniej prowadził jakieś rozmowy z IPN-em przez znajomych, umawiał się ojciec. Po co, skoro nie podejrzewał, że chodzi o niego?

– Były rozmowy, bo chodziło o to, żeby sprawdzić, kto to jest, żeby w razie czego pomóc komuś, bo księża są zaprzyjaźnieni, ze wszystkimi się pracuje. Więc jeżeli mamy już jakiś kontakt, dojścia tam do IPN, to prosiłem kolegę, żeby mnie umówił. Myślałem: Polecę do Warszawy i przynajmniej tyle że się dowiem. Prawieśmy już mieli schodzić na stronę polską do samolotu i przez komórkę mi powiedziano, że przed chwilą ogłoszono, że to ja jestem tym... Nie polecałem więc, bo jazda byłaby właściwie bezprzedmiotowa.

Można by pomyśleć, że się ojciec wystraszył.

– Nie, to był dla mnie tylko ogromny szok.

Minęło kilka dni od oskarżenia. Żyje ojciec normalnie, tak jak jeszcze kilka dni temu?

– Muszę tak samo pracować, nie ma innego wyjścia. Ale bardzo to przeżywam, mam bardzo dużo życzliwych telefonów, ludzie modlą się, msze odpowiadają w mojej intencji. Trochę było zamieszania w Domu Pielgrzyma, a przede wszystkim to straszne uderzenie w siostry, które ze mną pracują.

Co one na to oskarżenie?

– Nie przewidywały czegoś takiego.

A jak pielgrzymi odnoszą się do ojca?

– Pielgrzymi spokojnie, oni się ciągle zmieniają.

Rozmawia ojciec z nimi o tym?

– Tak, ja jestem otwarty, dlatego że nigdy nie byłem jakimś takim podpisanym agentem. W każdym razie nie miałem i nie mam żadnych wyrzutów sumienia czy czegośkolwiek, po prostu pracowałem bardzo oddanie i dla Ojca Świętego, i dla pielgrzymów.

W którym roku wylądował ojciec w Rzymie?

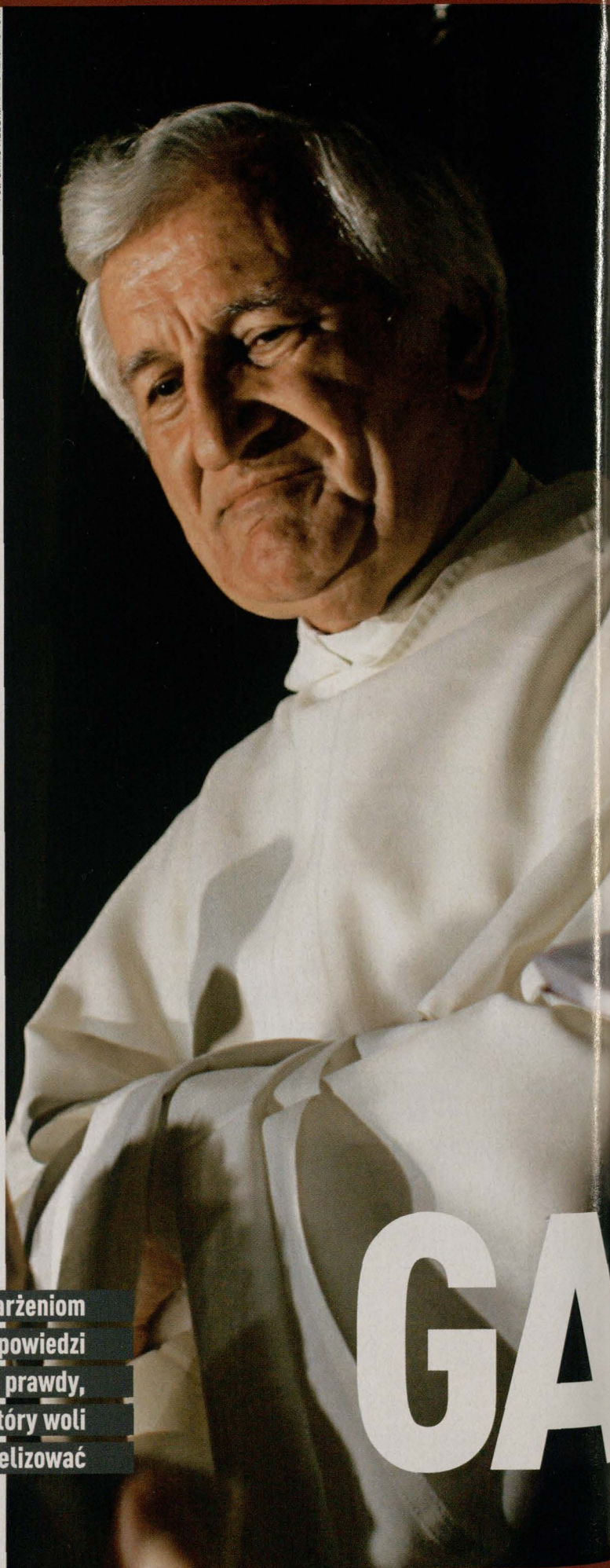
– To było dokładnie po pierwszej wizycie ojca świętego Jana Pawła II w Polsce. Przyjechałem tu we wrześniu 1979 roku, natomiast przedtem normalnie pracowałem w zastępstwie duszpasterza akademickiego w Gdańsku. I akurat tam się spotkałem z opozycją. A jeszcze wcześniej w duszpasterstwie akademickim w Poznaniu.

A w Gdańsku z kim z opozycji się ojciec spotkał?

– To był '77, '78..., nie pamiętam.

Wtedy w Gdańsku działały już wolne związki zawodowe. Może to był ktoś stamtąd?

– Tak, tak, jak ja przyszedłem, to już była ta akcja bardzo zaawansowana. Przyszedłem jako zastępstwo na miejsce ojca Ludwika Wiśniewskiego, którego biskup Kacmarek nie życzył sobie dalej, bo on się właśnie angażował w te grupy opozycyjne. Władza miała swoje wpływy również w Kurii i chciała, że tak powiem, pozbyć się tego



Ojciec KONRAD HEJMO zaprzecza oskarżeniom

o donosicielstwo. Ale z za jego wypowiedzi

co chwila wyłania się rąbek smutnej prawdy,

historia człowieka, który woli

nic nie pamiętać i wszystko bagatelizować

GADUŁA CZY ŚWINIA?

duszpasterza akademickiego. I ojciec Ludwik stamtąd odszedł. I biskup wtedy z tych kandydatów, którzy byli mu podani, przyjął mnie.

Dlaczego właśnie ojca?

– Dlatego że ja chodziłem na wykłady biskupa Kaczmarka w Warszawie, w Instytucie Życia Wewnętrznego kształcącego wychowawców. I ja na to chodziłem. Na wykłady przyjeżdżał z Gdańska raz w miesiącu. Mieszkając w Warszawie u dominikanów, zawsze biskupa oprowadzałem po mieście, a przede wszystkim pomagałem mu robić zakupy liturgiczne.

Czyli ojciec został mianowany z powodów pozamerytorycznych.

– Tak.

Czy ojciec wdawał się po mianowaniu w kontakty z opozycją, skoro ojca poprzednik za zbyt bliskie takie kontakty został przeniesiony?

– Trochę się wdawałem, z tym że trochę ogłędnie.

I w tamtych czasach w Gdańsku nachodzili ojca funkcjonariusze SB?

– W zasadzie nie. Bardziej szli do przeora.

Nie było żadnych prób spotkań?

– Spotkania były, ale liturgiczne. Myśmy musieli robić rzeczy pobożne, żeby nie stwarzać atmosfery poprzednio napiętnowanej.

Ojciec mówi o spotkaniach z młodzieżą, a ja mówię o spotkaniach z ewentualnymi funkcjonariuszami SB.

– Nie znałem nikogo z nich i w ogóle przez te sześć miesięcy, co tam byłem, to nikogo u mnie nie było. Z Gdańska zostałem przeniesiony do Warszawy na czas przygotowania wizyty ojca świętego Jana Pawła II. W czasie wizyty byłem w biurze prasowym jako przedstawiciel sekretariatu episkopatu Polski. W Teatrze Wielkim mieliśmy taki zakątek i tam działało biuro prasowe.

A wtedy funkcjonariusze się do was zgłaszali z jakimiś propozycjami?

– Trudno powiedzieć, kto tam był funkcjonariuszem, a kto nie. Tam właściwie połowa to byli funkcjonariusze.

Po co kardynał Wyszyński wysłał ojca do Rzymu?

– Najpierw na kurs języka włoskiego. I miałem wrócić i pracować w sekretariacie episkopatu Polski przy arcybiskupie Dąbrowskim i przy księdzu, obecnie biskupie, Orszuliku. Powiedzieli, że lepiej będzie, jak jeszcze raz pojadę do Rzymu, tym bardziej że kardynał Wyszyński miał taką myśl, że ponieważ mamy swojego Papieża w Rzymie, to trzeba będzie śledzić informacje w prasie włoskiej o Kościele polskim.

Żeby wyjechać, ojciec musiał dostać paszport. Były jakieś trudności, były jakieś rozmowy?

– Nie, oni załatwiali to oficjalnie.

Nie musiał ojciec osobiście odbierać paszportu?

– Byliśmy razem, bo wtedy więcej osób jeszcze jechało.

Wylądował ojciec w Rzymie i nie za bardzo miał ojciec z czego tutaj żyć.

– Pierwszą pracą miało być Radio Watykańskie. To nie przeszło. Nie dostałem miejsca do pracy i zostałem w pewnym momencie na lodzie. Powiedziano mi, że muszę sobie poszukać mieszkania i dlatego wpisałem się jako student do uniwersytetu Angelicum, bo wtedy miałem tańsze mieszkanie. I ponadto polecono mi robić prasówki.

A kiedy pojawił się ten tajemniczy Andrzej M., o którym ojciec mówi, że to jest być może ta osoba, która ojca w to wszystko wplątała?

– Ten człowiek był już znany w środowisku rzymskim. Ja byłem człowiekiem obcy, nikomu nic niewinny ani niczego się niespodziewający, siedziałem w Angelicum, brałem gazety, szedłem do czytelnicy i je tłumaczyłem. Nieudolnie, bo dopiero zacząłem robić kurs języka włoskiego.

I kiedy pojawił się Andrzej M.?

– On już był.

Ale jak go ojciec poznał?

– Zwyczajnie, przyprowadzono mi go.

Kto przyprowadził?

– Pewien ksiądz, on już nie żyje. Andrzej M. tu był znany wśród księży.

Przyprowadził go i co dalej?

– On miał rodzinę, a ponieważ ja chodziłem trochę ze znajomymi, pielgrzymami, których mi podrzucano do oprowadzania po Rzymie, to i jego przyprowadzono mi, żeby oprowadzić. Oprowadziłem, na koniec była jakaś kolacja. Potem ten ksiądz, który był z nim zaprzyjaźniony, powiedział mi, że on ma taką robotę, żeby chciał te materiały, co ja ja mam, po prostu zobaczyć. Że to jest mu potrzebne.

Ale że jaką ma robotę?

– Andrzej M. oficjalnie był pracownikiem banku, a poza tym był doradcą episkopatu niemieckiego.

Ojciec sprawdzał, czy rzeczywiście był tym doradcą?

– Nie, nigdy nie sprawdzałem, bo nie miałem żadnego powodu.

Przyjeżdżali tu księża niemieccy, może można było ich zapytać?

– Można było na pewno.

Jak się wasz kontakt rozwijał?

– Zwyczajnie, jak pracowałem, to przychodził, przeglądał te teksty, streszczenia i czasem mu się to podobało i mówił, że mu się to przyda. Czasem, jak nie było napisane do końca, to włączał magnetofon, że potem sobie przepisze te nagrane teksty.

Nagrywał wasze rozmowy?

– Czasem nagrywał. Nagrywał często, jak byliśmy w barze, z innymi również, to czasem mówił: Mam krótką pamięć, a żona czeka, dzieci, to niech sobie posłuchają.

Nie zaniepokoiło to ojca?

– Mnie to zaniepokoiło w dosyć krótkim czasie. Już byłem na dyktans. Natomiast tamci inni księża mi powiedzieli: Daj sobie spokój, to jest swój człowiek, księża do niego jeżdżą do Niemiec.

A te rozmowy z ojcem, które on nagrywał, czego dotyczyły?

– No, sytuacji tutaj, Kościoła polskiego. Albo jak się wydarzały jakieś sprawy na uniwersytecie Angelicum, w pewnym momencie ksiądz Küng został wyrzucony z uczelni, to o tym.

Kiedy ojciec rozmawiał z nim po raz ostatni?

– Ostatni raz go widziałem w '81, natomiast wiem, że do księży przychodził jeszcze w '83. Nigdy nie przypuszczałem, że on jest agentem z Polski. Dlatego bardziej myślałem, że on jako pracownik czy też pomocnik niemieckiego episkopatu, że ma jakiś interes od tej, od zachodniej strony.

Że jest przedstawicielem niemieckich, zachodnich służb specjalnych?

– Tak, dlatego że on się odrzekał całkowicie od PRL-u.

Czy Andrzej M. jakoś wynagradzał ojcu tę pracę i nagrania? Płacił za to?

– On bezpośrednio na pewno nie.

Jak mam to zrozumieć?

– Więcej nie będę o tym mówił. Jeżeli, to tylko że oni byli na tyle mądrzy, że pieniędzy do ręki nie dawali.

W materiałach IPN jest podobno podpisanych przez ojca 20 pokwitowań odbioru pieniędzy.

– Oni mieli taktyki tego rodzaju, że można było w ogóle tego podpisywania nie widzieć, a ono było.

Oni, czyli SB?

– Tak, tak że w sumie, w zasadzie tak.

I naprawdę nie dziwią ojca te pokwitowania?

– Mnie nie dziwią, dlatego że on miał manię zbierania pokwitowań. I nawet żądał pokwitowania, jak się szło do restauracji, mówił tak: Episkopat niemiecki to będzie musiał zapłacić, więc dlatego przynajmniej jeden uczestnik kolacji musi podpisać się na pokwitowaniu. On zbierał pokwitowania, bo mu były do czegoś potrzebne.

Czy oprócz Andrzeja M. miał ojciec kontakty pozazawodowe, które miały w sobie element zapłaty?

– W Rzymie tylko z Andrzejem M. Jeżeli są w teczce późniejsze jeszcze dokumenty, to są wszystko jakieś boczne donosy.

W wywiadzie dla „Corriere della Sera” ojciec powiedział, że w 1984 roku było spotkanie z Ojcem Świętym, w którym uczestniczyło kilku księży i między innymi został wywołany temat inwigilacji księży, i pojawiła się w opowieściach postać Andrzeja M.

– Nie chciałbym do tego wracać, dlatego że akurat temat jest zakazany, że tak powiem, u mnie w tej chwili.

Co wyście wtedy w Rzymie – księża, biskupi, a może i Ojciec Święty – myśleli o tym otoczeniu przez agentów SB? Czy wyście między sobą o tym rozmawiali, baliście się tego, chroniliście się przed tym?

– Nie, w zasadzie nie. Chociaż pielgrzymi zawsze ostrzegali, że wśród nich jest „najważniejsza osoba”, wiem też, że niektóre uczelnie miały swoich „opiekunów” polskich, szczególnie te, w których było dużo polskich studentów.

Czy w Domu Pielgrzyma, gdzie przyjeżdżały polskie pielgrzymki, staraliście się wyluskać tego, który być może jest tym podstawowym funkcjonariuszem?

– Nie, dlatego że myśmy przyjmowali, jacykolwiek by byli – i partyjni, i bezpartyjni, i wysoko partyjni, i nawet sekretarze – nie dochodziliśmy tych spraw. Bo przyjechał na spotkanie z Ojcem Świętym.

Mogło się zdarzyć tak, że był wśród pielgrzymów jeden, drugi, trzeci funkcjonariusz i wdał się z ojcem w rozmowę, a ojciec opowiadał, opowiadał, opowiadał i on potem miał z czego sporządzić raport?

– To możliwe. Traktowało się człowieka nie jak jakiegos szpiega, tylko normalnie jak pielgrzyma.

Ojciec uważa się za gadatliwego?

– Właśnie, niestety, tak wyszło.

Co to znaczy „tak wyszło”?

– Ja bardzo dużo pracowałem wśród studentów, a tam to trzeba było ciągle mówić i to na wszystkie tematy.

Czyli lepiej ojcu tajemnic nie powierzać?

– Lepiej nie, ale jak już pracowałem przy Papieżu od 1984 roku, to już się pilnowałem bardzo mocno.

Jaki jest ojca stosunek do agentów SB?

– No, najczęściej to byli nieszczęśliwi ludzie.

Ofiary?

– Człowiek po prostu złapany na czymś i spłacał dług. U niego sprawa była dosyć prosta, ja tego nie wiedziałem od niego, tylko od jego przyjaciela.

Mówi ojciec o Andrzeju M.?

– Tak. On był chłopak młody, 17 lat miał, w wojsku, w czasie wojny, z bronią w ręku. Jak kazali, to strzelał. Złapano go gdzieś w Lubelskiem i został skazany na karę śmierci. Potem mu ją zamieniono, jako młodemu, na ciężkie roboty we Wrocławiu. I potem z tego więzienia mu pozwolono uciec. I potem pojechał do Niemiec, znalazł żonę, też Polkę, ale z zachodnich krajów.

A to ojciec od początku znajomości z nim wiedział?

– Nie, to dopiero wyszło już prawie przy jego śmierci.



Ujawnianie tego to jest marnowanie tego księdza, bo on się załamie. Przecież może odprawiać mszę, spowiadać nawet, odpuszczać grzechy i dlatego szkoda by było to marnować. Jeśli będzie prześladowany przez środowisko, to nic z tego dobrego nie będzie

A jaki jest ojca stosunek do tajnych współpracowników, donosicieli?

– To najczęściej ludzie słabi, złapani na czymś i potem szantażowani, ale byli też z przekonania. Znałem takich komunistów z przekonania, utrzymujemy czasem kontakt.

A ojciec ma jakieś słabości, które mogłyby go narazić na szantaż, oprócz gadulstwa oczywiście?

– Zasadniczo jakoś od tego mnie opatrność boża uratowała, mimo że przecież pracowałem wśród młodzieży żeńskiej.

Ojca stosunek do lustracji, ujawniania agentów?

– Humanistyczne podejście powinno być zawsze, takie ludzkie. Żeby nie robić tak na siłę, wyrzucając z pracy, bo potem ten człowiek jeszcze niżej spadnie, nie mając oparcia, nie mając roboty, nie mając pieniędzy na utrzymanie.

A podoba się ojcu lustracja kleru?

– To nic nie pomoże, a tylko zaskodzi. Dopominanie się jakichś tam kar? To jest bez sensu.

Może samo ujawnienie dla poszanowania prawdy i żeby wszyscy wiedzieli, kto był kim w tych trudnych latach?

– To właściwie ludzie trochę wiedzą.

Wy to wiecie w swoim środowisku?

– To znaczy mniej więcej wiadomo. Ujawnianie tego to jest marnowanie tego księdza, bo on się załamie.

Ale skoro donosił na kolegów?

– Przecież może odprawiać mszę, spowiadać nawet, odpuszczać grzechy i dlatego szkoda by było to marnować. Jeśli będzie prześladowany przez środowisko, to nic z tego dobrego nie będzie.

Dopuszcza ojciec taką możliwość, że sam był współpracownikiem, ale nieświadomym, choć oni z wiedzy uzyskanej od ojca coś tam mieli?

– Nie ulega wątpliwości, że mieli, bo ta teczka wskazuje na to.

Gdyby ojciec był nieświadomym współpracownikiem, to powinna spotkać ojca za to jakaś kara czy nie?

– Co komu da ta kara, zasadniczo ja już swoje odcierpiałem.

A co będzie, jeżeli publicznie, ponad wszelką wątpliwość zostanie ojciec uznany za współpracownika SB, co wtedy ojciec zrobi?

– Nic, co ja mogę zrobić, nic.

Będzie ojciec mieszkał w tym Domu Pielgrzyma czy usunie się gdzieś w cień?

– Na razie nie biorę tego na serio, a ponadto przede wszystkim liczę, że będzie jednak jakaś sprawiedliwość w Polsce i następny gabinet inaczej potraktuje tę sprawę.

Nie mieszajmy w to polityki. Przecież ojca przełożony, ojciec prowincjał Zięba zajrzał do teczki – a nie do polityki – i mówił, że był porażony.

– No tak, no musiał coś powiedzieć.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
RZYM, 29 KWIETNIA 2005 R.



TVN, NIEDZIELA 20.00

Posłuchaj podpowiedzi.



Opel. Twórcze myślenie
lepsze samochody.

Rodzina daje Ci znaki, że czas na nowy samochód? Posłuchaj ich i ruszaj do salonu Opla. Tylko teraz czeka na Ciebie **Corsa, Astra Classic II, Meriva** i nowa **Astra** z klimatyzacją gratis oraz w promocyjnym kredycie 2,99%*. Odwiedź salon Opla.



klimatyzacja GRATIS!
kredyt 2,99%!

GMAC BANK
Polska S.A.

U dystrybutorów biorących udział w promocji. *) Minimalna wpłata własna 35%. Okres kredytowania 36 miesięcy. RRSO 3,03%

Żużycie paliwa oraz emisja CO₂: Corsa 1.0 – 4,8 l/100 km, CO₂ 115 g/km; Meriva 1.4 – 6,4 l/100 km, CO₂ 154 g/km; Astra 1.4 – 6,3 l/100 km, CO₂ 151 g/km; Astra Classic II 1.4 – 6,0 l/100 km, CO₂ 144 g/km (wg dyrektywy 199/100/EC, cykl mieszany). Informacje na temat złomowania samochodu, przydatności do odzysku oraz recyklingu są dostępne pod adresem internetowym: www.opel.com.pl

Jako opiekun polskich pielgrzymów decydował, kto pocałuje pierścień Papieża. Jako agent „Hejnał” ojciec KONRAD HEJMO miał pisać na niego donosy

Gdy prezes IPN Leon Kieres ujawniał nazwisko duchownego, który inwigilował dla SB Jana Pawła II, ojciec Konrad Hejmo był na rzymskim lotnisku, skąd miał odlecieć do Warszawy. Kilka dni wcześniej ktoś go zawiadomił, że jest wśród trzech duchownych podejrzewanych o współpracę z bezpieką. Telefon zadzwonił z Gdańska. Gdy dominikanin dostał wiadomość, postanowił odwiedzić IPN.

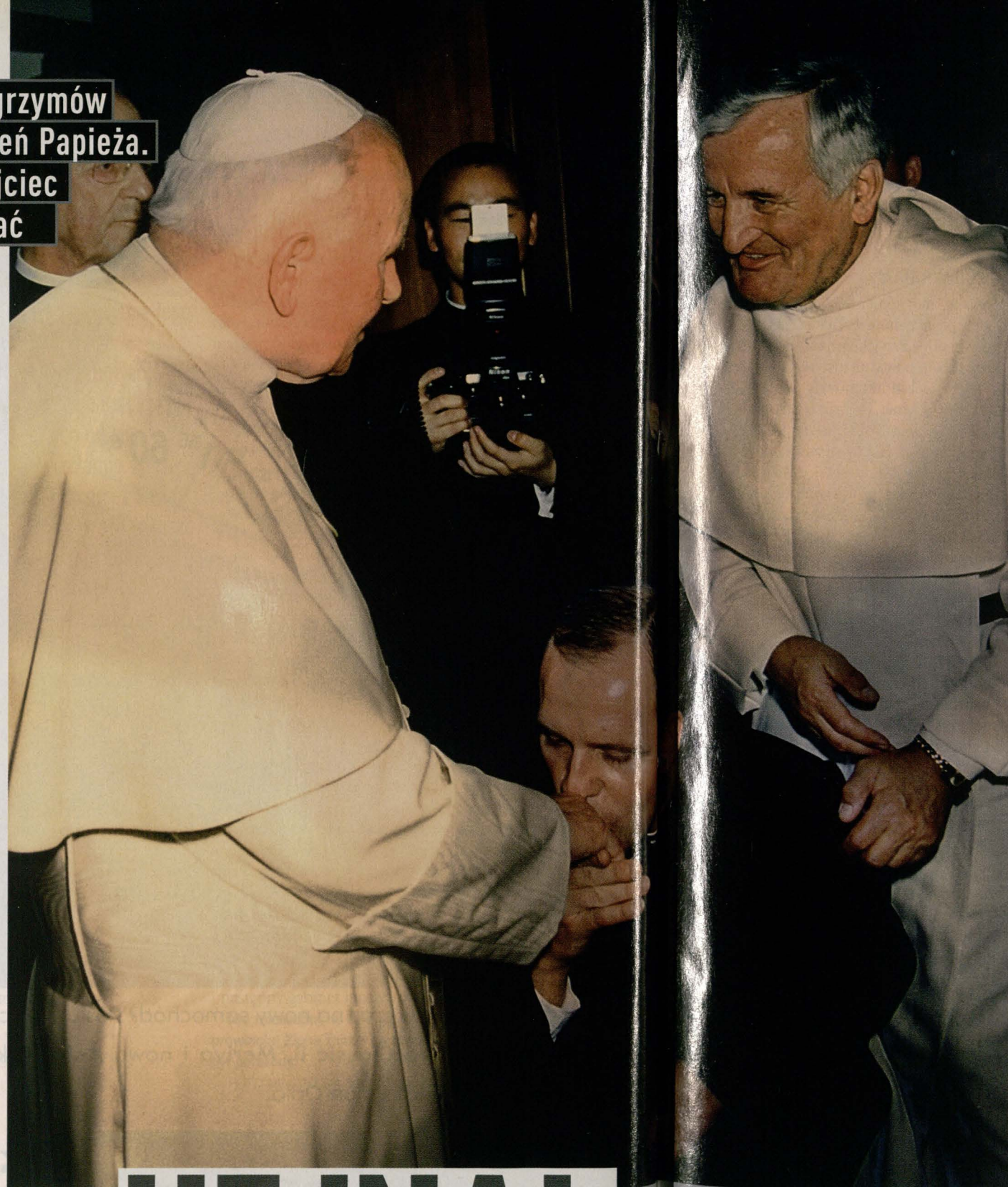
Jednak 27 kwietnia samolot przyleciał na Okęcie bez ojca Hejmy. Z podróży zrezygnował w ostatniej chwili. Nigdzie się jednak nie zaszły. Wrócił do siebie, do ośrodka dla polskich pielgrzymów Corda Cordi na Monte Verde, gdzie już kilka godzin później polskie i włoskie media rozpoczęły oblężenie. Wieczorem Hejmo kilka razy wychodził przed dom, by złożyć krótkie oświadczenia po polsku i po włosku. Zapewniał, że jest niewinny. Jak podczas choroby Papieża był w swoim żywiole.

NIESAMOWICIE AKTYWNY

69-letni Hejmo dominikaninem jest prawie od urodzenia. Na chrzcie dostał imię Stanisław (Konrad to imię zakonne) i chodził do szkoły powszechnej siostr dominikanek w Jodłowniku koło Limanowej. To właśnie pod ich wpływem chłopski syn z niedalekiej Kostrzy postanowił zostać księdzem. Z podstawówki poszedł prosto do niższego seminarium duchownego dominikanów w Lublinie.

Gdy w 1952 roku szkoła zostaje zlikwidowana, 16-letni Hejmo wstępuje do zakonu, a potem do seminarium wyższego w Krakowie. To samo robi jego szkolny kolega, późniejszy słynny duszpasterz ojciec Ludwik Wiśniewski. Wspomina, że Konrad uczył się dobrze, choć nigdy nie należał do prymusów. Był za to niesamowicie aktywny. – Jak coś trzeba było zrobić, to wiadomo było z góry, kto się tym zajmie. Konrad był bardzo ofiarny i wszystko brał na siebie – opowiada dominikanin.

Do przyjęcia święceń kapłańskich Hejmo przebywa głównie w Krakowie. To tu po raz pierwszy, jeszcze jako kleryk, spotyka biskupa Karola Wojtyłę. Chodzi na prowadzone przez niego rekolekcje, uczestniczy we mszach odprawianych w kościele ojców Dominikanów.



HEJNAŁ

GRZEGORZ RZECZKOWSKI
PIOTR KOWALCZUK



Po święceniach w 1961 roku Hejmo trafia do Poznania.

Zostaje duszpasterzem akademickim i rzuca się w wir pracy. Kipi energią i pomysłami. Organizuje konferencje i dyskusje młodzieży ze specjalistami z różnych dziedzin, promuje zespoły grające muzykę religijną. – Zawsze był do dyspozycji ludzi, starał się im pomóc w każdej sytuacji – wspominają ci, którzy pamiętają go z tamtych czasów. Codziennie rano odprawia dla studentów mszę, po której wszyscy jedzą śniadanie – chleb ze smalcem i czarna kawa.

Latem jeździ z młodzieżą na wędrownie rekolekcje w Bieszczady lub Tatry. Jednej z takich wypraw omal nie przypłaca życiem. W 1974 roku spada w przepaść pod Orlą Percią. – Byłem wówczas przeorem klasztoru w Krakowie. Goprowcy powiedzieli mi, że Konrad był pierwszym, który spadł w tym miejscu ze szlaku i przeżył – mówi ojciec Walenty Potworowski, kolega Hejmy ze studiów.

ŹŁE O NIM MÓWILI

Wypadek zmienia ojca Konrada, i to do słownie. Straszliwie pokiereszowana twarz nigdy nie odzyska dawnego wyglądu, pamiątką na całe życie są śruby w szczęcie. Dominikanin nie wraca już do duszpasterstwa. Zostaje sekretarzem redakcji miesięcznika „W drodze”, który wcześniej zakładał. Poznań ma ogromne znaczenie dla życia ojca Hejmy jeszcze z innego powodu – to właśnie tamtejsza bezpieka założyła mu teczkę.

Współpraca z SB miała rozpocząć się po wypadku. Jako duszpasterz akademicki Hejmo był na celowniku esbeków, ale nie dręczono go nadmiernie. – Bo zbyt się nie wychylał – mówi jeden ze współpracowników. – Wzywali go przy okazji starań o paszport. Mnie również. Esbecy bardzo źle o nim wówczas mówili – wspomina ojciec Piotr Prus, bliski znajomy Hejmy z seminarium. – W zakonie panował taki zwyczaj, że każdy, kto rozmawiał z SB, musiał poinformować o tym przełożonego. Konrad Hejmo do tego się stosował – zapewnia ojciec Potworowski. Dawny przełożony nie pamięta już, o co esbecy pytali ojca Konrada, milczy na ten temat również sam zainteresowany.

Współbracia pamiętają, że ojciec Konrad toczył heroiczne boje z władzą o przydział papieru dla miesięcznika „W drodze”. Niektórzy spekulują, że to przy tej okazji dominikanin mógł wpaść w pułapkę. – W tamtych czasach bezpieka pozyskiwała do współpracy nie przez szantaż czy osobiste ataki, ale przez tworzenie filozofii, która usprawiedliwiałaby współpracę. W przypadku duchowieństwa był to patriotyzm. To była bardzo przewrotna i okrutna metoda, bo szlachetne pobudki wykorzystywano do niecznych celów – tłumaczy Marek Lasota z krakowskiego IPN.

Zadaniem ojca Hejmy, który w aktach SB figuruje pod pseudonimami „Hejnał” i „Dominik”, miało być donoszenie na współpracowników. Za-

konnik zdecydowanie temu zaprzecza. – Bo o czym mógłby donieść? Że jeden współbrat pojechał do Warszawy, a drugi do Krakowa? To nie jest donoszenie! Mówił rzeczy oczywiste, powszechnie znane – broni ojca Hejmy Jan Góra, dominikanin z Poznania.

Do Rzymu ojciec Hejmo przyjechał w 1979 roku. Po odejściu z redakcji „W drodze” pracował krótko w sekretariacie episkopatu, obsługując dziennikarzy podczas pierwszej pielgrzymki Papieża do Polski. Jego zaangażowanie musiało się spodobać. – Kardynał Wyszyński i arcybiskup Dąbrowski wydumali sobie, żeby mnie posłać do pracy w Radiu Watykańskim – mówi dominikanin. Pojechał więc do Rzymu. Ale ówczesny szef polskiej sekcji, jezuita Stefan Filipowicz się wściekł: – To nie jest radio biskupów!

TO WSZYSTKO ANDRZEJ M.

I tak ojciec Hejmo został na lodzie. Wynaleziono mu awaryjne zajęcie – wicedyrektora Delegatury Biura Prasowego Episkopatu Polski. Tytuł dumny, ale obowiązki Hejmy były skromne. Pisał raporty z tego, co włoskie media mówią o Kościele w Polsce i o rozpoczętym rok wcześniej pontyfikacie Jana Pawła II. W dodatku bez wynagrodzenia. Aby się ratować, stworzył przewód doktorski na papieskim uniwersytecie Angelicum. Nie chodziło jednak o pracę naukową, do której 45-letni dominikanin nie miał głowy, ale o bezpłatne lokum, które przysługiwało studentowi.

Według ojca Hejmy wtedy właśnie rozpoczęło się nieszczęście. Opowiada, że polscy księża „podesłali” mu tajemniczego pana M., Polaka mieszkającego w Kolonii, rzekomo doradcę episkopatu Niemiec. Andrzej M. kopiował raporty sporządzane przez Hejmę dla polskiego episkopatu, nagrywał rozmowy i dyskusje w szerszym gronie. – Mówił, że ma krótką pamięć – wyjaśnia dziś dominikanin.

Według Hejmy Andrzej M. musiał pracować dla NRD-owskiej Stasi. To za jej pośrednictwem dokumenty miały trafić do SB, składając się na ogromną teczkę w IPN. Zdaniem IPN po przyjeździe do Rzymu zakonnik przejął po prostu wywiad PRL. Hejmo przyznaje, że brał od M. pieniądze, ale zawsze za pośrednictwem znajomych księży. Jak wspomina jeden z polskich duchownych mieszkających w Rzymie, w latach 80. Hejmo jeździł przez pewien czas samochodem na niemieckich rejestracjach.

Ojciec Konrad szybko nabral podejrzeń, bo „ten człowiek, jak sobie trochę wypił, bo pił ponad miarę, to czasem trochę się chwalił. Że zna tego albo tamtego polskiego generała”. Do tego podsuwał Hejmie tematy do opracowania. – Mówił, że są dla niego ciekawe – wyjaśnia nam zakonnik. Ale mimo podejrzeń nie zerwał znajomości z Andrzejem M., bo znajomi księża zapewniali go, że jest nieszkodliwy.

Według dominikanina spotkań było tylko kilka, ostatnie w 1981 roku. Według IPN

Foto: LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

„Coś jest w tych dokumentach IPN. Mam tylko nadzieję, że to efekt głupoty Konrada”

Obok: Przed kliniką Gemelli podczas choroby Papieża

Na dole: O. Hejmo opuszcza rzymskie lotnisko po ogłoszeniu jego nazwiska przez IPN

Fot. ALESSIA PIERDOMENICO/REUTERS/FORUM



Fot. PIOTR GRZBOWSKI/SEAST NEWS

siedem lat później. – Co ja mógłbym donosić na Papieża? Przecież nie byłem blisko niego, nie znałem jego życia prywatnego ani tajemnic. To do nas nie docierało – mówi dziś Hejmo.

Jednak według członka kolegium IPN profesora Andrzeja Friszkego „Hejnał” nie donosił bezpośrednio na Papieża, ale na osoby z jego najbliższego otoczenia. – Przez jego ośrodek przewinął się cały episkopat. Niewątpliwie ojciec Hejmo był atrakcyjny dla ubeków – mówi osoba, która w latach 80. u niego mieszkała.

PAPIESKI FILTR

Cztery lata po przyjeździe do Rzymu Hejmo dostał pracę, która jeszcze dwa tygodnie temu była jego żywiołem. Został dyrektorem ośrodka Corda Cordi, watykańskim opiekunem polskich pielgrzymów. Od tego czasu datują się bardzo częste, choć na pewno nie bardzo bliskie kontakty z papieskim sekretarzem księdzem Stanisławem Dziwiszem i oczywiście z samym Papieżem.

Hejmo zajmował się „szeregowymi” pielgrzymami. Decydował, kogo dopuścić przed papieskie oblicze, jakiej grupie pomóc wejść na audiencję. Był pierwszym, bardzo ważnym filtrem, ale ostatnie słowo należało zawsze do Dziwisza. Mimo to mógł wiele: polecić kogoś szczególnej uwadze, zamienić miejsce w kolejce do całowania papieskiej ręki na chwilę rozmowy. Ale decyzje o spotkaniach Papieża z przyjaciółmi, osobami z polskiego świecznika, zapadały ponad głową ojca Hejmy.

Przez 20 lat nie opuścił żadnej audyencji generalnej. O swoich pielgrzymów toczył z Dziwiszem heroiczne boje. Niesłuchanie otwarty, gadatliwy, zawsze miał gotową papieską anegdotę. Pielgrzymi go uwielbiali. To dzięki ojcu Hejmie spotkania z Papieżem przemieniały się w polski festiwal chórów, zespołów folklorystycznych i orkiestr wszelkiej maści. To za jego sprawą w watykańskich magazynach znalazły się dzieła sztuki, które tłumaczyć może jedynie czystość intencji autorów.

Dla dziennikarzy był nieocenionym wprost źródłem informacji, choć nie zawsze spraw-

dzonych. – Papież jest rozgoryczony – wypalił w 1993 roku, gdy lewica wygrała wybory. Zapowiedział, że Jan Paweł II już nie będzie wygłaszał do Polaków ogólnych przemówień na audiencjach prywatnych: „Dość się już nagałem i tak niewiele z tego pojęli, w takim razie nie będę mówił” – cytował Papieża.

Krytykował też prymasa. Doszło do tego, że jego wypowiedzi prostował rzecznik Watykanu. Episkopat polski zagroził, że jeśli Hejmo nie zacznie trzymać języka za zębami, pożegna się z Corda Cordi. – To było nieroztropne z jego strony – przyznaje ojciec Wiśniewski.

Medialną gwiazdą światowego formatu został podczas ostatniej choroby Papieża. Nie dość, że co chwila pojawiał się pod kliniką, opowiadając polskim stacjom różne i nierzadko sprzeczne rzeczy, to zaczął występować we włoskiej telewizji RAI, a potem już wszędzie: w NBC, BBC, CNN. Niemilośnie kaleczył włoski (podobnie jak polski), ale na zachodnich dziennikarzach robił wrażenie: postawny,

z lwią grzywą srebrnych włosów, w białym habicie, z sercem na dłoni. Gdy watykańscy dostojnicy milczeli, on zawsze miał, może nie do końca wiarygodne, ale za to najświeższe, wiadomości o samopoczuciu Papieża.

KTOŚ GO WRABIA

Watykan nie komentuje sprawy opiekuna polskich pielgrzymów. Polscy księża z Kurii są rozgoryczeni. – Przyjeliśmy to z bólem i przykrością. IPN to poważna instytucja – mówi wysoki rangą polski duchowny w Watykanie. „Ból” i „zaskoczenie” wyraził też rzecznik Konferencji Episkopatu Polski ksiądz Józef Kloch.

Przyjaciele ojca Hejmy są zszokowani informacjami o jego agenturalnej działalności. Za swym współbratem murem stanęli dominikanie, którzy albo milczą, albo wypowiadają się o nim w samych superlatywach. Żadna z bliskich osób nie wierzy, że mógł donosić na Papieża i innych zakonników.

– Skoro tych dokumentów jest tak dużo, to musiałby nic nie robić, tylko donosić. Ktoś go wrabia – twierdzi starsza o trzy lata siostra ojca Hejmy Zofia Kmiecik. Niektórzy przyznają tylko, że dominikanin mógł paść ofiarą własnej naiwności i gadulstwa. – Coś jest w tych dokumentach IPN. Mam tylko nadzieję, że to efekt głupoty Konrada, a nie jego przewrotności – mówi ojciec Ludwik Wiśniewski.

– Nawet jeśli wszystko się potwierdzi na jego niekorzyść, to mój stosunek do niego się nie zmieni. To jest mój serdeczny współbrat. Po prosiłbym go tylko, żeby wszystko sobie przypomniął i wyjawił metody łamania ludzi. Żeby wiedziała o tym młodzież – mówi ojciec Potworowski. Przyjaciele w Rzymie na pewno się od niego nie odsuną. Dla nich jest ofiarą, a nie zdrajcą. Znajomy, który wierzy w materiały IPN: – Jesteśmy poranieni, bo okazuje się, że siedzieliśmy w beczce gówna. Mimo to nie przestał być mi bliski.

Dowody winy ojca Konrada to 700 stron dokumentów i nagrania. – To dokumenty pracy agenta o pseudonimach „Dominik” i „Hejnał”. Wśród nich są kwestionariusze pozwalające ustalić tożsamość agenta, raporty oficera prowadzącego, notatki ze spotkań z TW, a także dokumenty przez niego podpisane – informuje Marek Lasota, który na prośbę prezesa IPN przejrzał teczkę „Dominika”.

Z jej zawartością zapoznał się także prowincjał polskich dominikanów ojciec Maciej Zięba. – Zobaczyłem rzeczy smutne. Zawartość teczek jest porażająca. To poważna dokumentacja – mówi, odmawiając jednak rozmowy o szczegółach. Zamilkł również IPN.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI
PIOTR KOWALCZUK, RZYM



poranek

zawsze

popołudnie

WŁAŚCIWY CZAS

Czas na odpoczynek w atmosferze Turcji.

Czas na dziewicze plaże i turkusowe wody.

Czas na serdeczną gościnność, wielowiekową historię i bogactwo kultury.

Czy nie czas już odkryć Turcję?



Turcja

Nasz uśmiech już czeka na Was...

TURKISH AIRLINES
www.turkishairlines.com

Biurowo Kultury i Informacji Ambasady Turcji Ul. Krakowskie Przedmieście 19/1 00-071 Warszawa-POLSKA
Web: www.turcja.org.pl • e-mail: info@turcja.org.pl • Tel: (+48-22) 826 62 88- 89 • Fax: (+48-22) 826 62 86

Hasan Akbar: SKAZANY NA ŚMIERĆ

W pierwszych dniach inwazji 34-letni sierżant urządził masakrę kolegów z oddziału, który w Kuwejcie przygotowywał się do wkroczenia do Iraku. Wyzna-



Fot. GERRY BROOME/AP

jący islam Hasan Akbar wrzucił dwa granaty do namiotu pełnego żołnierzy. Potem strzelał do uciekających kolegów. Zginęło dwóch oficerów, 14 żołnierzy zostało rannych.

Sąd wojskowy uznał, że Hasan Akbar działał z premedytacją. – Mój los wypełni się, gdy Ameryka zostanie zniszczona – napisał osiem lat temu w pamiętniku, do którego dotarli wojskowi prokuratorzy. Nie znaleziono dowodów na jego powiązania z organizacjami ekstremistycznymi. Obrona próbowała przekonać sąd, że Akbar jest niepo czytany od dziecka, gdy jego ojczym molestował na jego oczach młodszą siostrę. Z akt wynikało też, że żołnierz miał kłopoty z dowodzeniem nawet niewielkim oddziałem. W czasie procesu jego ojciec twierdził, że syn skarżył się, że jako muzułmanin jest szykanowany przez kolegów z wojska.

Nawet jeśli wyrok śmierci zostanie podtrzymany w apelacji, Hasan Akbar nie stanie przed plutonem egzekucyjnym. Wyrok zostanie wykonany za pomocą zastrzyku. (OBA)

Łukasz Mierzejewski: GWAŁTU NIE BYŁO

Napastnik Zagłębia Lubin Łukasz Mierzejewski nie zgwałcił 16-letniej Finki – orzekł fiński sąd. Do zdarzenia miało dojść w 2001 roku w Espoo po zdobyciu przez polską kadrę młodzieżową mistrzostwa Europy. 19-letni wówczas Mierzejewski, jak sam przyznał, rzeczywiście spędził upojne chwile z nastolatką, ale za jej przyzwoleniem. Później jednak Finka oskarżyła go o gwałt w parku. – 50 metrów dalej stali koledzy i widzieli, że nie było żadnej przemocy – mówił niedawno piłkarz w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego”.

Fińska prokuratura wysłała za nim międzynarodowy list gończy. Łukasz M. (jak pisała o nim prasa) w lutym tego roku trafił do aresztu. Teraz sąd oczyścił go z zarzutów. Nie wiadomo, czy prokurator złoży odwołanie. (RAF)



Fot. WŁODZIMIERZ SIERAKOWSKI/PRZEGŁĄD SPORTOWY

Laetitia Bleger: KRÓLOWA NIE MOŻE BYĆ NAGA

Miss Francji 2004 pożegnała się z tytułem za pozowanie dla „Playboya”. Zdjęcia 24-letniej piękności pojawiły się na okładce najnowszego numeru francuskiej edycji miesięcznika. Laetitia ubrana jedynie w figi biust zastrzaniała ramieniem. Reakcja biura organizacyjnego wyborów Miss Francji nastąpiła błyskawicznie. – To frontalny atak na konkurs – powiedziała szefowa biura Genevieve de Fontenay, ogłaszając detronizację Bleger na pół roku przed upływem jej kadencji. Przepisy konkursu zabraniają pozowania do rozbierania zdjęć w czasie pełnienia obowiązków Miss. W 1983 roku inna Miss Francji musiała zwrócić koronę po publikacji w „Paris Match” jej roznieglizowanych zdjęć. Najgłośniejsze w historii konkursów Miss było usunięcie z tronu Vanessy Williams, pierwszej czarnoskórej Miss Ameryki. Pograżyły ją akty opublikowane przez magazyn „Penthouse”. (OBA)

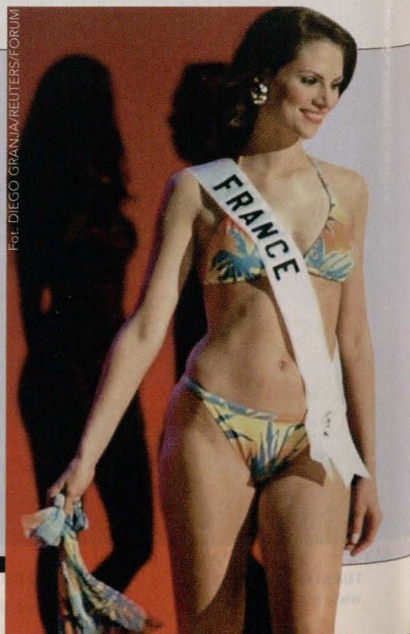


Fot. JACEK HERCZAK/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER RAFAL MICHALCOWSKI/AG

Paweł Gilowski: JABŁKO SPADŁO Z JABŁONI

Syn wiceprzewodniczącej Platformy Obywatelskiej profesor Zyty Gilowskiej ma otwierać listę kandydatów do Sejmu w Lublinie. Pod koniec tygodnia postanowiły tak władze partii w regionie. Przewodniczy im Gilowska, która zamierza startować z Warszawy. Działacze PO przekonują jednak, że listę kandydatów z Lublina ustalono w głosowaniu.

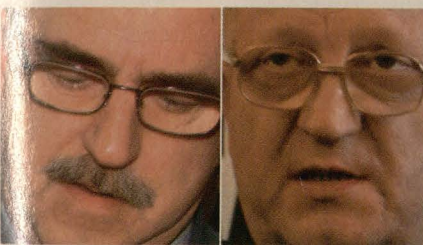
Paweł Gilowski ma 31 lat, ukończył prawo na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, zaczął pracę w Katedrze Prawa Europejskiego KUL. W 2001 roku prowadził kampanię wyborczą swojej mamy. Jest członkiem Rady Krajowej PO. O tym, że będzie numerem jeden w Lublinie, mówiło się już od kilku miesięcy. – Osoby, które twierdzą, że moją kandydaturę forsuje mama, to koniunkturaliści, którzy przyszli do partii, gdy zaczęła przewodzić w sondażach. Moimi zaletami są: rozpoznawalne nazwisko, młody wiek, kompetencje i zasiadanie we władzach partii – mówił wówczas na łamach „Gazety Wyborczej”. Jego kandydaturę muszą jeszcze zatwierdzić władze krajowe PO, ale z tym nie powinno być kłopotu. (MM)



Fot. DIEGO GRANATA/REUTERS/FORUM

Andrzej Kropiwnicki, Jerzy Wielgus: OBRONILI KACZYŃSKIEGO

Radni warszawskiej LPR wbrew poleceniu swego klubu zagłosowali za absolutorium dla prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego z PIS. Zanim się na to zdecydowali, Kaczyński miał po swojej stronie tylko 30 radnych i brakowało mu jednego głosu, a brak absolutorium rzuciłby cień na wizerunek kandydata na prezydenta RP w najbliższych wyborach.



Niepokorni radni LPR tłumaczą, że są zarażeni działaczami Solidarności i głosując, myślą o interesach pracowników w kontekście przyszłej koalicji PIS i PO w parlamencie. Zamiast subordynację Kropiwnicki i Wielgus zostali wyrzuceni z LPR, ale w Warszawie już głośno, że w wyborach do Sejmu obydwaj radni dostaną się na listy wyborcze PiS „dziękuję w Polsce”. Jeden ma ponoć zapewnić pierwsze miejsce, a drugi wystartuje z drugiej lokaty. (SYLV)



Ewa Kopacz: POKAZAŁA SWĄ POLSKOŚĆ

Inicjatorka akcji „Pokazujemy swoją polskość”, posłanka PO Ewa Kopacz na jednym z radomskich deptaków osobiście przypinała mieszkańcom znaczki z polską flagą. Chciała w ten sposób rozpowszechnić wśród radomian wiedzę o przypadającym 2 maja Dniu Flagi RP. – Zależy mi na krzewieniu wiedzy z zakresu symboli narodowych. Niebawem dołączą do akcji posłowie PO w innych miastach – poinformowała. Cieszyła się, iż mimo deszczu ludzie reagowali entuzjastycznie.

W ubiegłym roku na wniosek PO Sejm zniósł ograniczenie używania symboli narodowych do świąt państwowych. Ustanowił też Dzień Flagi RP. Posłanka Ewa Kopacz jest praktykującym lekarzem pediatrą. (YOU)

Popiół dnia

Spektakularne dzisiejsze szachrajstwo w miejskiej Radzie Warszawy jest o wiele groźniejsze od przypadku donosów dominikanina w czasach minionych

Każdy dzień ma swoje krańce. Swoje twarde obrzeże. To jest narodzenie i śmierć uciekającego czasu. Ten dzisiejszy (kiedy piszę) mieścił się pomiędzy wiadomościami, że dominikanin ojciec Hejmo podpisał 20 kwitów gratyfikacji od SB za donoszenie, a skaperowaniem (przez ludzi prezydenta Warszawy) dwóch radnych z Ligi Polskich Rodzin, dzięki którym Lech Kaczyński będzie mógł nadal rządzić stolicą i mieć idealną katapultę na szlaku ku prezydenturze. Są to fakty odległe w czasie, a jednak bardzo spokrewnione.

Sprawa dominikanina H. jest stara, jeszcze z epoki trabantów, i była małym fragmentem rozbudowanej struktury penetrowania Kurii Rzymskiej przez wywiad PRL. Robili i robią to wszystkie kraje europejskie – i nie tylko – a dzisiejszy szok związany z postępkami ojca Hejmy dlatego przybrał taki wymiar, że panuje u nas powszechnie pogląd, iż klerowi winno być oszczędzone penetrowanie grzechów kolaboracji z ubecją PRL. W naszym katolickim kraju jest to strefa przewinień, o których nie powinno się głośno mówić. Niemniej w przypadku zakonnika poruszamy się w remanentach historii; w zakistych beczkach tajnej policji, na wildsteinowskiej palmie. Dlatego Polskę nadal za nos wodzić będzie towarzystwo starych ubeków. To ich zemsta z za grobu. Triumf pośmiertny.

Mnie się jednak wydaje, że spektakularne szachrajstwo w miejskiej Radzie Warszawy w dobie mercedesów jest o wiele groźniejsze od przypadku dominikanina Hejmy czasów minionych. Oczywiście w płaszczyźnie moralnej. Trudno bowiem wymagać postawy moralnej od tajnych służb PRL i nękanego przez nie złamanego dominikanina. Natomiast można o nią zapytać pana Kaczyńskiego, zwłaszcza że pracuje nad rewolucją moralną dla wszystkich obywateli Rzeczypospolitej. I będzie ją z rozmachem realizował, kiedy tylko zdobędzie władzę. Jak słysząc, wielu ludzi ma do profesora Leona Kieresa żal, że upublicznił sprawę ojca Hejmy w tak krótkim czasie po odejściu Jana Pawła II. Ale wszyscyśmy mieli też nadzieję, że Polacy po śmierci polskiego Papieża nieco sporządnią. Spektakl w ratuszu warszawskim dowodzi, że nie za bardzo im to idzie.

Jak wiemy, kiedy na poprzednim posiedzeniu okazało się, że prezydentowi Kaczyńskiemu do uzyskania absolutorium braknie dwóch głosów, obrady przerwano, by (że tak powiem) wymendlować te brakujące głosy. Nikt nie wierzył w niepowodzenie tej akcji. Nas, kibiców tego spektaklu, trapiło jeno pytanie, kto pęknie i z której partii. Okazało się, że z tej najbardziej katolickiej. Prawdopodobnie w ramach światopoglądowego miłosierdzia członków Ligi Polskich Rodzin.

Pytanie ciśnie się jedno: za ile srebrników zainteresowane strony wyszły na swoje?

www.przekroj.pl/kutz



Fot. MAREK RACZKOWSKI



Głucho mi

Coś się stało z echem. Nie ma go. To dziwne uczucie, bo stoi sobie człowiek i wypatruje, i widzi drugiego człowieka. I tamten krzyczy, drze się właściwie, ale wiemy to tylko z jego gwałtownych ruchów i wykrzywionej w grymasie twarzy. Bo bezlitosnego dotąd echa nie ma. Ba, nie ma go tak skutecznie, że nawet całe ryczące grupy ludzkie, wielosetosobowe, ryczą nadaremnie.

Obserwuję to z czułym zdziwieniem. I ulgą. Niektóre ryki wspomagają się jak w czasach, kiedy jeszcze echo istniało, wzmacniaczami, gazetami, radiem, telewizją. I nic. Dalekie, głucho tarabanie. Czasem jakiś cichy brzdęk. Przynajmniej dla mnie.

Trzeba by się zastanowić, co niszczy echo. Wszystko, co miękkie, w miękkim dźwięk się zapada i zasypia. A miękkiego ostatnio mieliśmy bardzo dużo. I nie mamy jeszcze w sobie wystarczająco głupiej odwagi, żeby miękkie pokrowce zdjąć z twardego i echotwórczego.

Dlatego widzę drących się na siebie polityków, ale ich nie słyszę. I nie są nawet echem dawnych wyzwisk, więc niech przejdą bez echa. Przynajmniej u mnie.

PIOTR NAJSZTAB

Wybory rodzinne

Po bratnim tandemie Kaczyńskich i ojcowsko-synowskim duecie Giertychów przyszedł czas na obnażanie więzów krwi w Platformie. I niespodzianka: tą partią też kieruje rodzina. – Donald Tusk jest dla mnie jak brat,

Jan Rokita również – wyznała w poniedziałek Zyta Gilowska. Przy trzech różnych nazwiskach rodzinę Platformy trudno uznać za normalną, ale z drugiej strony co za ulga, że czołowa partia nie idzie do wyborów w beładzie, tylko w jakże pięknym i budzącym zaufanie układzie rodzinnym.

Żywym dowodem jest syn posłanki Gilowskiej, który nie tylko kandyduje w wyborach, ale na życzenie mamy ma stanąć na czele listy PO w Lublinie.

Aby życie polityczne stało się prawdziwie rodzinne, do stu poprawek LPR-u do konstytucji dołączam jeszcze jedną: rodzinne listy wyborcze. Pomysł z miejsca zyska aprobatę przyszłego Sejmu, poza tym jest uzasadniony społecznie. Mamy w Polsce kryzys zaufania partii, podstawowa komórka społeczna potrzebuje wzmocnienia, a w czasach wszechobecnej korupcji tylko związki krwi i zapisane w konstytucji nepotyzm zagwarantują uczciwe rządy, których tak żarliwie łakną dziś wszystkie partie, przepraszam, rodziny polityczne. I tak od następnych wyborów, pewnie samorządowych, będziemy głosować tylko na nazwisko.

Zakreślamy „Kowalski” i za jednym krzyżykiem wybraliśmy władzę samorządową. Mąż Zbigniew na radnego, żona Jadwiga na radną, zięć Sławomir prezydentem miasta, ciotka Genowefa przewodniczącą rady miasta, bratanica na etat w referacie spraw obywatelskich, siostrzeniec na dyrektora oczyszczalni ścieków i tak dalej... Przy okazji warto uchwalić prawo, które z automatu nadaje urząd i uposażenie progeniturze spłodzonej podczas sprawowania kadencji, nie mówiąc już o becikowej trzynastce.

Po kondycji rodziny widać dziś jak na dłoni, kto będzie w przyszłej opozycji. SLD, wielka, kiedyś jakże bliska sobie rodzina, jest dziś w stanie patologicznego rozkładu. Nie dość, że ojciec dawno wyprowadził się z domu, a mamotrawni synowie roztrwonili ciepło rodzinne, to jeszcze dzieci dobrowolnie oddały się do adopcji. Niewiele lepiej ma się Rodzina Demokratyczna. Strach myśleć, co łączy Władysława Frasyniuka z Belką i Hausnerem jednocześnie, a deficyt matek i duży udział seniorów każe się zastanawiać, czy ta rodzina dotrwa w ogóle do następnego zjazdu za cztery lata.

WAWRZYNIEC SMO CZYŃSKI

MACIEJOWSKI

HISTORIA РОССИИ



MAJ 1945. MIESZKAŃCY BERLINA WITAJĄ ZWYCIĘZCÓW WIELKIEJ WOJNY OJCZYŹNIANEJ.

© MARCIN MACIEJOWSKI



Komfort modelowy.



Samochody Użytkowe

Najlepszy w Krakowie

Bogdan Krężel znów bezkonkurencyjny w fotografowaniu Krakowa. Nasz kolega redakcyjny dostał po raz kolejny nagrodę w konkursie „Portret miasta Krakowa” za cykl czarno-białych zdjęć „Bulwary wiślane” robionych podczas codziennych spacerów nad Wisłą ze starym aparatem Rolleiflex. – Gdy masz taki sprzęt, ludzie nie traktują cię jak zawodowca, myślą: Ot, nieszkodliwy maniak, wyszedł

Fot. LESZEK ZYCH/POLITYKA/REPORTER



Dyrektor generalny Poczty Polskiej Tadeusz Bartkowiak z trąbką

POCZTA PŁONIE

STRAJKUJĄCYCH LISTONOSZY MUSIAŁY ZASTĄPIĆ URZĘDNICZKI Z OKIENEK POCZTOWYCH

Sutysięczna armia pracowników Poczty Polskiej obawia się, że trwająca od kilku tygodni restrukturyzacja firmy oznaczać będzie grupowe zwolnienia. Kiedy negocjacje z kierownictwem zaczęły się sypać, związkowcy sięgnęli po formy nacisku. – W piątek część pracowników skorzystała z urlopu

na żądanie. W niektórych placówkach brakowało nawet ponad połowy personelu – mówi Jerzy Lach, rzecznik prasowy wspólnej reprezentacji związkowej w Poczcie Polskiej. Listonoszy musiały zastąpić urzędniczki z okienek.

Propozycja gwarancji zatrudnienia na dwa i pół roku to za mało – mówią związkowcy, których zdenerwowały też ostatnie podróże dyrektora generalnego Poczty Tadeusza Bartkowiaka. W połowie kwietnia wraz z dwójką współpracowników udał się służbowo

do Australii i Japonii. W Sydney reprezentował firmę na prestiżowej Światowej Wystawie Filatelistycznej. – Z naszych niepotwierdzonych informacji wynika, że 10-dniowy wypadek pana dyrektora miał kosztować prawie 90 tysięcy złotych. Można by za to przez rok utrzymać oddział pocztowy w małej miejscowości. Pan dyrektor przez dwa lata urzędowania zdobył sobie w firmie przydomek „podróżnika” – dodaje Lach. – Odwiedził między innymi Alaskę, Chiny, Stany Zjednoczone, Kanadę.

Ostatni wyjazd się nie udał, bo wobec groźby strajku w firmie dyrektora ściągnięto do kraju.

JULIUSZ ĆWIELUCH

WIAZ WRACA NA PAWIAK

SKYNNNE DRZEWO Z PAWIAKA WRÓCIŁO NA SWOJE MIEJSCE. JAKO BRAZOWY ODLEW

Spróchniały wiaz, świadek cierpień więźniów warszawskiego Pawiaka, pod koniec zeszłego roku został pocięty na 90 kawałków, wywieziony do Gliwickich Zakładów Urządzeń Technicznych i wiernie odtworzony. – W odlwie z brązu widać nie tylko dokładną fakturę kory, ale nawet gwoździe, ślady po piłowaniu – opowiada Czesław Loranty, kierownik produkcji gliwickiej odlewni. Praca nad 12-metrowej wysokości drzewem trwała pięć miesięcy, odlew waży aż cztery i pół tony. Po przewiezieniu do Warszawy stanął na dziedzińcu Pawiaka. Nazwą „Pawiak” warszawiacy ochrztili stojący przy ulicy Pawiej budynek więzienia. W czasie okupacji Niemcy trzymali tam więźniów politycznych i ludzi schwytanych w ulicznych łapankach. Więzili w sumie 120 tysięcy osób, z czego 37 tysięcy rozstrzelali, a 60 tysięcy wysłali do obozów koncentracyjnych.

(MAX)



Fot. ROMAN KOSZOWSKI/STYLO.NET

GRA W DORSZA

Unia Europejska wprowadziła czteromiesięczny zakaz połowu dorsza na Bałtyku. Polscy rybacy nie chcą jednak przyjąć tego do wiadomości, bo w poprzednich latach okres ochronny dorsza trwał tylko dwa miesiące. Konflikt może się skończyć nawet blokadą portów w Świnoujściu, Gdańsku i Gdyni. – Tak długiego okresu ochronnego nie damy rady udźwignąć finansowo – mówią rybacy. Szansą na przezwyciężenie kryzysu była rządowa propozycja rekompensat dla rybaków, którzy jednak ofertę odrzucili, bo czekają na lepszą. Teraz klucz do eskalacji lub złagodzenia konfliktu znajduje się w rękach okręgowych inspektoratów rybołówstwa egzekwujących przestrzeganie zakazu. Na razie przymykają oko.

(RAF)



Model komfortowy.

Czy jest samochód, który łączy dynamikę jazdy z niskim zużyciem paliwa?

Czy jest samochód dostawczy, którym podróżuje się tak wygodnie, jak rodzinnym minivanem?

Czy jest samochód, który posiada wszystkie te zalety, a dodatkowo gwarantuje maksymalny poziom bezpieczeństwa? Tak, to Volkswagen Caddy.

Aż do 7 miejsc siedzących, wielopłaszczyznowa regulacja fotela kierowcy, oszczędne silniki TDI® o imponujących osiągnięciach, systemy ABS, ASR, MSR, poduszki powietrzne, elektromechaniczne wspomaganie układu kierowniczego Servotronic, szerokość otwarcia drzwi bocznych 70 cm, 15-calowe koła, pojemność bagażnika do 2239 litrów...

Caddy





JULIUSZ ĆWIELUCH

UTRACONA. ŚWIEŻOŚĆ

**Na oczach widzów TVN dokonał się cud
przywrócenia wędlinom świeżości.**

**Dla specjalistów z branży to żaden cud, to norma.
W Polsce wędliny jakoś się nie psują**

Siedzę w utylizacji od 25 lat. Do zakładu przyjeżdżają różne odpady, ale wędlin nie ma dużo, ułamki procent. Zakłady utylizacyjne prowadzą ewidencję, ale nie wyszczególnia się w niej, ile wędlin zostało przyjętych do unieszkodliwiania – mówi Janusz Nunberg, przewodniczący komisji do spraw zagospodarowania odpadów pochodzenia zwierzęcego przy Polskiej Izbie Gospodarowania Odpadami. Nie wiadomo nawet, ile ich powinno być, bo branża takich danych nie podaje. – Wbrew pozorom nie musi tego być dużo, bo współczesny przemysł spożywczy ma do perfekcji opracowane metody przetworstwa produktu już raz wytworzonego – mówi Krzysztof Jażdżewski, główny lekarz weterynarii.

du tłumaczył, że gdyby ludzie wiedzieli, z czego się je produkuje, apel byłby zbędny. I ta informacja niewielu osobom dała do myślenia, chociaż według raportu Państwowej Inspekcji Handlowej za 2004 rok co piąty produkt mięsny sprzedawany w sklepie albo na bazarze nie nadawał się do jedzenia. Polakom szeroko otworzyły się oczy, dopiero gdy zobaczyli wielkie „odświeżanie” na ekranach swoich telewizorów. Według badań, jakie przeprowadził Constar, o aferze słyszało 67 procent Polaków.

– Byłem niedawno na bankiecie. Sałatki znikły od razu, za to wędliny schodziły klopsko.

Dotąd było na odwrót – żali się Kazimierz Stańczyk, honorowy prezes Stowarzyszenia Rzeźników i Wędliniarzy RP. Od kilku dni po kraju krąży dowcip, że zarząd Constaru kazał usunąć ze strony internetowej firmy ikonkę „odśwież”. A gdy podajesz gościom wędliny, możesz być pewien, że ktoś zapyta, czy byłeś na zakupach w Starachowicach.

– O marce Constar szkoda gadać, reputację mają zepsutą i będą ją odbudowywać latami, o ile w ogóle przy niej pozostaną – dodaje prezes Stańczyk. Według speców od mięsnego marketingu najlepiej byłoby, gdyby zakład

Kulisy drugiego życia wędlin Polacy poznali 14 kwietnia w reportażu TVN, a później artykułach „Rzeczpospolitej” na temat zakładów Constar w Starachowicach.

O tym, że w wędlinach coś śmierdzi, mówiło się od jakiegoś czasu. W lutym 2004 roku czytelnik „Gazety Wyborczej” przyniósł do redakcji zdjęcia wędlin moczących się w wodzie w jednej z hurtowni należących do zakładów w Sokołowie. Po parogodzinnej kąpieli stare etykiety z datą ważności odpadały od folii. Można się tylko domyślać, po co je odklejano. Kierownik hurtowni zrzucił winę na oszczerczą kampanię nieuczciwych konkurentów, więc Polacy odetchnęli z ulgą. Miesiąc później warszawski sanepid rozesłał do stołówek w przedszkolach i szkołach apel, żeby nie podawano dzieciom parówek. Rzecznik sanepi-

SIŁA ODWAGI * WSPIERANA PRZEZ 230 V



Vattenfall zapewnia ciepło i elektryczność milionom domów w całej Europie. Jest to usługa, którą większość ludzi traktuje jako coś oczywistego. I właśnie tak być powinno. Jesteśmy przekonani, że energia, jaką mają nasi Klienci, jest o wiele bardziej imponująca niż ta, która płynie z domowych gniazdek. Wierzmy też, że łącząc nasze siły, możemy zdziałać więcej.

przerzucił się na markę Krakus, pod którą również produkowano w starachowickich zakładach.

Constar 26 kwietnia wznowił produkcję i nie zamierza oddawać pola. – Nasze wyroby nigdy nie stanowiły zagrożenia dla klientów, dlatego będziemy walczyli o dobre imię marki, choć zdajemy sobie sprawę, że będzie to trudne – mówi Lidia Zalewska, rzecznik prasowy Animeksu, właściciela Constaru. W komunikatach prasowych mówi się zaledwie o „niedociągnięciach i uchybieniach”. – Materiał TVN to manipulacja. Wykorzystano nasz słaby punkt, czyli przyjmowanie przeterminowanych wędlin na teren zakładu wbrew przepisom. Cała reszta to insynuacje i granie na emocjach – dodaje Lidia Zalewska. Jako dowód podaje wyniki kontroli wojewódzkiego inspektora weterynarii w Kielcach, według których próbki pobrane z zakładów były pełnowartościowe.

– To, że nie znaleziono na terenie zakładów przeterminowanych wędlin, wcale nie oznacza, że wcześniej ich tam nie było – ripostuje minister Jażdżewski. Afera rozlała się już nawet za granicę. Słowacka inspekcja weterynaryjna poleciła w zeszły piątek wycofać ze sprzedaży wszystkie wyroby mięsne firmy Constar.

Tych, którzy naprawdę wiedzą, o co chodzi w branży, afera z Constarem po prostu śmieszy. – Jakie przeterminowane kielbasy? To jest tak nafašzerowane chemią, że terminy przydatności do spożycia można liczyć w miesiącach. Problem nie tkwi w świeżości, ale w jakości – zdradza specjalista od mięsa. Przekonali się o tym dziennikarze z „Gazety Wyborczej”. Salami pieprzowe, które znaleźli w kontenerze na śmieci pod hurtownią należącą do zakładów w Sokółowie, miało przekroczyć termin ważności o rok. Ani nie śmierdziało, ani nie było oślizgłe.

WODNI CZARODZIEJE

– W pogoni za zyskiem najpierw zgubiliśmy smak, później jakość, a na końcu nawet świeżość – ubolewa jeden z masarzy. W branży mówi: dlaczego zaleca się przechowywać wędlinę w lodówce? Żeby nie uciekła.

Niestety, to nie do końca żart. – Najtańsze wędliny są tak napompowane wodą, że rzeczywiście można obserwować efekt pęcznienia, czyli przesuwania się pod wpływem wody – mówi profesor Mieczysław Obiedziński, kierownik Zakładu Oceny Jakości Żywności ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

W taniej szynce woda stanowi już 62 procent masy, mięso zaledwie 28 procent. Standardy produkcji zmieniają się z roku na rok. Dobry masarz to już nie ten, który robi najsmaczniejszą szyneczkę, ale taki, który wpompuje w nią najwięcej wody. Rekordziści potrafią z jednego kilograma mięsa zrobić dwa.

Tajemnica tkwi w wielofosforanach i pochodnych azotu. Do tego dochodzi soja, która nie dość, że ma białko, to jeszcze pięknie pije wodę. Mięso szprycowane jest barwnikami i najnowocześniejszą chemią. Oficjalny rejestr

opuszczalnych w polskim przemyśle suplementów i dodatków ma 558 stron. Laboratorystyjni magicy wynaleźli nawet specjalny związek, który po wstrzyknięciu do kielbasy nadaje jej aromat dymu z wędzarni. A prawdziwy dym może być co najwyżej przy kasie, jak klient się połapie, co właściwie kupuje.

– Jak ma się połapać? W Unii producent ma obowiązek podania składu procentowego produktu, ale w Polsce jest to przepis martwy – zwraca uwagę profesor Obiedziński. Niemieckie kielbasy pod względem smaku nie wytrzymują konkurencji z polskimi, ale Niemiec przynajmniej wie, co je. – Na opakowaniu szczegółowo opisuje się skład wędliny oraz klasę użytego mięsa – mówi biochemik Anna Salek, która od 15 lat pracuje w Niemczech.

Co tak naprawdę wkładamy do kanapek, pozostaje więc tajemnicą producenta. Mięso jest tak rozdrobnione, że jedynie w laboratoriach można dochodzić jego składu. Jedynym w miarę wiarygodnym wskaźnikiem jest cena i marka producenta. – Jeśli kilogram mięsa kosztuje cztery złote, a kilogram kielbasy pięć złotych, to od razu wiadomo, że jest to produkt tylko dla najodważniejszych – mówi handlowiec z dużej sieci hipermarketów.

– Nawet najtańsze wędliny muszą odpowiadać i odpowiadają standardom bezpieczeństwa, więc nie ma co straszyć. Bezpieczeństwo jest w cenie, a za jakość trzeba zapłacić – uspokaja profesor Obiedziński.

PARSZYWA TRZYNASTKA

Od prawie 15 lat Polska spełnia wszelkie warunki, żeby produkować najlepsze wędliny w Europie. Jakość zaczyna się w korycie świni,

Według raportu PIH z 2004 roku co piąty produkt mięsny nie nadawał się do jedzenia



Fot. FRANCISZEK MAZUR/AGENCJA GAZETA

**Jeśli kilogram mięsa
kosztuje cztery złote,
a kilogram kielbasy
pięć złotych,
od razu wiadomo,
że to produkt
dla najodważniejszych**

a polska świnia je dobrze i zdrowo. Na dodatek cierpimy na klęskę urodzaju. Mięsa jest za dużo i do produkcji można wybierać surowiec najwyższej jakości. Przez lata wypracowaliśmy świetne receptury. Więc dlaczego z wędliną jest taki problem? Prezes Stańczyk ma jasną wizję, kto ponosi odpowiedzialność za kłopoty polskich wędliniarzy – „parszywa trzynastka”, czyli największe sieci hipermarketów.

– Polska wędliną popsuła się od Zachodu. Zagraniczne sieci hipermarketów przyciągnęły do Polski pseudowędlinę z Francji czy Holandii. Wyglądały jak szynka, smakowały jak trawa, a kosztowały grosze. Klient poszedł za ceną – tłumaczy prezes polskich wędliniarzy i zastrzega, że nie ma o to żalu, bo jak wytłumaczyć bezrobotnemu, że prawdziwa szynka musi swoje kosztować – robi się ją dwa tygodnie, a nie jeden dzień, no i w prawdziwej jest mięso, a nie woda.

– Żeby sprostać konkurencji, nasi producenci musieli obniżyć standardy, bo inaczej hipermarkety nie chciały od nich brać towaru. Warunki, na jakich handlują naszymi wędlinami, to dyktatura – dodał Kazimierz Stańczyk. Tym bardziej że sieci nie kupują wędlin od

JAK KUPOWAĆ WĘDLINY?

Niestety, za dobrą wędlinę trzeba zapłacić. Kielbasa od 20 złotych, szynka od 40 złotych dają nadzieję, że nie stuprocentową gwarancję, że towar jest dobrej jakości.

Kupując szynkę, warto skusić się na tę tłuszczykiem, to w nim jest najwięcej kolorów smakowych. Dietetycy polecają sprawdzone receptury, czyli znane rodzaje wędlin. Wszelkie mielonki, kotlety, rolady i prasowane mięso lepiej kupić z daleka. Większość tych produktów powstaje w wielkich kadziach stalowych zwanych betoniarzami. To nie przypadek, że mięso do ich produkcji mielone jest na papkę.

W supermarkecie towar najlepiej oglądać poza chłodziarkami. Zamontowane w nich światło ma lekko czerwawą barwę, nawet siwa wędlinka pięknie się w nim prezentuje. Jeśli masz możliwość, naciśnij wędlinę przed kupieniem. Jeśli wypłynie z niej woda, zostanów się. Ważne są też marki. Znajdź swoją ulubioną i się jej trzymaj.

producenta, tylko biorą je w komis. W efekcie nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za to, czy towar się sprzedaje, czy nie.

– Rzeczywiście zamawiamy trochę więcej, niż możemy sprzedać, ale robimy to z myślą o kliencie, który przecież nie może zastać w sklepie pustych półek – tłumaczy jeden z handlowców francuskiej sieci hipermarketów. Kończy się na tym, że to producent musi się martwić, co zrobić z wycofaną ze sklepów wędliną. A co się robi – to największa tajemnica branży. O szczegółach mówi się niechętnie. – Sposoby są różne. Najlepsza jest obróbka cieplna. Czyli kielbaska idzie do mielenia, a później upycha się ją, gdzie się da: do paszety, do paróweczki, na nadzienie do pyz albo dosypie się trochę chemii i mamy piękną mielonkę konserwową – tłumaczy technik przemysłu spożywczego.

Do 1997 roku w Polsce obowiązywały rygorystyczne normy jakości wędlin. Jednak pod presją rynku wyśrubowane receptury złagodzone. Nadal każdy asortyment ma normę, tyle że producent nie musi jej przestrzegać. Klient powinien być poinformowany, czy towar, który kupuje, ma deklarację zgodności z normą. – Ale nasi klienci nie mają pojęcia, że coś takiego nawet istnieje, więc nawet tego nie sprawdzają – mówi pracownica PIH. W efekcie szynka, którą przynosimy do domu, jest często wyrobem szynkopodobnym.

– Kiedy walczy się o przetrwanie, smak schodzi na drugi plan. Zamiast się męczyć z przyprawami, można kupić wór glutaminia-

nu sodu i zająć się rzeczywistymi problemami, czyli jak spłacić kredyty zaciągnięte na modernizację zakładu wymuszoną wejściem do Unii – mówi jeden z producentów.

– Starachowicka afera obnażyła niewydolność systemu urzędowej kontroli. Choć mamy aż cztery różne inspekcje odpowiedzialne za jakość i bezpieczeństwo żywności, to zdarzyła się tak porażająca wpadka – denerwuje się profesor Obiedziński. Wtórą mu główny inspektor weterynarii. – Moi ludzie nie dopełnili obowiązków i poniosą za to odpowiedzial-

ność. Ale problem jest złożony i sprowadza się do pieniędzy – dodał Jażdżewski. Śmiesznie niskie pensje powodują, że w zawodzie zostają pasjonaci albo – jak w Starachowicach – nieudacznicy. Czy będą kolejne podobne afery? W czasie wywiadu Krzysztof Jażdżewski dostał informację, że minister finansów planuje obcięcie mu budżetu na kontrole.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Podyskutuj na ten temat w portalu Wirtualna Polska w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

SPRAW, ŻEBY W 2007 TWÓJ GŁOS BYŁ SŁYSZALNY

W 2007 roku wszyscy Klienci w Polsce będą mogli decydować o tym, kto będzie dostarczał im elektryczność. Co to zmieni? Cóż... ekspres do kawy będzie działał tak samo jak do tej pory, podobnie lodówka, telewizor czy lampa. Jednak możliwość wyboru sprawi, że dostawcy będą musieli liczyć się z Twoimi wymaganiami i nauczyć się je zaspokajać. Konkurencja spowoduje, że firmy energetyczne zaczną dbać o solidność, Twoje poczucie wygody i o środowisko, które Cię otacza.

Z takimi wyzwaniami Vattenfall codziennie spotyka się na jednym z najstarszych wolnych rynków energii – w Szwecji. Z efektów naszych starań korzystają nie tylko Skandynawowie, ale także miliony ludzi we wszystkich europejskich krajach, w których obecnie działamy. Przykładów jest wiele: używamy sms-owego

powiadomienia o sprawach związanych z dostawą energii i zapewniamy naszym Klientom skuteczną całodobową pomoc; wprowadziliśmy usługę zdalnego odczytywania liczników i sporządzania precyzyjnych rachunków, tak by Klienci płacili tylko za rzeczywiście wykorzystaną energię. To jedynie mała część naszych starań. W produkcji energii udało nam się osiągnąć 36-procentową redukcję emisji dwutlenku węgla, a obecnie pracujemy nad niezwykle ambitnym projektem, który nazywamy „Elektrownia o zerowej emisji”.

Kiedy w 2007 roku polski rynek energetyczny zostanie uwolniony – nie oczekuj, że muzyka, której słuchasz, zabrzmi lepiej, ale na pewno nagle nie otoczy Cię cisza.

Więcej informacji o Vattenfall znajdziesz na naszej stronie: www.vattenfall.pl



POKRĘCONY

Jaruzelski

WOJCIECH MAZOWIECKI

Zainteresowanie Wojciechem Jaruzelskim sięga w tych dniach zenitu. Głównie z powodu prowokacyjnego dla Polaków zaproszenia go przez Władimira Putina do Moskwy na obchody 60. rocznicy zwycięstwa. Prowokacyjnego – bo znacznie bardziej rozszerzającego niż wyjazd prezydenta Kwaśniewskiego.

Jednak nie tylko dlatego generał stał się ostatnio bardziej obecny. Pojawił się też w związku z apelem ofiar kopalni Wujek o pojednanie pokrzywdzonych w stanie wojennym z ich krzywdzicielami. Apelem poświadczonym na razie bez równie godnej odpowiedzi. A także w związku z ujawnionymi przez IPN rewelacjami o duchownych agentach w otoczeniu Papieża. Gdy arcybiskup Józef Życiński rozsądnie skierował naszą uwagę na ich mocodawców, czyli ostatnich władców PRL, Jaruzelski i jego towarzysze wyznali, że nie mieli o agentach pojęcia!

Powróciło więc pytanie, czy Jaruzelski jest człowiekiem honoru? Pytanie, na które jego wrogowie z dzisiejszej prawicy z nieukrywaną przyjemnością zdążyli znów odpowiedzieć negatywnie. Dochodzę jednak do wniosku, że to nie są kategorie, w których należy oceniać generała. Nie piszę tego, by go obrażać, choć też bardzo nie lubię jego ani wszystkiego, co reprezentuje – z wyjątkiem jednego w jego życiu epizodu z 1989 roku. Próbuję zrozumieć, dlaczego zachowuje się on tak niezrozumiale dla ludzi spoza swojej formacji.

KOCHAĆ WOLNO KAŻDEGO

Świat nie jest czarno-biały, jak chciałoby wielu radykałów. Niezauważanie wielu odcieni pomiędzy tymi skrajnymi jest polityczną ślepotą. Generał ma jednak zupełnie inny problem – nawet w odniesieniu do swoich skrajnych wyborów wszystko potem rozmywa i sprowadza do szarości.

W wywiadzie sprzed paru miesięcy przeprowadzonym przez Teresę Torańską generał

CZY GENERAL WOJCIECH JARUZELSKI POJEDZIE DO MOSKWY, TAK JAK ZAPOWIADA? A JEŚLI TAK, CZY WYKONA JAKIKOLWIEK GEST, BY POKAZAĆ, ŻE CHCE REPREZENTOWAĆ NAS WSZYSTKICH I WSZYSTKIE DROGI HISTORYCZNE POLAKÓW, A NIE TYLKO SVOJĄ IDEOWĄ KOMUNISTYCZNĄ FORMACJĘ?

opowiedział o pogrzebie swojej matki. Przyszedł na cmentarz w cywilnym ubraniu, ale do kościoła nie wszedł. Było to nie w czasach głębokiego stalinizmu, ale w drugiej połowie lat 60.! W ten sposób Wojciech Jaruzelski w swoim mniemaniu pozostał lojalny i wobec matki, i wobec swojego ministra, który zakazywał wojskowym udziału w uroczystościach religijnych.

To wyznanie i jego zmaganie się do dziś z tym, że jednak coś było nie tak, ukazuje pokręcony charakter Jaruzelskiego. Myślę, że podobnie rozumował przy wprowadzaniu stanu wojennego, odwołując się do teorii mniejszego zła. Zapewne autentycznie chciał wszystkim zrobić dobrze. Więcej, chyba tylko on mógł w to uwierzyć, choć – racjonalnie patrząc i wtedy, i dziś – było to niemożliwe.

Zarzucić wojskowemu, że nie jest człowiekiem honoru, to najgorsza obelga. To akurat generał Jaruzelski świetnie rozumie. Podobnie

nie jak jego wrogowie, którzy z lubością na tym grają. Gorzej jest ze zrozumieniem, co nie przystoi takiemu człowiekowi. Generał ma tu czasem spleśzoną wyobraźnię.

17 września 1986 roku telewizja i radio nadały mowę Jaruzelskiego z jakiejś nudnej konferencji partyjnej z poprzedniego dnia. – Z premedytacją przemilcza się fakt – mówił pod adresem opozycji generał – że dokładnie 47 lat temu, właśnie 16 września, sanacyjne kierownictwo skupiło się zawczasu w pobliżu granicznego mostu – „silne, zwarte, gotowe”... do zaleszczyckiej rejterady. Skarb narodowy ewakuowano już wcześniej. Ówczesni wodzowie unieśli swoje głowy i kufry, lecz roztrwonili państwo, a bohaterstwo walczącego żołnierza oraz cały naród zostawili na pastwę losu. Fryzowanie, upiększanie tej gorzkiej prawdy to nie „białe plamy”, to czarne piętna.

O białej plamie oficjalnej wówczas historii – czyli o tym, co 17 września Polsce zrobił Związek Radziecki – Jaruzelski nie powiedział ani słowa. Choć wiedział, że dopiero z tego powodu nastąpiła ta „rejterada”, a nie wcześniej, i że wśród „rejterujących” był wódz naczelny polskiego wojska marszałek Edward Rydz-Śmigły, który uciekł później z zagranicznego internowania i powrócił, by walczyć i umrzeć podczas wojny w kraju.

Nie godzi się tak mówić o politycznym wrogu, a co dopiero o wojskowym. Ale to trzeba najpierw wiedzieć. Co sądzą Polacy o honorze Śmigłego, przekonać się można od lat 60., idąc 1 listopada na warszawskie Powązki, gdzie przy jego grobie płonie stos zniczy. Smutne, że do dziś Jaruzelski nie powiedział nic, co pozwalałoby mu reprezentować w Moskwie także tych, którzy je zapalają.

PAPIEŻ I „BIG BROTHER”

Rodziny zabitych i żyjący górnicy z kopalni Wujek po śmierci Jana Pawła II wystawili mu najpiękniejszy pomnik. Postanowili

spełnić jego słowa: „Chrześcijanin winien zawrzeć pokój nawet wówczas, gdy czuje się ofiarą kogoś, kto go niesłusznie znieważał i uderzył”. Zaapelowali o pojednanie ofiar z prześladowcami.

Z tego pięknego gestu media zrobiły show. Tomasz Lis zaprosił do telewizji dwoje autorów apelu, generała Jaruzelskiego oraz... dwóch czynnych polityków – Jana Rokitę i Stefana Niesiołowskiego. Z nadzieją, że pojednanie nastąpi na antenie. Szlachetny zawysł przerodził się w wielką publiczną awanturę, którą Jaruzelskiemu urządził niezawodny w tym rzemiośle Rokita. Na oczach zdumionych ofiar.

Niestety, tak trudnych spraw nie daje się rozwiązać w konwencji „Big Brother”. Nie przypadkiem na ogół robi się to zupełnie inaczej – intymnie, krok po kroku, nie wywierając presji. I bez gawiedzi. A jeśli problem jest szerszy i pasjonujący, wystarczy na koniec sucha informacja. No, może fotka.

Ale nawet taka niezręczność nie usprawiliwała niektórych reakcji generała Jaruzelskiego wobec obecnych w studiu ofiar. Apelu o pojednanie nie odebrał jako adresowanego do siebie, bo przecież „naprawdę nie kierowałem tymi lufami”. Pacyfikacja Wujka to dla niego „bolesny, ale incydent w ramach wielkiego wydarzenia, jakim był stan wojenny”. O brutalnym traktowaniu ofiar i braku jakiegokolwiek pomocy dla ich rodzin nic nie wiedział, bo skierował do Katowic zaufanego człowieka, który – jak się okazuje – nie wszystkiego przypilnował. Wreszcie generał wykorzystał audycję do promocji swojej kolejnej książki, która ma wszystkich przekonać, jak bardzo potrzebny był stan wojenny.

A przy tym wszystkim Jaruzelski generalnie przepraszał, generalnie czuł się odpowiedzialny. Czyż nie jest to osobowość pokręcona, niezdolna do odczuwania normalnych, konkretnych, ludzkich przeżyć? Chyba nawet sam to później zrozumiał (albo jego doradcy), proponując autorom apelu kolejne spotkanie.

Oby jak najmniej jupiterów i dziennikarzy temu towarzyszyło. Bo jak mądrze zauważył w studiu górnicy z Wujka, nie chodziło mu o reakcję Jaruzelskiego polityka, ale człowieka. Dajmy im porozmawiać spokojnie. Może coś dotrze?

SZARY ODCIEŃ STAROŚCI

– Nie wiedziałem. Panie redaktorze, można mi wierzyć, można mi nie wierzyć. (...) Ja do tego nie sięgałem przecież – odpowiadał Jaruzelski w radiu na pytanie Jacka Żakowskiego o polskich agentów w Watykanie. Zasłaniał się niepiamięcią.

Korzystając z zaoferowanej możliwości wyboru – nie wierzę. Polityk, który bierze całą

odpowiedzialność za minioną epokę i przeprasza, tak się nie zachowuje. To pustosłowie, jeśli generalnemu „przepraszam” towarzyszy puszczenie w niepamięć szczegółów albo zaśłona dymną niewiedzą.

Jaruzelski lubi w opresji używać argumentu, że niektórzy ludzie Solidarności mu wybaczyli, wznieśli się ponad urazy, historyczne podziały i szanują go za to, co zrobił w 1989 roku. To prawda. Ale nieprawda, gdy wpada w swoją pokrętność, mówiąc, że przez całe życie konsekwentnie do 1989 roku zmierzał. Szkoda, że otrzymaną ze strony dawnej antykomunistycznej opozycji szansę na pojednanie właściwie zmarnował. Teraz marnuje

szansę, jaką mu dają poszkodowani w kopalni Wujek. Szarzej.

Podobnie może być z wyjazdem do Moskwy. Jeśli ma tam reprezentować tylko swoją komunistyczną formację i tylko swoją drogą historyczną podczas wojny – lepiej, żeby nie jechał, o co apeluje wiele osób. A jeśli musi jechać, bo bardzo chce – powinien zrozumieć i dać wcześniej czytelny sygnał, że reprezentuje tam wszystkich, a więc i tych, którzy się Moskwie nie podobają.

Polityczna jesień generała stawia go znów przed wyborem między czernią i bielą. Uciec jak zwykle w szarość 9 maja się nie da.

WOJCIECH MAZOWIECKI

SIŁA PRZYJAŹNI

* WSPIERANA PRZEZ 230 V



Vattenfall zapewnia ciepło i elektryczność milionom domów w całej Europie. Jest to usługa, którą większość ludzi traktuje jako coś oczywistego. I właśnie tak być powinno. Jesteśmy przekonani, że energia, jaką mają nasi Klienci, jest o wiele bardziej imponująca niż ta, która płynie z domowych gniazdek. Wierzmy też, że łącząc nasze siły, możemy zdziałać więcej.

Powstrzymać Hollywood

Gdyby o festiwalach filmowych dało się mówić językiem mody, można by uznać, że tegoroczne Cannes, które rozpocznie się już 11 maja, zdominuje styl klasyczny. W konkursowe szranki staną mistrzowie autorskiego kina: Gus Van Sant, Lars von Trier, Jim Jarmusch, Amos Gitai, Wim Wenders, Michael Haneke. – Moją misją jest uczynienie z wartości artystycznych serca tego show – deklaruje przewodniczący jury 58. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes Emir Kusturica. Bośniacki reżyser od dawna narzekał na amerykanizację imprezy (efektem był kontrowersyjny zeszłoroczny werdykt jury, które nagrodziło dokument „Fahrenheit 9.11”) i zamierza wreszcie z nią skończyć. Jako przeciwwaga dla jankeskiej ekspansji powstała

25 kwietnia – próba generalna przed moskiewską paradą zwycięstwa



POBIEDA DLA WYBRAŃCÓW

Najpierw ponad 50 szefów państw ustawi się w wyznaczonym porządku na trybunie honorowej przed Kremlm. Potem przemaszerują przed nimi rosyjskie formacje zbrojne, będzie też hymn a cappella, kilkuset weteranów, a wieczorem salut z kilkudziesięciu dział i sztuczne ognie.

Przeciętny mieszkaniec Moskwy ma z 60. rocznicy zwycięstwa niewiele – centrum stolicy pozostanie dla niego strefą zamkniętą. Władze Moskwy już w połowie kwietnia poleciły narodowi, by najlepiej wynieśli się na wieś.

„Świętowanie 60-lecia zwycięstwa będzie przypominać moskiewską olimpiadę w roku 1980,

MIESZKAŃCOM MOSKWY POLECONO, BY 9 MAJA PODCZAS PARADY ZWYCIĘSTWA NAJLEPIEJ WYJECHALI Z MIASTA

kiedy stolica opustoszała” – przyznaje dziennik „Wriemia Nowostiej”. W środku miasta całe strefy objęte zostaną systemem przepustek i metalowych bramek, największe ulice zostaną wyłączone z ruchu, od 7 do 10 maja ciężko będzie się dostać na lotnisko Szeremietiewo. „Zwykli moskwianie zostali uznani za persona non grata we własnym mieście” – komentuje „Wriemia”, dodając, że władze nie

zorganizowały żadnych masowych uroczystości dla przeciętnych ludzi. Putina i innych przywódców będą mogli oglądać w telewizji.

Jak za dawnych lat święto poprzedzi walka z kilkunastoma tysiącami moskiewskich bezdomnych, którzy zbyt kłują w oczy, i setkami tysięcy „nielegalów” – Rosjan, którzy nie mają moskiewskiego meldunku. – Wszyscy nielegalni migranci i kłoszardzi zostaną deportowani z Moskwy albo skierowani do specjalnych ośrodków – zapewniają władze.

Rosyjskie media informowały o 9 maja jak o kłęsce żywiołowej, prezentując mapy zamkniętych sektorów. (JK)

MIĘDZYNARODÓWKA ARESZTOWANYCH

PROTEST OPOZYCJI WYWOŁAŁ BRUTALNĄ SZARŻĘ MILICJI W MIŃSKU I SYMPATIE W KIJOWIE

W 19. rocznicę Czarnobyla opozycjoniści zebrał się przed siedzibą Aleksandra Łukaszenki i domagali się ujawnienia prawd o następstwach katastrofy. Oficjalne media twierdzą, że życie w napromieniowanych regionach wraca do normy. Nie wierzy w to wielu z 1,5 miliona mieszkańców zagrożonych regionów, gdzie wciąż nader często chorują dzieci. Reżim Łukaszenki utrudnia ich wyjazdy za granicę, oficjalnie z obawy przed wpływem kapitalizmu. W tłumie manifestantów w Mińsku powiewały także flagi ukraińskiej pomarańczowej rewolucji. Milicja rozpędziła demonstrację i zatrzymała 32 uczestników, także Rosjan i Ukraińców. MSZ Rosji miał zapewnić pomoc aresztowanemu, ale wypominał im uczestnictwo w nielegalnym zgromadzeniu. W Moskwie zatrzymano grupę manifestującą solidarność z opozycją w Mińsku. Kijów od razu zażądał uwolnienia pięciu uwięzionych Ukraińców. Zatrzymanych odwiedził konsul Ukrainy, obiecał im pomoc i poparcie. (RYB)



26 kwietnia, Mińsk

Al-Dżazira atakuje

Arabska telewizja Al-Dżazira jest bardziej rozpoznawalną marką niż CNN – donosi branżowy tygodnik „Brandchannel”. Znana z transmisji nagrań Osamy ben Ladena telewizja chce teraz konkurować z CNN International, BBC World i Fox News. Al-Dżazira będzie 24-godzinny międzynarodowy kanał informacyjny nadającym również w supernowoczesnym systemie o wysokiej rozdzielczości, także po angielsku, a nawet po francusku. (KDJ)

ZAŻDROŚĆ STAREJ EUROPY

FRANCJA I NIEMCY CZUJĄ NA PLECACH ODDECH RYWALI ZE WSCHODU. ZACHÓD UNII EUROPEJSKIEJ MYŚLI O REFORMACH PODATKOWYCH

Roczny wzrost gospodarczy rejestrowany przez urzędy statystyczne nowych krajów członkowskich bije na głowę wyniki starej Europy – w przypadku krajów bałtyckich waha się nawet między 6 a 8 procent. To wynik, o którym starzy członkowie Unii mogą tylko marzyć

– na osiągnięcie takich wskaźników rozwijająca się w ślimaczym tempie Unia straciła nie rok, ale ostatnie pięć lat. Polska – największy kraj regionu – zasysa w ciągu roku około 10 miliardów dolarów inwestycji, zwiększając jednocześnie o jedną trzecią eksport do krajów Unii.

Ekonomicznym eliksirem, który czyni cuda na Wschodzie, jest sprzyjający ożywieniu podatek liniowy. Węgier Laszlo Kovacs, unijny komisarz ds. podatków, chciałby przenieść ten model na cały kontynent i rozszerzyć strefę ożywienia gospodarczego. Ale opór przed liberalizacją systemu podatkowego jest duży, zwłaszcza we Francji i w Niemczech, które boją się cięć programów socjalnych w obawie przed zemstą wyborców. Stara Unia płaci za to zastojem gospodarczym i bezrobociem. We Francji i w Niemczech bez pracy pozostaje w sumie osiem milionów ludzi (w Polsce trzy miliony). (QBA)

Ludzki ryż



Pole ryżowe w Kengha w Wietnamie

Transgeniczny ryż z ludzkim genem wyhodowali japońscy specjaliści z Narodowego Instytutu Agrobiologii w Tsukaba. Wprowadzony do DNA rośliny gen naturalnie występuje w ludzkiej wątrobie i odpowiada za produkowanie enzymu zwanego CYP2B6. Enzym ten ułatwia rozkład toksycznych substancji w organizmie.

Badacze mają nadzieję, że detoksykacyjny enzym będzie wspomagał rozkład herbicydów i zanieczyszczeń przemysłowych dostających się do roślin z wodą i powietrzem. Dzięki temu zmodyfikowany ryż może być używany na przykład do oczyszczania terenów zatrutych odpadami przemysłowymi. Ryż odporny na herbicydy będzie też łatwiejszy w hodowli. Rolnicy będą mogli tępić chwasty i szkodniki chemikaliami bez obawy, że zaszkodzi to uprawianym roślinom. Genetycznie zmieniane rośliny do tej pory były odporne na zaledwie kilka herbicydów. Ryż z wątrobowym genem opiera się aż 13 substancjom chemicznym.

Ostatnie dokonanie inżynierii genetycznej nie przypadło do gustu przeciwnikom żywności genetycznie modyfikowanej. – Czy jedzenie ryżu z ludzkim genem nie będzie rodzajem kanibalizmu? – pytają. Ostrzegają również, że dodawanie ludzkich genów do roślin i zwierząt może ułatwić przenoszenie się na człowieka groźnych wirusów. (OWO)

SPRAW, ŻEBY W 2007 TWÓJ EKSPRES TWORZYŁ WŁAŚCIWY KLIMAT

W 2007 roku wszyscy Klienci w Polsce będą mogli decydować o tym, kto będzie dostarczał im elektryczność. Co to zmieni? Cóż... ekspres do kawy będzie działał tak samo jak do tej pory, podobnie lodówka, telewizor czy lampa. Jednak możliwość wyboru sprawi, że dostawcy będą musieli liczyć się z Twoimi wymaganiami i nauczyć się je zaspokajać. Konkurencja spo-

woduje, że firmy energetyczne zaczną dbać o solidność, Twoje poczucie wygody i o środowisko, które Cię otacza. Z takimi wyzwaniami Vattenfall codziennie spotyka się na jednym z najstarszych wolnych rynków energii – w Szwecji. Z efektów naszych starań korzystają nie tylko Skandynawowie, ale także miliony ludzi we wszystkich europejskich krajach,

w których obecnie działamy. Przykładów jest wiele: używamy sms-owego powiadomienia o sprawach związanych z dostawą energii i zapewniamy naszym Klientom skuteczną całodobową pomoc; wprowadziliśmy usługę zdalnego odczytywania liczników i sporządzania precyzyjnych rachunków, tak by Klienci płacili tylko za rzeczywiście wykorzystaną energię. To jedynie mała część naszych starań. W produkcji energii udało nam się osiągnąć 36-procentową redukcję emisji dwutlenku węgla, a obecnie pracujemy nad niezwykle ambitnym projektem, który nazywamy „Elektrownia o zerowej emisji”.

Kiedy w 2007 roku polski rynek energetyczny zostanie uwolniony – nie oczekuj, że zmieni się smak parzonej kawy. O ile jednak przyjemniej będzie Ci się ją piło z myślą, że firma dostarczająca energię zrobi wszystko, żeby ekspres działał, chroniąc zarazem środowisko.

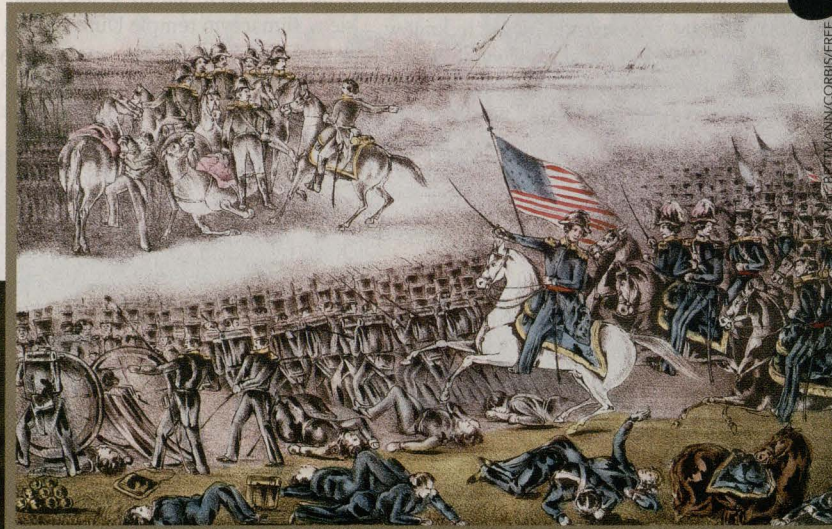
Więcej informacji o Vattenfall znajdziesz na naszej stronie: www.vattenfall.pl



WOJNY O HISTORIĘ

MAREK RYBARCZYK

Bitwa pod Buena Vista w 1847 roku rozstrzygnęła o powodzeniu ekspansji USA kosztem Meksyku. Teraz Meksykanie rewanżują się i masowo uciekają do USA, nawet płynąc wpraw przez rzeki pełne chemikaliów



Na wszystkich kontynentach trwa
nieustająca wojna światowa o przeszłość.
Krew przelaną w dawnych masakrach pija
nowe upiory historii

Przedstawiamy kulisy wybranych kłótni o pamięć: od Meksyku i USA, przez Wielką Brytanię i Ulster, Palestynę i Izrael, aż po Indie, Pakistan oraz Japonię i Chiny

W ubiegłym miesiącu o historię spierali się Ormianie i Turcy, Izraelczycy i Palestyńczycy, Chińczycy i Japończycy, Baskowie i Hiszpanie oraz protestanci i katolicy z Ulsteru. Kwiecień od dawna jest ulubionym miesiącem zbrodni, a nic tak nie rozpala historycznych konfliktów jak rocznice dawnych tragedii. Takich jak rzeź w Deir Yassin w Palestynie, masakra na placu Tiananmen w Chinach, ludobójstwo w Rwandzie czy zbrodnia katyńska.

Na całe szczęście w światowej wojnie o historię krwawe bitwy ustąpiły miejsca dyplomatyczno-medialnym awantomom, a za broń służą dziś głównie słowa. Choć nie wszędzie. Terrorysty to dla niektórych „bojownicy o wolność”, zniewolenie bywa nazywane „wyzwoleniem”, masowe egzekucje zamieniają się w „misję pokojową”, a przemyt nielegalnych imigrantów w „akt bohaterstwa”.

PAMIĘĆ ODGRZEWANA

Gdzie spory o historię słabną, a gdzie nadal dochodzi do beznadziejnego przelewu krwi? 13 grudnia 1937 roku rzeka Jangcy była pełna świeżych trupów – kobiet, dzieci i starców. Uciekający przed Japończykami mieszk

kańcy Nankinu zostali wystrzelani jak kaczki. Rzeź nad rzeką była wstępem do paratygodniowej masakry na ulicach miasta, które spłynęły krwią ćwierć miliona chińskich cywiliów i jeńców. W przerwach w zabijaniu japońscy żołnierze zgwałcili około 20 tysięcy kobiet, w tym 10-letnie dziewczynki.

Wiosną tego roku japońskie ministerstwo edukacji dopuściło do szkół podręcznik historii, który sugeruje, że masakra w Nankinie była incydentem, w którym „mogło stracić życie wielu Chińczyków”, a brutalne japońskie podboje w Azji prezentuje jako operację obronną i misję pokojową. W reakcji na publikację przez Pekin, Shenzhen, Kanton i inne chińskie miasta przeszły wielotysięczne tłumy demonstrantów, atakując japońską ambasadę i konsulaty, demolując restauracje.

Co dla Chińczyków i Koreańczyków stanowi bolesną historyczną zadrę, dla Tokio jest jedną z setek krwawych operacji tragicznie przegranej wojny, która pochłonęła życie 2,5 miliona Japończyków i zakończyła się atomową hekatombą. Japoński premier Junichiro Koizumi od 2001 roku składa hołd ofiarom II wojny światowej w sintoistycznej świątyni Yasukuni, gdzie obok zwykłych żołnierzy spoczywają prochy 14 japońskich zbrodniarzy wojennych.

Ostatnia awantura o podręczniki, jak często bywa, ma też wymiar geopolityczny. Chińskie demonstracje zostały częściowo sprowokowane przez władze w Pekinie, aby nagłośnić skandal i storpedować tym samym starania Tokio o stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ.

ORMIAŃSKA HEKATOMBA

23 kwietnia pod pomnik ofiar w Erewanie przyszła wielka manifestacja młodzieży z zapalonymi świecami. Domagali się prawdy o masowej eksterminacji Ormian w czasie I wojny światowej, gdy Armenia znajdowała się w granicach imperium otomańskiego. Pamięć ofiar masowych wywózek i egzekucji Ormian oraz pomordowanych w tureckich obozach koncentracyjnych z lat 1919–1923 nie została w Turcji nigdy uhonorowana.

Granice Armenii z Turcją są zamknięte, a zwaśnione kraje nie utrzymują stosunków dyplomatycznych. Ankara broni swojej wersji historii, uznając pierwsze akty ludobójstwa XX wieku za „incydenty I wojny światowej”. Historyczne krzywdy rodzą odwet. Długo postrachem Turków na całym świecie był ormiański terroryzm. W latach 80. Tajna Armia Wyzwolenia Armenii (ASALA) postawiła sobie za cel wymuszenie na Turkach zwrotu całych połaci terytorium tureckiego i jego połączenia z radziecką Armenią. Na historycznym sporze żerowało inwigilujące ASALA KGB – marzeniem ZSRR była destabilizacja Turcji.

W konflikcie z innym bogatym i ekspansywnym mocarstwem pozostają od dwóch stuleci Meksykanie. W połowie XIX wieku USA i Meksyk toczyły wojnę przez każdą ze stron nazywaną odmiennie. W Stanach Zjednoczonych to „wojna z Meksykiem”, w Meksyku – „amerykańska inwazja na Meksyk”. Konflikt zapoczątkowała amerykańska propozycja umorzenia długów państwa Meksyk wobec kolonistów z USA, pod warunkiem że rząd meksykański zgodzi się sprzedać terytoria Alta California i Nowy Meksyk.

Dla wielu Meksykanów był to prawdziwy policzek. Amerykański generał Zachary Taylor wkroczył do Meksyku i zajął terytorium przygraniczne. Po pierwszych bitwach to prezydent James K. Polk oskarżył Meksyk o agresję i Kongres wypowiedział Meksykanom wojnę. 22 lutego 1847 roku Amerykanie zwyciężyli w wielkiej bitwie pod Buena Vista koło Monterrey, a wkrótce potem wojska USA wkroczyły do stolicy Meksyku.

Utrata terytorium sprawia, że Meksykanie nadal żywią nieufność do USA. Nie przeszkadza to setkom tysięcy nielegalnych imigrantów z Meksyku przekraczać granicy w poszukiwaniu pracy. Niemal oficjalnie pomaga im w tym meksykański rząd. W USA uznawani za przestępców, przez prezydenta

Rok 1933
– świątynia
Yasukuni
w Tokio.
Nacjonaliści
demonstrują
radość
z powodu
wycofania
Japonii z Ligi
Narodów

**Palestyńczycy uważają, że Żydzi
wymordowali 300 mieszkańców
wioski Deir Yassin. Izraelczycy
mówią o ofiarach zaciętych walk
albo wolą milczeć o zbrodni**

Meksyku Vicente’a Foksa zostali określani narodowymi bohaterami. Zemsta za bitwę pod Buena Vista?

CIEŃ DEIR YASSIN

W kwietniu 1946 roku jednostki paramilitarne Hagana towarzyszące armii powstającego Izraela zaatakowały wioskę Deir Yassin na zachodnich przedmieściach Jerozolimy. Wokół tego, co się stało 9 kwietnia, narosło wiele mitów i kontrowersji. Spór o historię odżywa każdej wiosny.

Wersja izraelska mówi o zaciętych walkach z Arabami – o każdy dom i podwórko. Palestyńczycy uważają, że Żydzi wymordowali z zimną krwią 250 cywilów, a wiele kobiet zostało przed śmiercią zgwałconych. Liczby i okoliczności są sporne, ale niezależne źródła potwierdzają większość tych oskarżeń. Faktem jest jednak też, że Arabowie nagłaśniali masakrę w Deir Yassin w celach propagandowych.

W maju 1948 roku Anglicy wycofali wojska z zapalnego rejonu, a rok wcześniej ONZ nakazała podzielić je między Żydów i Arabów. Wybuchł konflikt, który Izraelczycy nazywają dziś wojną o niepodległość, a Palestyńczycy piętnują jako imperialistyczną agresję Żydów. Do zakończenia walk w 1949 roku na Zachodni Brzeg Jordanu i za granicę uciekło 800 tysięcy Palestyńczyków.

Przekazywana z pokolenia na pokolenie świadomość wypędzenia przez dziesięciolecia oliwiała tryby krwawej maszyny konfrontacji. Masakra w Deir Yassin stała się usprawiedliwieniem palestyńskiego terroryzmu. Izrael zmienił nazwę wioski na korzystniejszą z propagandowego punktu widzenia – dziś nazy-

wa się Kfar Shaul, czyli Wioska Saula, pierwszego króla Izraela.

AUTOBUS DO POKOJU

Indie 1974 rok. Napastnicy zatrzymują pociąg i mordują wszystkich pasażerów, oszczędzając jedynie maszynistę. Pół wieku temu, gdy u schyłku brytyjskich rządów subkontynent indyjski dzielił się na Indie i Pakistan, takie zbrodnie były na porządku dziennym. Liczba uciekinierów osiągnęła 12 milionów, a w gorące religijnych i etnicznych zbrodni zginęło milion ofiar. W ciągu ostatnich 50 lat Indie i Pakistan stoczyły trzy konflikty o sporny Kaszmir, a zaledwie dwa lata temu znalazły się o krok od wojny atomowej. Hindusi i muzułmanie do dziś winią się nawzajem i prowadzą licytację okrucieństw.

W tym roku Indie i Pakistan zdołały symbolicznie odrzucić część bagażu przeszłości. 7 kwietnia ze stolicy Srinagaru w Kaszmirze wyjechał pierwszy autobus do miasta Muzaffarabad w pakistańskiej części podzielonego stanu. Na razie autobusy jeżdżą będąc co dwa tygodnie, ale drogi przez linię demarkacyjną pozostaną otwarte dla podzielonych rodzin i handlarzy.

Podczas kwietniowych rozmów w Delhi prezydent Pakistanu generał Muszarraf i indyjski premier Singh jednym głosem zadeklarowali koniec sporów o historię i ziemię w Kaszmirze, ale do formalnego pokoju jeszcze daleka droga. Pakistan przyrzekł nie popierać partyzantów dokonujących zamachów terrorystycznych w indyjskiej części Kaszmiru, chociaż wielu patriotów w Islamabadzie wciąż uważa ich za bojowników o wolność.



Świątynia Yasukuni.
Doroczne, kwietniowe
obchody pamięci
Japończyków zabitych
podczas II wojny światowej



Arabski znaczek
pocztowy
dla uczczenia
pamięci ofiar
masakry
Palestyńczyków
w 1946 roku.
Sprawcami byli
żydowscy
bojówkarze

Na drugim krańcu świata, inna organizacja terrorystyczna – Irlandzka Armia Republikańska (IRA) – pod koniec kwietnia usiadła z rządem brytyjskim do rozmów o całkowitym rozbrojeniu i ograniczeniu się do walki politycznej. Protestanci nie wierzą jednak w dobre intencje nacjonalistów radykałów, przypominając, że takie samo zobowiązanie IRA złożyła już siedem lat temu.

Spór o władzę nad północą Irlandii trwa od setek lat. Współczesny konflikt sięga lat 60., kiedy protestanci zepchnęli katolicką mniejszość do roli obywateli drugiej kategorii. 30 stycznia 1972 roku brytyjscy komandosi otworzyli ogień do uczestników nielegalnej katolickiej demonstracji w Londonderry, zabijając 14 osób. Wydarzenie to przeszło do historii

jako „krwawa niedziela” i wyznacza początek walki zbrojnej IRA z rządem brytyjskim.

Tragedia w Londonderry, podobnie jak cała przemoc w Irlandii Północnej, była owocem kolonizacji Ulsteru przez szkockich osadników, do której doszło 300 lat wcześniej. Marginalizowani coraz bardziej katolicy zdecydowali się na desperackie powstanie, w którym wyróżniło około stu tysięcy osadników, w tym kobiety i dzieci. Legenda wokół masakry w Portadown głosi, że po ciałach utopionych protestantów można było przejść suchą stopą z jednego brzegu Bann na drugi. „W 1641 roku fenianie zaplanowali mord na protestantach. Chcieli nas zagnać co do jednego jak świnię na rzeź do rzeki Bann” – śpiewają do dziś protestanci.

W Ulsterze do dziś trwa spór o historię. Dla katolików opór przeciwko przybyłemu ze Szkocji był i będzie słuszną, patriotyczną walką o niepodległość i ziemię – tak jak opór przeciwko Brytyjczykom w latach 70. i 80. IRA uważała, że prowadzi dziejowej walce o zjednoczenie Ulsteru z Republiką Irlandii, natomiast brytyjskie media eufemistycznie nazywały cały ten okres epoką troubles, czyli doraźnych kłopotów.

IRA walki nie wygrała i wygrać nie może. W zjednoczonej Europie granica Republiki Irlandii z Ulsterem właściwie nie istnieje, a żyjący w dobrobycie Irlandczycy zarówno z południa, jak i z północy w większości nie są zainteresowani zmianami granic czy barw narodowych. Spada też znaczenie religii

– mieszkańcy Irlandii Północnej coraz rzadziej chodzą do kościoła. Dlatego konflikt w Ulsterze bywa określany mianem konfrontacji tożsamości definiowanych przez istnienie wroga. My jesteśmy sobą, bo nienawidzimy tamtych.

PODZIELENI BASKOWIE

Podobny proces zubożnienia na przynależność narodową dokonuje się w Krainie Basków, jeszcze kilka lat temu jednym z najbardziej zapalnych punktów Europy. W kwietniowych wyborach nacjonalistyczna partia PNV straciła większość w baskijskim parlamencie, a zaledwie połowa miejscowych nacjonalistów jest zainteresowana rozszerzeniem baskijskiej autonomii (osobne paszporty, reprezentanci w organach Unii, osobne sądownictwo). Zdecydowana większość potępia metody terrorystów z ETA.

Naród baskijski jest dumny ze swojej historii i ruchu oporu wobec reżimu Franco. Baskowie pamiętają dobrze lata 80., kiedy

na ludzi z ETA polowały szwadrony śmierci sterowane przez hiszpański rząd. Ale ważniejsza okazuje się druga strona historii: autonomia nadana Baskom przed 25 laty przez Madryt należy do najszerzych w Europie, choć nawet ona pozostaje przedmiotem historycznych sporów. Dla ETA jej poparcie jest równoznaczne ze zdradą, z kolei dla umiarkowanych polityków jej odrzucenie to akt szaleńczego radykalizmu. Ale dziesięciokrotna ETA od dwóch lat nie zabiła ani jednej osoby i nawet premier José Zapatero widzi szanse na historyczny kompromis ostatecznie regulujący kwestie autonomii.

Czy ETA złoży broń? Ofiarą jej pierwszego zamachu politycznego w 1968 roku padł stosujący tortury oficer tajnej policji Melton Manzananas. Po upadku reżimu Franco i nadaniu autonomii Baskom walka ETA była już tylko budzeniem historycznych upiorów. W 1986 roku miała miejsce jedna z najbardziej odrażających zbrodni ETA. Na rynku zatłoczonego baskijskiego miasteczka od jednej kuli w głowę zginęła trzymająca za rękę synka Dolores Gonzales Catarain, działaczka kierownictwa ETA. Jej jedyną winą było odejście od terrorystów, kiedy zwątpiła w ideały ruchu. Ci, którzy nie wielbią demonów przeszłości, są śmiertelnymi wrogami kapitanów wojen o historię.

MAREK RYBARCZYK

Podyskutuj na ten temat w portalu Wirtualna Polska w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

OCZERNIANIE i wybielanie

Kiedy świadkowie jeden po drugim pogrążali gwiazdora, zamiast uśmiechu na jego twarzy pojawił się dramatyczny grymas. Adwokaci nie ocalą już reputacji Jacksona. Walczą tylko o jego wolność

CHAEŁA JACKSONA

Namiot rozbity przy wejściu do budynku sądu okręgowego w kalifornijskim miasteczku Santa Maria co dwie godziny zapelnia się ekipami telewizyjnymi, które nie mają wstępu na salę rozpraw. Co dwie godziny, bo wtedy na tablicy w namiocie wywieszane są odręczne szkice z amerykańskiego procesu studenckiego. Sąd zakazał filmowania procesu Michaela Jacksona. Rysunki, kreślone pośpiesznie w czasie rozpraw, są jedynymi obrazami, które wolno pokazywać w telewizji.

Sądowi rysownicy Vicki Behringer i Bill Roles mają pełne ręce roboty. Codziennie rano zasiadają w pierwszym rzędzie dla publiczności i zbrojeni w szkicowniki i ołówki. Każdy z rysowników produkuje codziennie mniej więcej pięć obrazków. Dokumentują sceny z procesu, ale przede wszystkim zmianę wyrazu twarzy Jacksona, w miarę jak rozpada się jego medialny wizerunek i pilnie strzeżony prywatny azyl. W ciągu trwającego od dwóch miesięcy procesu świadkowie oskarżenia wywlekli tyle brudnych tajemnic alkowny króla popu, że to nie zszargana reputacja jest największym zmartwieniem Michaela Jacksona. Jego adwokaci walczą o to, by nie poszedł siedzieć.

REKA W SPODNIACH

– Lizał mojego syna po czołe jak kot – mówiła przed sądem Janet Avrizo, matka 15-letniego chłopca, który oskarża Jacksona o molestowanie seksualne w roku 2003. Bez zeznań Gavina Avrizo nie byłoby aktu oskarżenia, ale prokurator Tom Sneddon zgromadził całą armię świadków, którzy swoimi zeznaniami dopełniają obraz pedofilskiej rozpusty, jaka miała panować na ranczu Neverland.

W aktach zaprotokołowano opowieści o tym, jak Jackson wynosił z kąpeli nagich chłopców. Kassim Abdul, ochroniarz zatrudniony kiedyś w Neverlandzie, miał dostar-

czać słoiki z wazeliną do sypialni, w której „spocony i podniecony” gwiazdor spędzał czas w towarzystwie nieletnich. Inny był ochroniarz miał widzieć Michaela uprawiającego seks oralny z chłopcem.

Prawdziwych rewelacji dostarczył prokuratorze były kucharz Jacksona. – Srebrny Lis chce trochę frytek – usłyszał pewnej nocy w słuchawce Phillip Lemarque. Gdy wszedł do sypialni z zamówieniem, zobaczył piosenkarza trzymającego rękę w spodniach Macaulaya Culkina, wówczas małoletniej gwiazdy filmu „Kevin sam w domu”.

Odpowiedzią obrońców Jacksona miała być parada hollywoodzkich gwiazd gotowych zaświadczyć w sądzie, że piosenkarz jest przyzwoitym człowiekiem. Na liście złożonej w sądzie figurowali między innymi: Stevie Wonder, Diana Ross, Liz Taylor, Quincy Jones, koszykarz Kobe Bryant i prezenterzy telewizyjni Jay Leno i Larry King.

Ale parady nie będzie. Sąd zastrzegł, że wezwie tylko tych, którzy mają związek ze sprawą. Macaulay Culkin, któremu zdarzało się w przeszłości bronić Jacksona przed oskarżeniami o pedofilię, tym razem nie chce mieć nic wspólnego z procesem, a pozostali, czując smród roztaczający się wokół procesu, dyskretnie wycofali swoje nazwiska. Ciężar obrony Jacksona spoczywa dziś na barkach anonimowych świadków – byłych ochroniarzy, kucharzy i fryzjerów, których wiarygodność stoi pod dużym znakiem zapytania.

SPÓŁDZIELNIA PLOTKARZY

Jako pierwsza w krzyżowym ogniu pytań poległa Janet Avrizo, matka molestowanego chłopca. Najpierw twierdziła, że Jackson chciał uprowadzić jej syna w balonie, potem adwokaci piosenkarza wyciągnęli jej kompromitujący rachunek, z którego wynikało, że usuwała zbędne owłosienie z nóg, brwi i okolic intymnych. Pani Avrizo zrobiła dokładnie to, czego oczekiwali – straciła panowanie nad sobą i oskarżyła Jacksona o sfałszowanie rachunku. – Przysięgam, depilowałam tylko nogi – zarzekała się przed sądem.

Jej teatralne występy zmęczyły nawet prokuratora, a sędzia nakazał wykreślić z protokołu większość jej zeznań. Wiarygodność pani Avrizo ostatecznie legła w gruzach, gdy sąd się dowiedział, że w przeszłości kłamała pod przysięgą, próbując wyludzić 150 tysięcy dolarów odszkodowania za rzekome pobicie.

Zamiar wyludzenia pieniędzy to zresztą główna linia obrony Jacksona. Jego adwokaci nie bez racji zwracają uwagę, że nikt ze świadków ani rodziców molestowanych rzekomo dzieci nigdy nie poszedł na policję.

Jeden z byłych ochroniarzy z Neverlandu zeznał nawet, że pracownicy zwolnieni przez Jacksona założyli nieformalną spółdzielnię, która zarabiała na sprzedawaniu brukowcom plotek o piosenkarzu. Zatrudnili nawet agenta, by w ich imieniu negocjował z mediami.

Wśród „spółdzielców” są świadkowie oskarżenia. Kucharz Phillip Lemarque żądał podobno od jednej z gazet stu tysięcy dolarów za rewelację o Jacksonie obmacującym Culkina, z tajemnic Jacksona żył też Kassim Abdul i niewymieniana z nazwiska sprzątaczką z Salwadoru, która twierdzi, że piosenkarz kąpał się z jej synem.

PRAWDA RETUSZOWANA

Niezależnie od kłopotów z wiarygodnością świadków prokurator Sneddon osiągnął już częściowe zwycięstwo, bo publicznie złożone zeznania definitywnie zrujnowały reputację Michaela Jacksona. Ponad połowa Amerykanów uważa dziś, że król popu jest winny.

Mimo to Jackson trzyma się mocno i ma nadal realne szanse na uniewinnienie. Wystarczy, że obronie uda się podważyć wiarygodność świadków, w tym najważniejszego, czyli samego Gavina Avrizo. W Ameryce nawet drobne z pozoru kłamstwo, często usprawiedliwione przez okoliczności, może uczynić ze świadka notorycznego łgarza, którego zeznania nie są warte funta kłaków.

Gavin przetrwał przesłuchanie i obronił swoją wersję wydarzeń, ale proces się jeszcze nie skończył. Prawnicy Jacksona słyną z dociekliwości. Chcąc osiągnąć uniewinnienie, najbardziej spektakularne rewelacje mogli zachować na finałową rozgrywkę.

Przysięgli, od których zależy przyszłość piosenkarza, będą mieli z werdyktem podobny problem jak rysownicy z nienaturalnie białą twarzą Jacksona. – Jeszcze nigdy nie udało mi się oddać prawdziwej barwy. Wychodzi za jasna albo za ciemna – opowiadała dziennikarzom Vicki Behringer. Problemem jest też ponure tło sądowej sali. Rysownicza podkolorowuje je trochę akwarelami.

Na tym procesie retuszuje się nie tylko szkice wywieszane przed sądem. Przerysowaną postacią jest sam oskarżony i prokurator, który 10 lat temu zawziął się, by wsadzić Jacksona za kraty. Koloryzują świadkowie, poszkodowani i adwokaci piosenkarza, którzy naginają fakty do swojej linii obrony. Wszystko na oczach tłumy żadnego kolejnych pikantnych szczegółów z życia gwiazdy. W tym procesie ustalenie prawdy zostało całkowicie podporządkowane wymogom widowiska.

IRENA Blichtr

Na sali sądu w Santa Maria nie ma kamer. Dokumentami procesu pozostaną artystyczne szkice, z których łatwo odczytać dramat, choć nie widać twarzy świadków ani ławy przysięgłych

JEFF ISRAELY

PÓŁTORA ROKU KAMPANII wyborczej

Podczas kryzysu zdrowia Jana Pawła II w październiku 2003 roku przez zachodnią prasę jak zwykle przetoczyła się lista *papabili*. Faworytem był kardynał Dionigi Tettamanzi z Mediolanu, Joseph Ratzinger w ogóle na niej nie figurował. Był wprawdzie dziekanem Kolegium Kardynałów, ale znawcy Watykanu byli zdania, że czasy jego potęgi minęły, poza tym postrzegano go jako osobę dzielącą Kościół.

W październiku coś zaczęło się jednak zmieniać. Jeden z kurialnych kardynałów w rozmowie z innym watykańskim dostojnikiem miał powiedzieć, że „Ratzinger ma szansę”. – Szanse na papieństwo ocenia się raczej na podstawie liczby wrogów, a nie liczby przyjaciół. Wówczas uważałem, że Ratzinger ma wciąż zbyt wielu wrogów – mówi dziś ten sam dostojnik.

Mimo pogarszającego się stanu zdrowia Jan Paweł II nie ustawał w wysiłkach, by zmienić ten stan rzeczy. Do śmierci mianował 115 spośród 117 kardynałów uprawnionych do udziału w konklawe, ostatnich na konsystorzu w październiku 2003 roku. Kolegium obsadził ludźmi, którzy gwarantowali kontynuację jego polityki. Co równie ważne, w ciągu ubiegłego roku większość wpływowych purpuratów postępowego skrzydła Kościoła przekroczyła 80. rok życia, co wykluczyło ich z konklawe.

Wśród elektorów jedynym wpływowym liberałem pozostał kardynał Carlo Maria Martini, jednak jego wpływy były ograniczone. W 2002 roku Papież zezwolił mu na podjęcie studiów biblijnych w odległej Jerozolimie. Jednocześnie nie przystał na prośbę Ratzingera, który chciał porzucić urzędnicze obowiązki w kurii.

Pod koniec 2003 roku w Ratzingera wstąpiły jakby nowe siły. Zaczął publikować książki i artykuły, stał się również słyszalny jako konserwatywny głos w sprawach europejskich i globalnych. Szczególnie aktywny był we Włoszech, gdzie po długim pontyfikacie Jana Pawła II odżyła tęsknota za włoskim papieżem. Ratzinger napisał kilka tekstów do włoskich gazet. – W ubiegłym roku zupełnie nieoczekiwanie stał się ulubieńcem konserwa-

**JOSEPH RATZINGER NIE ZOSTAŁBY
PAPIEŻEM, GDYBY NIE CICHĄ KAMPANIA
NA RZECZ JEGO KANDYDATURY.
ROZPOCZĘŁA SIĘ 18 MIESIĘCY TEMU,
NIE BEZ UDZIAŁU JANA PAWŁA II**

tywnej inteligencji – mówi wysoki rangą watykański urzędnik.

Sygnali, że Niemiec staje się kandydatem numer jeden, zaczęły przeciekać do prasy w styczniu. „Ratzinger jest zdecydowanie brany po uwagę” – napisał „Time”, powołując się na dobrze poinformowane watykańskie źródło. Ale nawet wtedy wielu przyjmowało ten pomysł z niedowierzaniem. – Uważałem, że to niemożliwe ze względu na jego wiek – mówi jeden z watykańskich urzędników.

DEBATA PRZED KONKLAWIE

W lutym Jan Paweł II trafił do szpitala. Kiedy Kościół ponownie skupił się na potencjalnych następcach, we Włoszech odbyło się coś na kształt papieskiej debaty przedwyborczej. Ratzinger i Tettamanzi wzięli udział w pogrzebie założyciela Komunii i Wyzwolenia, potężnego, konserwatywnego ruchu katolików świeckich. Ratzinger zaimprovizował nad trumną porwijącą mowę pogrzebową, która spotkała się z ogromnym aplauzem. Tettamanzi przewodniczący nabożeństwu jako miejscowy biskup czytał z kartki i został przyjęty chłodno.

Dla niemieckiego kardynała był to kluczowy moment. Miał szansę pokazać się jako silna, zdecydowana osobowość. Na Wielki Piątek Ratzinger na prośbę chorego Papieża napisał rozważania Drogi Krzyżowej. Jego mocne słowa o potrzebie oczyszczenia Kościoła z „brudu” (co było jednoznaczna aluzją do skandali z molestowaniem seksualnym, które w ostatnim czasie stały się plagą Kościoła) niektórych wystraszyły, ale spotkały się też z pozytywnym odzewem wielu,

którzy szukali oparcia w momencie odchodzenia Jana Pawła II. Bez większego rozgłosu Ratzinger stał się człowiekiem *de facto* kierującym Kościołem.

Kardynałowie z całego świata, którzy zjeżdżali na pogrzeb Papieża, zwracali się do swoich kolegów z kurii z prośbą o radę i informacje o tym, kto powinien być następnym papieżem. – Kardynałowie w większości się nie znają. Poznają się tu, w Rzymie. Jak? Za pośrednictwem kardynałów z kurii – mówi ksiądz z otoczenia Ratzingera. Osobą, z którą wszyscy chcieli się spotkać, był właśnie Ratzinger.

On sam nie krył się ze swoimi poglądami. – Mój głos jest zmęczony, bo mówiłem bez przerwy przez cały tydzień – powiedział na kilka dni przed konklawe, kiedy zatrzymał się w swoim biurze na krótkie obchody swoich 78. urodzin. Przez kilka dni przyszły papież oczekowywał odwiedzających go kardynałów, rozmawiając z nimi po niemiecku, włosku, francusku, angielsku i hiszpańsku. Jak powiedział jeden z obserwatorów, zabiegi na rzecz Ratzingera nie miały w sobie nic z polityki, były raczej próbą zmiany „nastroju” konklawe.

Ratzinger cały czas pozostawał w centrum najważniejszych wydarzeń – na pogrzebie Jana Pawła II, na mszach w czasie dzielącym pogrzeb od konklawe (*novendiales*), jako przewodniczący codziennych spotkań kongregacji kardynalskiej, na mszy otwierającej konklawe. Czy jego obecność wszędzie była konieczna? Mszy w czasie *novendiales* nie musiał odprawiać Ratzinger, nie był też zobowiązany do wygłaszania tak stanowczych homilii. – Ratzinger po prostu porwał piłkę i nie oddawał jej przez

dwa tygodnie – zauważa doświadczony watykanista. Zwolennik niemieckiego kardynała ujmuje to w sposób bardziej nabożny: – Tlił się w nim jakiś wewnętrzny ogień, jakby Bóg go wybrał.

NIE CHCIAŁ ZOSTAĆ PAPIEŻEM

W dzień rozpoczęcia konklawe Ratzinger wygłosił homilię, w której *de facto* zgłosił swoją kandydaturę i dał jasno do zrozumienia, że nie pójdzie na kompromis w sprawach ideologicznych. To była rękawica rzucona potencjalnym konkurentom i głos surmy bojowej wzywający zwolenników. – Cemu przedstawił cały program dla przyszłego Kościoła? – pyta doradca jednego z postępowych kardynałów. – Dla dziekana Kolegium Kardynalskiego powinien być to moment refleksji nad duchowym procesem, który właśnie ma się zacząć, a nie okazja do prezentowania swojego programu.

Zwolennicy Ratzingera widzą to inaczej. – To nie tak, że on chciał zostać papieżem. Nie chciał – mówi jeden z nich. Kardynał Martini starał się zorganizować opozycyjny obóz i gdy w poniedziałek elektoryzy wchodzili na konklawe, obserwatorzy byli zgodni, że naprzeciwko siebie stanęły dwa stronnictwa – konserwatyści skupieni wokół Ratzingera i grupa popierająca Martiniego. Ale Martini, który cierpi na chorobę Parkinsona, miał nadzieję jedynie na wywołanie impetu Ratzingera, by któryś z mniej konserwatywnych kardynałów miał szansę na uzyskanie poparcia.

Martini dobrze wypadł w pierwszej rundzie głosowania, lecz Ratzinger był już dwie długości przed nim. Wielu spośród 20 kardynałów z Ameryki Łacińskiej, którym bliski jest konserwatyzm Niemca, przyjechało do Rzymu z zamiarem wybrania właśnie jego. We wtorek Martini wycofał swoją kandydaturę, być może nawet oddał swój głos na Ratzingera. W drugim głosowaniu niemiecki kardynał dostał 60 głosów, w trzecim otarł się o wymaganą większość 77 głosów. W czwartym uzyskał poparcie 95 spośród 115 elektorów.

Łatwość, z jaką zwyciężył Ratzinger, pokazuje, jak sprawny i dobrze przygotowany był tym razem Rzym – powiedział jeden z kardynałów. Kiedy liczba głosów oddanych na Ratzingera przekroczyła wymagane dwie trzecie, w Kaplicy Sykstyńskiej „rozległo się głębokie westchnienie”, mówił na konferencji prasowej brytyjski kardynał Cormac Murphy-O'Connor. Ratzinger „siedział ze spuszczoną głową. Musiał odmawiać modlitwę”. Zapytany, jakie imię chce przybrać, nie zawahał się. – W przeszłości nowy papież zastanawiał się zazwyczaj około 10 minut – mówi dobrze poinformowane źródło w Watykanie. – Tym razem było inaczej. Ratzinger odpowiedział natychmiast. Był przygotowany. ■

© 2005. TIME INC. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.
TŁUMACZENIE I PRZEDRUK Z „TIME MAGAZINE” ZA ZGODĄ
TIME INC. POWIELANIE CAŁOŚCI LUB CZĘŚCI ARTYKUŁU
W JAKIKOLWIEK SPOŚÓB I W JAKIKOLWIEK JĘZYKU
BEZ UPRZEDNIEJ PISEMNEJ ZGODY TIME INC. JEST ZABRONIONE

**NIKT NIE LUBI
PŁACIĆ
ODSETEK
TY TEŻ NIE PŁAĆ**



**WYPRÓBUJ!
TERAZ KARTA GRATIS
+ 50 PLN NA ZAKUPY**

Płać kartą Millennium Visa economic. Płacenie kartą nie oznacza zaciągania kredytu. Korzystaj z pieniędzy Banku – to nic nie kosztuje, jeśli w ciągu 50 dni spłacisz saldo na karcie.

- Teraz karta za 0 PLN.
- W razie potrzeby – możesz skorzystać z nisko oprocentowanego kredytu – **tylko 9,9%***.
- Pełna kontrola wydatków – sprawdzasz historię dokonanych transakcji przez Internet, telefon, serwis MilleSMS lub na comiesięcznym wyciągu.

Dodatkowo, pierwsze 5 000 osób, które zapłacą kartą za zakupy, otrzyma 50 PLN na rachunek karty.

Millennium

Proste bankowanie

TeleMillennium® 0 801 12 5000

Oferta ważna do 30 czerwca 2005 r.

*Oprocentowanie przez pierwszych 6 miesięcy.

Rzeczywista roczna stopa oprocentowania wynosi 13,42%.

Zagadka PUTINA

JAKUB KUMOCZ

Dramatem Rosji nie są dyktatorskie zapędy **WŁADIMIRA PUTINA**, ale to, że jest on człowiekiem na wskroś radzieckim. Potrafi rządzić tylko z pomocą ludzi KGB i będzie to robił jeszcze przez co najmniej trzy lata

Ze swojej służby w KGB późniejszy prezydent Rosji najlepiej zapamiętał wydarzenie z roku 1989. Tłum demonstrantów otoczył siedzibę rezydentury w Dreźnie, podpułkownik Władimir Putin pełnił akurat dyżur. – Zadzwoń do naszego zgrupowania wojsk. Wyjaśnij im, jaka jest sytuacja, i słysz w odpowiedzi: „Nie jesteśmy w stanie niczego zrobić bez rozkazu z Moskwy. A Moskwa milczy” – wspomni po latach. – To „Moskwa milczy” dudniło mi w uszach. Poczułem, że mojego kraju już nie ma. Zrozumiałem, że Związek Radziecki jest śmiertelnie chory na paraliż władzy.

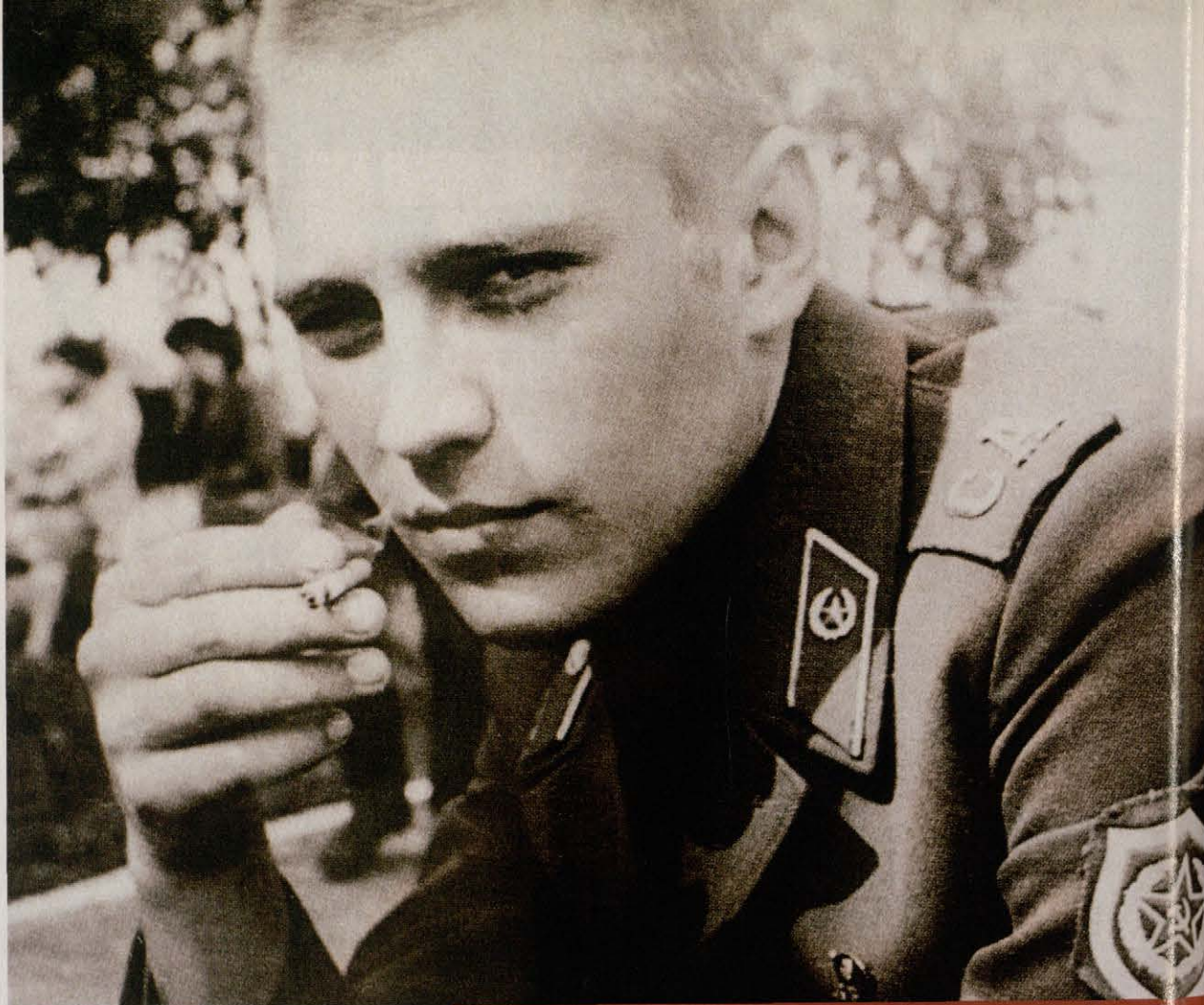
Przez pierwsze pięć lat swoich rządów Władimir Putin twierdził, że to on wydobył Rosję z paraliżu. Jego zwolennicy przypominali końcówkę lat 90., rozpitego Borysa Jelcyna, rządy oligarchów, NATO u granic, przegraną wojnę z Czeczenią i powszechną apatię. Temu wszystkiemu przeciwstawiali energicznego pułkownika KGB, jego błyskotliwą karierę od szefa służb specjalnych do premiera, a potem zwycięstwo w marcu 2000 roku w wyborach prezydenckich. Wyliczali zmiany – rozgromienie czeczeńskich separatystów, upokorzenie oligarchów, pensje wypłacane na czas i upragnioną przez Rosjan stabilizację.

Ale przeciwnicy prezydenta widzą inny bilans pierwszej kadencji. Rosja uwikłała się w drugą wojnę w Czeczenii tylko po to, by charyzmatyczny premier mógł się pokazać jako zwycięski wódz. Po pięciu latach zakres wolności w Rosji gwałtownie się skurczył, a jeżeli zsumować ofiary wciąż niezakończonych wojen w Czeczenii i towarzyszących jej zamachów, to rządy Putina kosztowały życie kilkanaście tysięcy osób.

DZIECI I OGRÓDKI

Na żywo zobaczyłem go po raz pierwszy w czerwcu 2003 roku. Doroczna konferencja prasowa, apogeum władzy i apogeum czeczeńskiej tragedii. Wojna wylała się na ulice Moskwy, kilka miesięcy wcześniej 130 osób zginęło w zamachu terrorystycznym na Dubrowce, miesiąc później terrorystka wysadziła się na koncercie

Putin zawsze miał opinię wysportowanego i wolnego od nałogów (zdjęcie z początku lat 70.). Oficjalnie nie pali, pije bardzo mało, za to codziennie poświęca 45 minut na gimnastykę i jogging



Jest największym obrońcą demokracji w Rosji, a zarazem jej grabarzem

W stolicy. Władimir Putin mimo to triumfuje, wkrótce wygra wybory parlamentarne.

Wszystkie pytania jak zawsze ustawione, omówione i rozdane. Pierwsze zadaje dziennikarka z Tomsku na Syberii: – Szanowny panie prezydencie. Po pierwsze, przekazuję panu pozdrowienia od młodej rodziny Wiediaszkinów. Pamięta pan, był pan u nich na weselu i kazał im pan, by „nie zwlekali z potomstwem”.

Pytanie drugie: – Władimirze Władimirowiczu. Na pewno wie pan, ilu u nas w kraju jest ogrodników i właścicieli działek, na pewno zdaje pan sobie sprawę, jakie wielkie są ich problemy...

W kolejce stoi lojalny dziennikarz z Czechenii. Duka, jakby czytał z kartki: – Szanowny panie prezydencie, jak pan wie, w Czechenii trwa trudny, ale trwały proces transformacji ku normalnemu, pokojowemu życiu...

Dwie godziny banałów i serwilizmu oraz błyskotliwych odpowiedzi Putina. Ze szczegółami wspomina rodzinę, której złożył gospodarską wizytę, wie dokładnie, ile w Rosji

jest ogródków działkowych, ma też gotową tyradę na temat „procesu pokojowego w Czechenii”.

Ostatnie pytanie. Putin osobiście wskazuje, kto ma je zadać: – Niech pan nam jeszcze raz odpowie na tę starą kwestię „Who is Mr Putin”? Gospodarz jest przygotowany, transmisja z konferencji idzie na żywo w telewizji. – Jestem prezydentem Federacji Rosyjskiej i jestem zawsze ze swoimi wyborcami, z narodem Rosji – odpowiada. Potem energicznie wstaje zza stołu, zbiera dokumenty, na sali gdzieś tam rozlegają się brawa.

PUTIN SPRZECZNOŚCI

Kim naprawdę jest pan Putin? Wiadomo, kim ma być. Rosjanie mają widzieć w nim wodza, a nie polityka. *De facto* jest aktorem w spektaklu dla 145 milionów widzów, który stara się każdemu przypodobać.

Jest największym w Rosji apologetą demokracji, a jednocześnie jej grabarzem. Obrońcą własności prywatnej, choć największemu oligarsze Rosji jego ekipa zabrała ponad 20 miliardów dolarów. Praktykującym chrześcijani-

nem, a jednocześnie sprawcą krwawej wojny czecheńskiej. Miłość do Zachodu potrafi połączyć z nostalgią za Związkiem Radzieckim. Putin to produkt medialny, przystosowany do potrzeb każdego nabywcy. I Rosja ten produkt kupuje.

Przed wyborem na drugą kadencję w marcu ubiegłego roku prezydent nie musiał nawet prowadzić kampanii. Nie fatyguje się na debaty z kontrkandydatami, nie przedstawia żadnego konkretnego programu, rezygnuje z plakatów i spotów reklamowych. Telewizje same fundują mu kampanię. Godzinami pokazują, jak żartuje z syberyjskimi studentami, odwiedza fabryki i wygłasza przemówienia. Są gotowe przerwać program tylko po to, by pokazać kolejne spotkanie Putina. Kampania jest skuteczna, prezydent dostaje 70 procent głosów.

Chęć zadowolenia wszystkich sprawia, że publiczne wypowiedzi Putina są pełne sprzeczności. – Upadek Związku Radzieckiego był największą geopolityczną katastrofą ubiegłego stulecia. Dla narodu rosyjskiego był to prawdziwy dramat – mówi 25 kwietnia

o orędziu o stanie państwa. Świat słucha ze zgrozą, przywódca Rosji akcentuje imperialne tęsknoty swojego narodu.

Ale wypowiedź o ZSRR ma dalszy ciąg, o wiele bardziej frapujący: – Wielu myślało wówczas, że nasza młoda demokracja nie jest kolejnym etapem rosyjskiej państwowości, lecz jej ostatecznym krachem. Ci, którzy tak myśleli, mylili się. To przez te lata w Rosji zaszły największe zmiany. W naszym społeczeństwie powstała chęć nowego życia, pragnienie wolności.

Na początku lipca 2003 roku aresztowany zostaje Płaton Lebiediew, jeden z szefów Jukosu. Powszechnie wiadomo, że takich aresztowań nie dokonuje się bez wiedzy Kremla, ale Putin idzie w zaparte. – Jestem przeciwko wykręcaniu ludziom rąk i sadzaniu ich do cel – mówi. Gdy później, w listopadzie, do aresztu trafia właściciel koncernu Michaił Chodorowski, Putin ma już zupełnie inne zdanie. – Wszyscy powinni być równi wobec prawa, niezależnie od tego, kto ma ile milionów – mówi. Sondaże pokazały, że naród lubi aresztowania oligarchów.

– Nie chcę bankructwa Jukosu, pokażcie mi przedstawicieli rządu, którzy tego chcą, a natychmiast ich zwolnię – mówił zachodnim dziennikarzom w kwietniu 2004 roku, w środku agonii Jukosu. Nie zwolnił. Jukos zostaje rozparcelowany, a jego główne aktywa w kabaretowym przetargu kupuje w grudniu nieznana firma powołana przez władze specjalnie do rozbicia koncernu. Przebywający w Berlinie Putin zarzeka się, że przetarg był uczciwy. Cztery miesiące później mówi: – Nienaruszalne prawo do własności prywatnej to absolutna podstawa każdego biznesu.

Który Putin jest prawdziwy? Obrońca Jukosu czy ten, który go zniszczył? A może ten, który w 2000 roku powiedział o oligarchach, że „państwo ma w rękach palkę, którą bije się tylko raz, ale za to po głowie”?

PUTIN MALOWANY

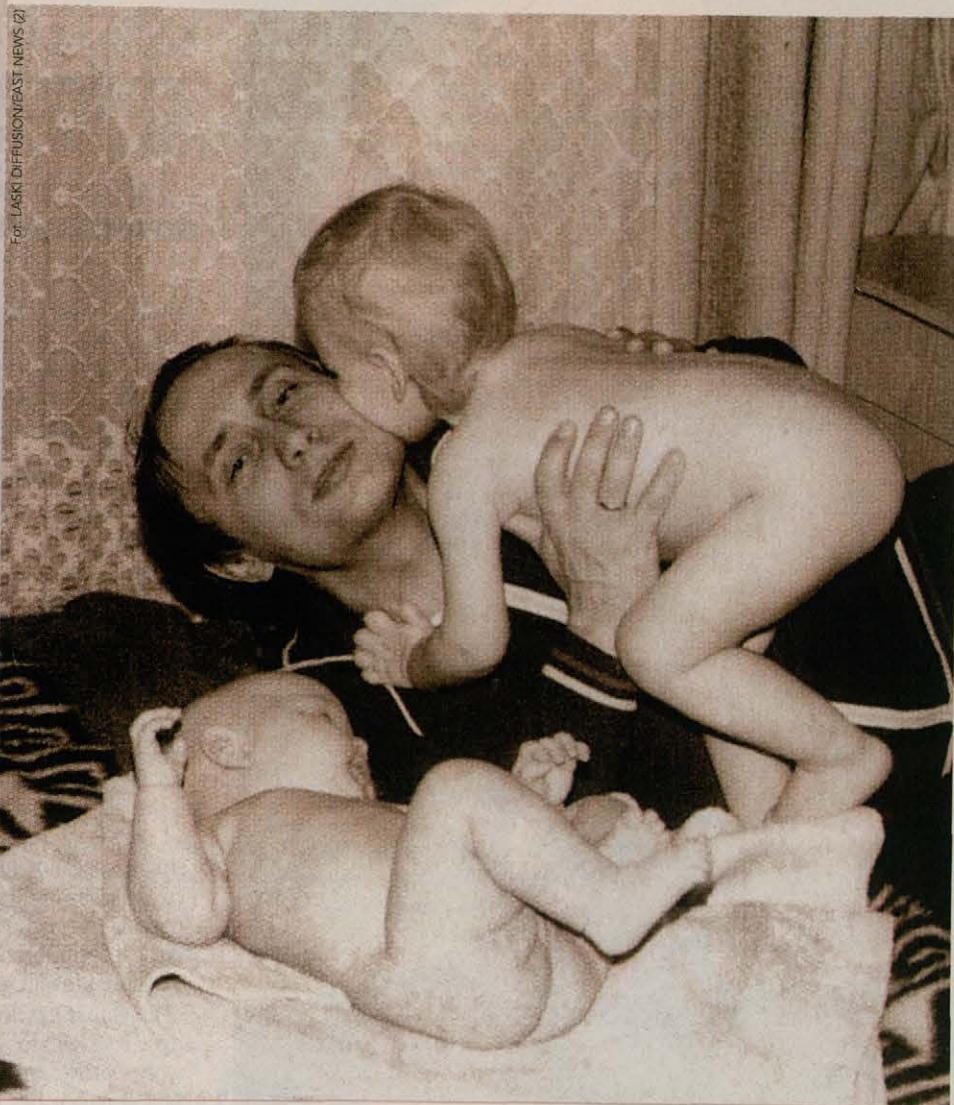
– W tym domu prezydent mieszkał, gdy był dzieckiem – Kirył pokazuje na pięciopiętrowy żółty budynek na petersburskiej ulicy Baskowa. Jest historykiem, oprowadza wy-

ciezki śladami Władimira Putina. Autobus jedzie od porodówki, gdzie Putin przyszedł na świat w 1952 roku, do katedry Przemienienia Pańskiego, gdzie matka ochrzciła go w tajemnicy przed partyjnym ojcem. Potem wycieczka odwiedza siedzibę FSB na Prospekcie Litiejnym, gdzie 15-letni Putin przyszedł się dowiedzieć, jak trafić do KGB. Kirył przeplata życiorys dykteryjkami, opowiada o mamie prezydenta, która była tak gościnna, że koledzy przyszłego prezydenta zawsze mogli przychodzić do niego na jedzenie.

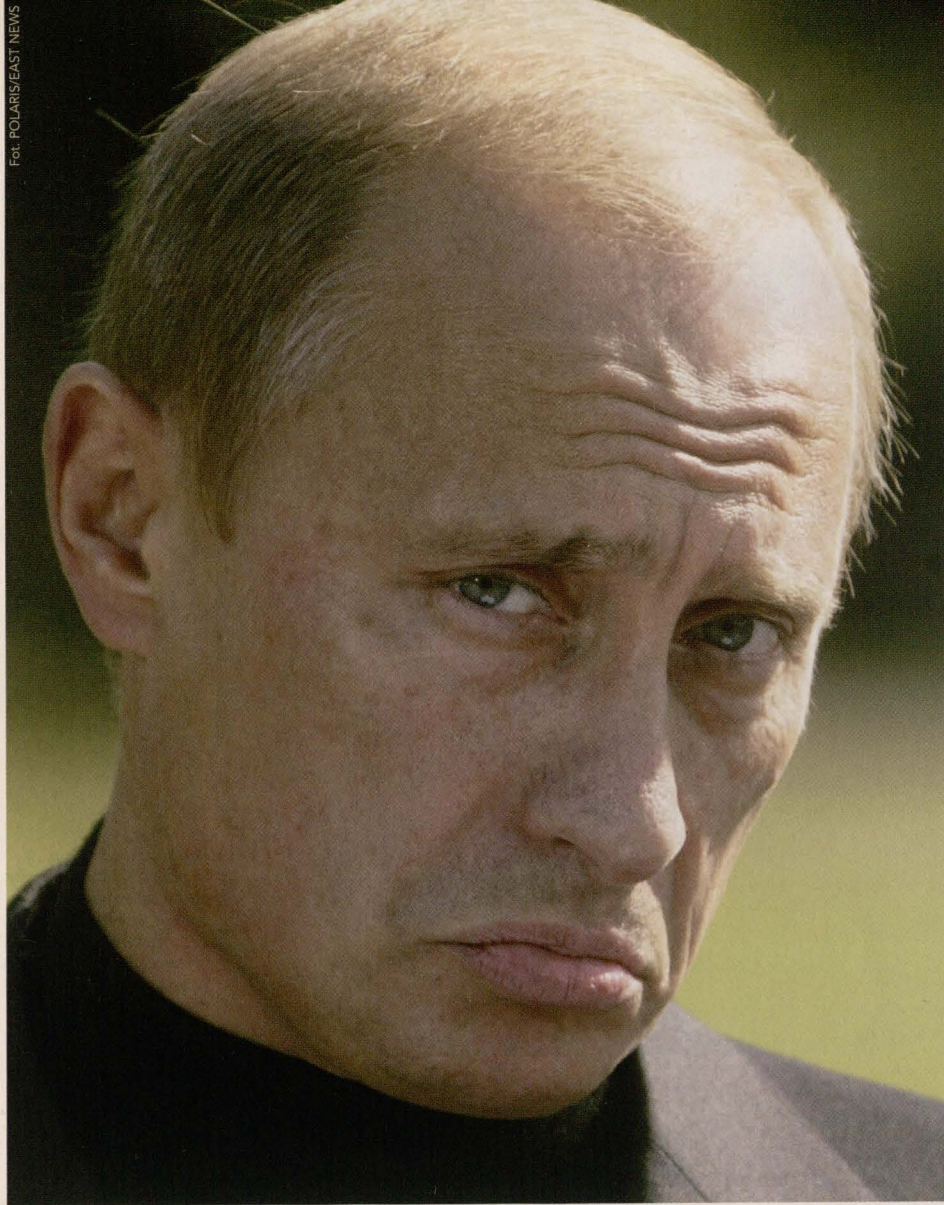
Resztę swojego życia opisał sam prezydent w wywiadzie rzecze, który ukazał się tuż przed wyborami prezydenckimi w roku 2000. Tłumaczył, że gdy wstępował w 1975 roku do KGB, nie myślał o represjach, stalinizmie i milionach ofiar swojej „firmy”. – Moje wyobrażenie na temat KGB pochodziło z romantycznych opowiadań o pracy wywiadu. Jako sowiecki człowiek byłem po prostu udanym produktem wychowania patriotycznego – powiedział.

W oficjalnym życiorysie prezydenta wszystko jest radzieckie, jakby był kwintesencją

Fot. LASKI DIFFUSION/STEW NEWS (2)



Dwie córki Putina Masza i Katia przyszły na świat w czasie jego służby w Niemczech Wschodnich. Poza tym o jego pobycie w NRD w latach 1985–1990 niewiele wiadomo. Ówczesny szef KGB Władimir Kriuczkow nie mógł go sobie przypomnieć. Niewiele wskazuje na to, żeby Putin był asem wywiadu



W ekipie Putina karze się tylko za nielojalność. Taka kara spotkała Chodorkowskiego

borach przeciw własnemu szefowi i wygrał. Putin nazwał go „judaszem” i choć Jakowlew proponował mu wysokie stanowiska, trzasnął drzwiami. To w Rosji bardzo rzadkie zachowanie. Gdy latem 1999 roku ekipa Jelcyna na gwałt szukała mu następcy, właśnie to mogło przesądzić o wyborze Putina. Zanim go wystawiono, musiał obiecać, że w razie zwycięstwa da Jelcynowi i jego ekipie pełne gwarancje bezpieczeństwa. Słowa dotrzymał.

Poczucie lojalności związało Putina także z George’em W. Bushem. To Bush w maju 2002 roku nazwał Rosję „strategicznym partnerem” USA i to on wprowadził „swojego przyjaciela” Putina na światowe salony. Po dwóch latach Putin próbował odwzajemnić się Bushowi podczas jego walki o reelekcję. – Mogę potwierdzić, że po wydarzeniach 11 września i przed wojną w Iraku nasze służby specjalne nieraz otrzymywały informację, że reżim Saddama szykuje zamachy na terenie USA – ogłosił w czerwcu ubiegłego roku. Chciał dobrze, choć nawet ludzie Busha nie potraktowali jego wypowiedzi poważnie.

Lojalność egzekwuje także od własnych ludzi. Każdy, kto zachowuje posłuszeństwo wobec prezydenta, może liczyć, że władza nie pozostawi go bez pracy. Za krwawe zamachy dokonane przez Czeczenów nigdy nikogo poważnego nie ukarano. Za wypuszczenie terrorystów do centrum Moskwy szef FSB nie został zwolniony, a po tragicznej akcji z gazem na Dubrowce dostał wręcz tytuł Bohatera Rosji. Generałowie, którzy dopuścili do tragicznej katastrofy Mi-26 nad Czeczenią w sierpniu 2002 i śmierci ponad 120 osób, dostali nagany, ale wkrótce później wrócili na listę do awansów. Ekipa Putina nie karze nieudaczników, skorumpowanych urzędników i marnych aparatczyków, tylko przesuwają ich na inne stanowiska. Kary przewidziane są wyłącznie za nielojalność. Taka kara spotkała Michaiła Chodorkowskiego.

KTO RZĄDZI ROSJĄ

Putin nie jest demokratą, ale nie jest też dyktatorem. Nie marzy mu się korona carów, nie jest też typem zamordysty. Jest pracowity i skromny. Prezentuje się bardziej jako służbista niż gwiazdor, realizator wielkiego projektu, a nie mistrz zakulisowych gier. Problem w tym, że aparat, który stoi za plecami Putina, ma wyraźne tendencje autorytarne. Rosją nie rządzi prezydent, tylko Kreml.

W jego ekipie roi się od byłych KGB-istów, nierzadko starszych stopniem niż sam prezydent. To zamknięte środowisko. Kremlolodzy od lat próbują zgadnąć, kto gra w tej ekipie pierwsze skrzypce. Bez skutku.

Urzędniczo-biurokratyczna elita władzy potrafi torpedować plany Putina, czasem doprowadzając go do wściekłości. Wielkie kampanie antykorupcyjne Kremla skończyły się na słowach, a osobiste apele prezydenta do milicji, by nie dawała się wciągać w przestępcze porachunki, pozostały bez odzewu. Równie jałowe okazało się wzywianie zdemoralizowanej armii, by zwiększyła dyscyplinę.

W jednej sprawie Putin przez lata był konsekwentny: odmawiał jakichkolwiek rozmów z czeczeńskimi separatystami. Jedynym pomysłem, jaki miał na zbuntowaną republikę, było osadzenie w niej marionetkowego reżimu i fałszowanie kolejnych wyborów.

Poglądy Putina to rozgardiasz. Za jego rządów trwa niekończąca się debata nad nową ideologią państwową. Próbował pogrywać na nacjonalizmie, ale jest mało przekonujący. Wielu naciskało go, by w tworzeniu nowej ideologii odwoływał się do prawosławia.

Putin – jak zapewnia w rozmowie z „Przekrojem” jeden z najwyższych hierarchów rosyjskiej Cerkwi – jest „głęboko wierzący” i jako jeden z nielicznych rosyjskich polityków

przyjmuje sakramenty. Nigdy jednak nie obnosił się ze swoją religijnością, w sporze o religię w szkołach niespodziewanie wystąpił po stronie „obronców laickości państwa”. Naciśnięcie Cerkwi uległ w jednej kwestii – nie zaprosił do Rosji papieża Jana Pawła II, nie pojechał też do Rzymu na jego pogrzeb.

Wbrew powszechnej opinii Putin nie wywołuje w Rosjanach silnych emocji. – Zachwytem darzy go jedynie trzy procent Rosjan, a sympatią 27 procent. Najwięcej – 60 procent – ma mieszany lub obojętny stosunek do prezydenta – mówi „Przekroju” znany socjolog Jurij Lewada. Jego zdaniem fenomen Putina to głównie efekt braku opozycji, która dziś nie ma żadnego dostępu do mediów. Nie jest się w stanie zjednoczyć, bo reprezentuje trzy różne ekstrema: nacjonalistów, komunistów i liberałów.

KTO PO PUTINIE?

Notowania Putina obniżyły w tym roku niespodziewane protesty emerytów przeciwko reformie likwidującej ulgi. Mimo to wśród opozycji nie widać nikogo, kto mógłby się z nim zmierzyć. W wyborach za trzy lata Putin nie może kandydować, zapowiada jednak, że sam zaproponuje następcę. – Zmiana władzy będzie zapewne płynna. Putin nie jest typem polityka, który chce zasiedzieć się w fotelu

prezydenta. Pozostaje tylko wybór człowieka – twierdzi jeden z zachodnich dyplomatów.

Wśród możliwych następców wymienia się między innymi: ministra obrony Siergieja Iwanowa oraz szefów obu izb parlamentu – Siergieja Mironowa i Borysa Gryzłowa. Nazwisko jest w gruncie rzeczy nieistotne, bo rządzić będzie i tak ta sama ekipa.

Najbardziej radykalny wariant przewiduje reformę konstytucji i zgodę na trzecią kadencję Putina. Jeżeli popularność Putina nie zacznie gwałtownie spadać. – Jakies trzy lata temu Rosjanie myśleli o Putinie z nadzieją. Dziś tej nadziei jest zdecydowanie mniej, króluje chłodny realizm, przeświadczenie, że na razie nie ma nikogo lepszego – mówi Lewada.

Zachód, który jeszcze trzy lata temu patrzył na Putina z szacunkiem, po próbie narzucenia wolnej Ukrainie swojego kandydata na prezydenta bardzo mocno się do niego zraził. Składając gratulacje Wiktorowi Janukowyczowi, Putin przegrał większość osobistego kapitału zaufania, jakim się cieszył. Moskiewskie obchody Dnia Zwycięstwa mają mu pomóc odzyskać dawny blask na arenie międzynarodowej. Ale raczej nie potrwa on dłużej niż ten jeden dzień.

JAKUB KUMOC

KONKURS • KONKURS • KONKURS • KONKURS • KONKURS • KONKURS

Trivial Pursuit™

Jak nazywa się kolekcjoner, który liczy zębki?

Na co otrzymał patent Issac Singer w 1851?

Jaka planeta była „Planetą małp”?

Która z cywilizacji udomowiła koty?

Jak nazywa się najgłębsze jezioro w Polsce?

Która z książek Ch. Dickensa była jego ulubioną?

Wiesz, że wiesz. Nie wiesz skąd. Nie pamiętasz, gdzie to słyszałeś ale czujesz, że to właściwa odpowiedź. Wyduś to z siebie! Być może masz rację... Żeby wygrać potrzebujesz prawidłowych odpowiedzi we wszystkich 6 kategoriach...

Gra Trivial Pursuit™ wcale nie taka trywialna...

Mamy dla Was 15 gier Trivial Pursuit

Aby otrzymać jedną z nagród, należy odpowiedzieć na poniższe pytanie:
Co zawiera 159 litrów ropy?

a) galon

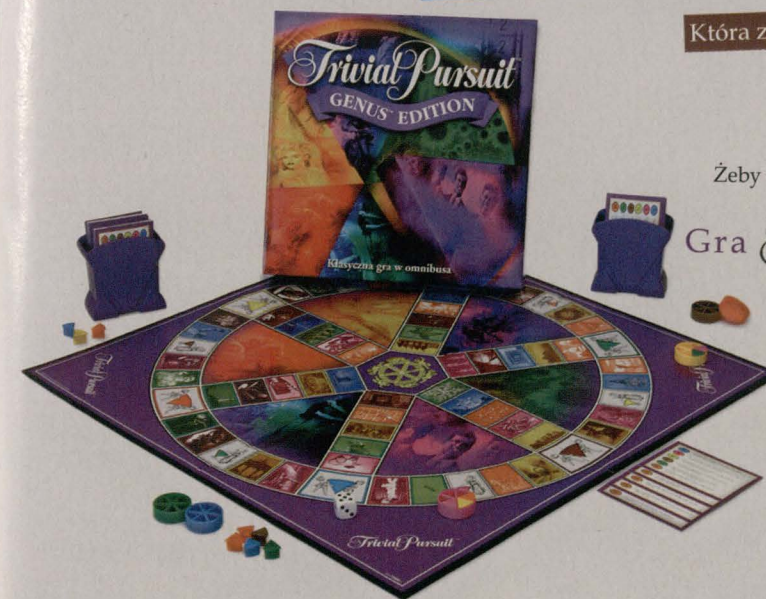
b) cysterna

c) baryłka

Nagrody rozlosujemy wśród osób, które przysłały SMS-a z prawidłową odpowiedzią o treści PRK. odpowiedź, np. PRK.A, w dniu 9 maja br. na numer 72702*. Wygrywa co 15 osoba.

*koszt wysłania SMS-a 2 zł netto (2,44 zł z VAT).

Regulamin konkursu dostępny w siedzibie Edipresse Polska S.A., ul. Wiejska 19, Warszawa



www.hasbro.pl

rosyjskiej historii. Ojciec, żołnierz Armii Czerwonej i obrońca Leningradu, przeżył wypad na tyły wroga, leżąc w bagnach i oddychając przez trzcinową rurkę, gdy Niemcy szukali go z psami. Później pod ostrzałem przyjaciel taszczył go na plecach przez zamrażającą Newę. Prawda czy mit? Nie sposób potwierdzić. Oboje rodzice Putina zmarli na raka w 1999 roku.

O małżeństwie prezydenta z Ludmiłą Putin wiadomo tylko, że ślub odbył się w 1983 roku, a para prezydencka ma dwie córki. Gdy prezydent jedzie za granicę, pani Putin najczęściej zostaje w Moskwie. Dwa lata temu pewien rosyjski producent nakręcił romansidło o oficerze KGB, który zakochuje się w pięknej stewardessie, a potem zostaje prezydentem. Ale „Pocałunek nie dla prasy” nigdy nie wszedł na ekrany. Reżyser Olga Żulina skarżyła się później, że wejście filmu na ekrany wstrzymał jakiś nadgorliwy kremlowski urzędnik w obawie, że dzieło nie spodoba się prezydentowi.

Może miał rację. Putin nie obnosi się ze swoim życiem prywatnym, nienawidzi również bałwochwalczej portretomanii. Przed

wyborami w moskiewskich księgarniach można było kupić 40 różnych Putinów – w czapce uszatce, w masce pilota i furażerze czołgisty. Gdy wygrał drugą kadencję, portrety jak na rozkaz zniknęły. Równie szybko zniknął singiel, na którym dwie dziewczyny śpiewały, że chcą mężczyzny „takiego jak Putin”.

LOJALNY DO BÓLU

Jest jedna cecha, której nikt nigdy Putinowi nie był w stanie odmówić. Lojalność. To ona otworzyła mu drogę do prezydentury. Lojalny był wobec wszystkich swoich „mistrzów”. Gdy został szefem FSB w 1998 roku, natychmiast kazał wmurować tablicę pamiątkową na cześć Jurija Andropowa, który szefował KGB, gdy trafił tam młody Putin. Wróciwszy w 1990 roku z pięcioletniej służby w NRD, poznał swojego dawnego wykładowcę, pierwszego demokratycznego mera Petersburga Anatolija Sobczaka. Ten uczynił go jednym ze swoich najbliższych współpracowników. – Z Putinem można konie kraść – mawiał.

W 1996 roku zastępca Sobczaka Władimir Jakowlew się zbuntował. Wystartował w wy-

NIEDOŚCIGNIONY

Skazany na więzienie
i poszukiwany listem
gończym **DARIUSZ
PRZYWIECZERSKI**
jeszcze kilka lat temu
był wzorem
dla biznesmenów

CEZARY ŁAZAREWICZ

Choć w telewizyjnych reklamówkach Universalu prezes Dariusz Tytus Przywieczerski dał się poznać jako Napoleon Bonaparte, to mawiał, że znacznie więcej łączy go z rzymskim cesarzem Tytusem Flawiuszem. Ojciec Flawiusza wprowadził opłatę od rzymskich szaleców i kazał kiedyś synowi powąchać monetę, którą dostał z takich podatków: – Widzisz, Tytusie, pieniądź nie śmierdzi.

Obaj Tytusowie wiedzieli o tym od dziecka i dzięki temu zbudowali swoją potęgę. Z tą jednak różnicą, że cesarz Tytus Flawiusz nie był za to poszukiwany listem gończym, a prezes Dariusz Tytus – owszem.

UNIVERSAL TO JA

Polska usłyszała o Dariuszu Tytusie Przywieczerskim w czerwcu 1976 roku przez radiowęzeł w Zakładach Metalowych imienia Włтера w Radomiu. Mówił: „Uczciwą pracą wyrazimy swoje poparcie dla towarzysza Gierka. Musimy sami wyrzucić z Włtera osoby, które są tutaj niepotrzebne”. Było to kilka dni po tym, jak władza oblała pałkami radomskich robotników protestujących na ulicach miasta.

Być może właśnie te słowa otworzyły mu drogę do dalszej błyskotliwej kariery. Bo zanim Przywieczerski przyjechał do Radomia, by z ramienia Komitetu Centralnego PZPR rozebrać się w sytuacji po wprowadzeniu podwyżek cen, niewielu o nim słyszało. Od 1967 roku był szeregowym pracownikiem Centrali Handlu Zagranicznego „Paged”, a gdy skończył studia na SGPiS, awansował na zastępcę dyrektora. Do PZPR zapisał się już w szkole średniej. Później wołał podkreślać raczej swoje ziemiańskie pochodzenie i to, że handlową żyłkę odziedziczył po dziadku, który prowadził biznesy z Petersburgiem, oraz ojcu, absolwencie Akademii Handlowej w Antwerpii.

To właśnie ojciec – opowiadał znajomym – kazał mu wstąpić do partii, żeby nie zmanował kariery. Rozkwitła ona w roku 1980, gdy został mianowany radcą handlowym ambasady PRL w Nairobi. Tam, jak opowiadał, dorobił się pierwszego miliona dolarów. Nie do końca uczciwie – mówił – szmuglując przez granicę Ugandy kawę i herbatę. Do Polski wrócił w 1985 roku i stanął na czele Centrali Handlu Zagranicznego „Universal”, która w PRL miała wyłączność na eksport.

Dzięki Universalowi Przywieczerski trafił pod koniec lat 80. na sam szczyt PRL-owskiej hierarchii.

– Mówił: „Universal”, i wszystkie drzwi stawały przed nim otworem – wspomina A., przyjaciółka biznesmena. – Padali przed nim na kolana, a on, król PRL, lubił, gdy mu oddawano hołd. Universal był całym jego życiem. To był jego dom i jego żona. Kochał go jak własne dziecko. Mówił: Universal to ja.

Pani A. twierdzi, że bardzo lubił, gdy pisano o nim jako o wybitnym biznesmenie i kreatorze polskiego kapitalizmu. Gdy było inaczej, ciągał dziennikarzy po sądach. Łącznie wytoczył im około 30 procesów.

– To jest polski kundlizm, że jeśli ktoś się wybije, to trzeba go ściągnąć w dół – tak tłumaczył złą prasę. Naj-

głośniejszy proces dotyczył książki „Via Bank i FOZZ”, jej autorzy zamieścili notatkę Michała Falzmanna, inspektora NIK, który wpadł na trop afery FOZZ: „Według posiadanych przeze mnie informacji (...) D. Przywieczerski jest rezydentem KGB, a Universal praktycznie w całości służy tej rosyjskiej organizacji”.

KU KATASTROFIE

M. zatrudnił się w Universalu, bo na początku lat 90. była to spółka legenda. Przywieczerski był wzorem kapitalisty (Biznesmen Roku 1989, laureat nagrody tygodnika „Polityka” za realizację nowoczesnych programów ekonomicznych, czołowe miejsca w rankingu najbogatszych Polaków „Wprost” i uznanie Business Center Club). Universal sprawiał wrażenie potężnej i poważnej firmy.

– Od wewnątrz nie wyglądało to tak różowo – mówi M. – Prezes wjeżdżał windą na 12. piętro, zamykał się w kanciapie, a sekretarka miała obowiązek informować, że go nie ma, i czyniła cuda, by wytrzeźwiał. Jak umawiał się z kimś na spotkanie, to znaczyło, że się tylko umawiał, bo rzadko przychodził. Przecierałem oczy ze zdumienia i uwierzyć nie mogłem, że to wszystko jednak działa.

Fenomen Przywieczerskiego polegał na tym, że udało mu się wymyślić maszynkę do robienia pieniędzy. Wykorzystał do tego warszawską Giełdę Papierów Wartościowych. Akcje Universalu trafiły tam po raz pierwszy latem 1992 roku. Pomysł był dość prosty – spółka zajmowała się głównie emisją akcji, obligacji, bonów dłużnych i ściągała jak najwięcej pieniędzy. Od 1994 roku wysysała w ten sposób z rynku około 100 milionów złotych rocznie. – Była gorączka giełdowa i ludzie kupowali wszystkie akcje – mówi M. – My, niestety, zwykłe pieniądze z emisji pakowaliśmy w czarną dziurę, czyli interesy zupełnie bez sensu. Dlatego, jak kończyła się jedna emisja, od razu trzeba było szykować kolejną, by załatać następną dziurę.

Przywieczerski zaczął inwestować na przykład w bydgoski Romet akurat wtedy, gdy zaczął on upadać, albo w fabrykę chemiczną, którą znalazł na Syberii. – Zrobił tam kolosalne wrażenie – wspomina M. – Obiecał pieniądze, zatrudnienie i błyskotliwy rozwój. Mówili tam o nim „polski król”.

– Ja chciałem centralizować, a Przywieczerski miał wizję przejmowania coraz to nowej działalności i przekazywania jej do powiązanych z Universalem spółek – mówi Jerzy Napiórkowski, który w latach 1994–1997 był dyrektorem generalnym spółki. Odszedł, bo nie mógł się dogadać z Przywieczerskim co do dalszego rozwoju firmy. W 1997 roku holding Universalu składał się z aż 51 firm, z czego 12 było za granicą. Spółki transferowały pieniądze między sobą, wykazując czasem nawet spory zysk. Universal zajmował się alternatywnymi źródłami energii, produkcją prezerwatyw, a także telewizją satelitarną. – Bez Universalu nie byłoby w ogóle Polsatu – przypomina Napiórkowski.

Decyzję o zainwestowaniu w pierwszą prywatną telewizję Przywieczerski podjął sam, i to mimo protestów podwładnych. – I było to jedno z niewielu rentownych przedsięwzięć w całym holdingu – mówi M. – Zysk przynosiły jeszcze prezerwatywy Unimilu, ale to była działalność anegdotyczna, a nie coś, na czym można by budować potęgę firmy giełdowej.

Rudolf Skowroński, właściciel Inter Commerce, namawiał Przywieczerskiego, by zainwestował w hipermarkety, zanim jeszcze zalały one Polskę. Przy każdej okazji powtarzał: „Darek, zróbmy to”. Ale żadnej decyzji się nie doczekał.

Właśnie Skowroński pierwszy odkrył, że Universal to kolos na glinianych nogach. Gdy przeanalizował wyniki finansowe spółki, był przerażony: – Gdyby moja firma miała takie straty, to bym już dawno utonął.

Tylko Przywieczerski o tym nie wiedział.

– On nie grzebał w raportach spółek – mówi M. – Nie był do tego przygotowany. Co z tego, że już w PRL jeździł na Zachód i podglądał kapitalizm, skoro nic z tego nie rozumiał?

DINOZAURO Z ERY SZPIONÓW

Piotr Gadzinowski, poseł SLD i dziennikarz powiązanej z Universem „Trybuny”, zapamiętał prezesa, jak siedzi rozparty w fotelu i pali cygaro na 12. piętrze swojego wieżowca (dziś urzęduje tam syndyk przedsiębiorstwa), mówi cicho, niewyraźnie i w ogóle nie wiadomo, o co mu chodzi. – Przypominał dinozaura, który nie zauważył nadciągającej ery lodowcowej – mówi Gadzinowski. – Karierę zaczynał w naszpikowanych szpionami centralach handlu zagranicznego. Właśnie tacy ludzie, oprócz budydylarzy, odnosili sukces, gdy rodził się kapitalizm. Nie dlatego, że byli genialni, ale dlatego, że wiedzieli, jak wypełnić fakturę.

– Przywieczerski wierzył, że wszystko można załatwić przez znajomości, po koleżeńsku, po linii partyjnej – mówi poseł Gadzinowski. – I dlatego musiał nastąpić jego koniec, gdy pojawili się prawdziwi kapitaliści.

Wokół Przywieczerskiego zawsze kręcili się ludzie PRL i ich dwuznaczne interesy. W roku 1994, gdy upadała „Trybuna”, działacze lewicy przyszli prosić Przywieczerskiego, by ratował organ SdRP. – On myślał, że dzięki „Trybunie” będzie dalej dostawał interesy od ludzi lewicy – mówi Gadzinowski. – Trzymał gazetę na kropłowie, ale układ już nie działał.

I choć teraz kontrolę nad gazetą oddał córce, to i tak jest jedynym i prawdziwym właścicielem „Trybuny” – tak uważa były naczelny SLD-owski dziennikarz Marek Barański. („Arkadiusz Ostrowski, prezes spółki Ad Novum, wydawcy »Trybuny«, robi tylko to, co mu Przywieczerski każe”). Ostatnim znaczącym człowiekiem SLD, z którym Przywieczerski robił interesy, był Ireneusz Sekuła, prezes Głównego Urzędu Cei w latach 1993–1995.

Zdaniem posła Gadzinowskiego prezes Przywieczerski w drugiej połowie lat 90. już się zu-

Proces FOZZ,
2002 rok

Poniżej,
od lewej:
Dariusz
Przywieczerski,
Witold Zaraska
(Exbud)
i Janusz
Baranowski
(Westa)
– początek
lat 90.

Majątek Przywieczerskiego się rozplątał. Podobno żył z tego, co córka mu przysyłała z Anglii

pełnie nie liczył. Nie był nawet zapraszany na imieniny do prezydenta Kwaśniewskiego i nie dostąpił zaszczytu składania się na prezent. – Trudno więc mówić, że to człowiek lewicy.

BLIŹNIACI PRL

Jerzy Napiórkowski uważa, że przełomowa dla Univerasu była walka o montownię Hyundai w 1996 roku. – Byliśmy już po rozmowach z Koreańczykami. Chcieli zainwestować w Polsce miliard dolarów. Ale rząd Cimoszewicza się sprzeciwił, bo godziło to w interesy wchodzącego na nasz rynek Daewoo.

Kolejnym ciosem była odmowa sprzedaży Universalowi Ruchu. A konflikt z Zygmuntem Solorzem doprowadził do tego, że Polsat wykupił wszystkie posiadane przez Universal akcje telewizji. I choć zysk był 400-krotny, to na pieniądzech położył rękę bank.

Nóż w plecy Dariuszowi Przywieczerskiemu wbił dopiero Bogusław Kott, dyrektor BIG Banku Gdańskiego. Najpierw za długi zajął budynek Univerasu, a potem bez uprzedzenia sprzedał wszystkie posiadane przez bank akcje spółki i odmówił dalszego kredytowania. Przywieczerski został na lodzie. I nie miało znaczenia, że to dzięki niemu powstał w roku 1989 nomenklaturowy BIG, który przez lata na transakcjach z Universem zarabiał krocie.



Kott i Przywieczerski byli jak bliźniaki jednojajowe PRL. Wywodzili się z podobnych środowisk i do obu uśmiechnęło się szczęście, gdy padał komunizm. Kott od PRL dostał bank, a Przywieczerski – centralę handlu zagranicznego. Pierwszy zbudował na tym imperium, drugi całkowicie zmarnował szansę.

Sześć lat temu Universal został wyrzucony z giełdy. Był to pierwszy taki przypadek w historii GPW. Spółkę spotkała kara za to, że nie informowała akcjonariuszy o wydarzeniach, które doprowadziły Universal na skraj bankructwa. Na przykład o tym, że zarząd stracił kontrolę nad kilkudziesięcioma spółkami holdingu. W firmie zjawił się syndyk i to był już koniec potęgi. – Darek po prostu nie zauważył, że świat się zmienił i wszystkiego układami załatwić się nie da – mówi pani A.

FOZZ DOBIJA

Najgorsze miało jednak dopiero nadejść. W 1991 roku NIK skontrolowała Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego i wtedy wyszło na jaw, że FOZZ na własną rękę udzielał kredytów i poręczeń. Jeden z kredytów otrzymał komitet wyborczy Przywieczerskiego, który walczył o mandat senatora w województwie wrocławskim w 1989 roku.

W 1991 prokuratura aresztowała Grzegorza Żemka, potem Janinę Chim, a pół roku później prokurator postawił zarzuty Dariuszowi Przywieczerskiemu.

– Jedna z naszych komórek zbyt długo przetrzymywała za granicą niewielką jak na nasze obroty sumę trzech milionów dolarów – bagatelizował zarzuty Przywieczerski. W tym samym czasie podwładnym mówił, że przeklina dzień, w którym poznał Grzegorza Żemka.

Kluczową osobą w sprawie FOZZ jest wicedyrektor Janina Chim, która w latach 80. była też główną księgową Univerasu. Żemek, Chim i Przywieczerski założyli za pieniądze FOZZ spółkę Trast, która mieściła się w budynku Univerasu. Tam w sierpniu 1991 roku UOP znalazł dokumenty FOZZ. Okazało się, że Fundusz prowadził podwójną księgowość.

Choć Przywieczerski twierdził, że Janina Chim pełni tylko funkcję jego asystentki, była dla niego kimś ważniejszym. – Publicznie demonstrowali zażyłość damsko-męską, więc byłem przekonany, że to jego żona – mówi jeden z biznesmenów, który prowadził na początku lat 90. interesy z Przywieczerskim. – Dopiero potem dowiedziałem się, że to była Janina Chim. (Żona Przywieczerskiego natomiast była dziennikarką „Zwierzadła”). Mają dorosłego syna i córkę. Od kilku lat mieszkają w domu w Aninie. Wcześniej zajmowali 43-metrowe mieszkanie w bloku na warszawskim Powiślu).

– Przywieczerski był pewny, że wywinie się ze sprawy FOZZ – mówi M. – Pokazywał mi nawet grubą księgę i twierdził, że są to dokumenty o umorzeniu śledztwa.

Jednak w 1998 roku – po siedmiu latach od wszczęcia – sprawa trafiła na wokandę, a Dariusz Przywieczerski na ławę oskarżonych.

WIĘZIENIE SZKODZI ZDROWIU

Trzy dni przed ogłoszeniem wyroku Przywieczerski zadzwonił do swojej znajomej A. – Nie miał żadnych wątpliwości i spodziewał się najgorszego – mówi A. – Wiedział, że przy swoim stanie zdrowia żywy z więzienia by nie wyszedł.

W odróżnieniu od innych biznesmenów Przywieczerski od dawna nie liczył na cud. Gdy 29 marca za wyprowadzenie z FOZZ 1,5 miliona dolarów sąd skazał go na trzy i pół roku więzienia i prawie pięć milionów złotych dodatkowych opłat, prezes był do wyroku perfekcyjnie przygotowany.

Już wcześniej cały majątek Przywieczerskiego się rozplątał. Nieoficjalnie wiadomo, że przepisał go na żonę. W listopadzie 2004 roku zeznał w sądzie, że nie pracuje, bo nigdzie nie może znaleźć zatrudnienia. Utrzymuje się tylko z tego, co przysła mu córka z Anglii. Jeśli wyjeżdża za granicę, to tylko na koszt zagranicznych firm, które go zapraszają.

Ale wcale nie jest taki biedny, jak mówił, bo Interpol ustalił, że w co najmniej dwóch zagranicznych spółkach jest dyrektorem. – Być może – odpowiedział sądowi. – Byłem dyrektorem w kilkunastu albo kilkudziesięciu firmach i wszystkich już nie mogę pamiętać.

Znajoma A. przypuszcza, że Przywieczerski, przez lata czerpiąc zyski z dziesiątek spółek,

odłożył sporą sumkę. – Życie nigdy go nic nie kosztowało, bo wszystko miał służbowe – mówi A. – Prywatnego samochodu nigdy nie miał, jeździł firmowymi. A gustował tylko w srebrnych mercedesach.

Na ogłoszenie wyroku w ogóle się nie stawił, bo wyczuł, że może od razu trafić do celi.

Zdaniem starszego aspiranta Tomasza Oleszczuka przyszłość 59-letniego Dariusza Przywieczerskiego łatwo przewidzieć. Policjanci po zatrzymaniu go zapytają sąd, do którego zakładu karnego ma zostać przywieziony. Tam spędzi trzy i pół roku. Chyba że do 9 grudnia 2006 roku kolejnym sądom nie uda się wydać prawomocnego wyroku i zarzuty się przedawnią.

Na razie się ukrywa. Nie ma go ani w Przywieczerszynie, o którym mówił, że to rodzinny majątek, ani w pałacyku w Głodowej, gdzie lu-

bił wypoczywać w weekendy. W budynku Univerasu nie było go od lat, a w sekretariacie wydawcy „Trybuny” – spółki Ad Novum – twierdzą, że z panem prezesem nie mają nic wspólnego. Ani sekretarki, ani kierowcy, ani pokoiku, który wynajmował tu Przywieczerski, już nie ma.

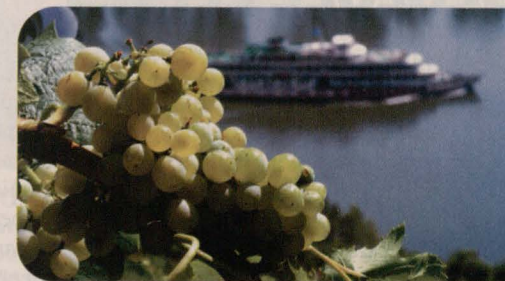
– Przypuszczam, że skorzystał z okazji i wyjechał leczyć serce za granicą – mówi znajoma A. – Jak skończy się zamieszanie, osiadzie gdzieś na wsi i da sobie z biznesami święty spokój. To przecież schorowany człowiek.

CEZARY ŁAZAREWICZ
WSPÓŁPRACA JUDYTA SIERAKOWSKA

KORZYSTAŁEM Z KSIĄŻKI MICHAŁA MATYSA
„TOWARZYSTWO”

Poznaj więcej. Przeżyj więcej.

Rheinland-Pfalz Tourismus GmbH
Lohrstr. 103-105
56068 Koblenz
Niemcy
tel. +49/261/915200
fax +49/261/9152040
www.rlp-info.de



odkryj romantyczną nadrenię-palatynat

poznaj krainę bajkowych zamków,
tętniących życiem miast
i najwspanialszych w Europie winnic
wypełniających doliny reny

katowice → frankfurt-hahn
warszawa → frankfurt-hahn

cena w jedną stronę, bez opłat lotniskowych

od **39** PLN*



wizzair.com
(22) 351 94 99

WIZZ
teraz wszyscy mogą latać.

Gotowce

Matury wkrótce się skończą. Przyjdzie pora oddawania prac magisterskich i licencjackich. Napisać samemu czy kupić gotowca? Oto jest pytanie!

Studenci, którzy nie chcą, nie potrafią lub w wyniku różnych niekorzystnych zdarzeń nie mogą napisać własnej pracy, mają do dyspozycji w Internecie kilkanaście serwisów, gdzie zamówią bez problemu gotowce na każdy temat. Czy serwisy są solidne? „Oczywiście. Najlepszym dowodem solidności naszego serwisu są zadowoleni klienci, którzy polecają go znajomym i bliskim”. Czy serwisy łamią prawo? „Ależ skądże. Wszystkie wzory prac zamieszczone w naszym serwisie można wykorzystać w taki sposób, by nie łamać artykułu 272 kk – dotyczącego wyłudzenia, poświadczenia nieprawdy oraz praw autorskich”.

Tematy dostępne od ręki? Proszę bardzo. Marketing („Strategia przetrwania na rynku w warunkach recesji w firmie BIMAR”, „Public relations w Zakładzie Ubezpieczeń Socjalnych”, „Reklama niekonwencjonalna jako sposób kształtowania konkurencji”). Zarządzanie („Jakość jako element strategii firmy drobiarskiej”, „Doskonalenie pracy w przedsiębiorstwie GRILL przy wykorzystaniu TQM”. Pedagogika („Rozpoznanie dzieci alkoholików klas V szkół podstawowych w środowisku wiejskim”, „Stymulowanie inwencji literackiej poprzez doświadczenia plastyczne” – lub odwrotnie). Politologia („Zasady i tryb funkcjonowania Sekretariatu ONZ”). Prawo („Reżim rękomi za wadę przy sprzedaży a reżim niezgodności towaru z umową”). Turystyka („Walory turystyczne Karpacza i Szklarskiej Poręby”) itd.

No a ceny? Cennik gotowców? 390 zł – wzór gotowej pracy licencjackiej; 390 zł – wzór gotowej pracy magisterskiej; 250 zł – tylko materiały do pracy (analizy rynku, dane o firmach); 190 zł – plany marketingowe, biznesplanu i inne opracowania do 25 stron.

Gdyby proponowane tematy wydawały się komuś nazbyt szczegółowe lub specjalistyczne, może zamówić wybraną pracę ogólniejszą („Ludzkość u progu XXI wieku”, „Jednostka i nieskończoność w dziejach filozofii”).

Przypomniawszy sobie dzieło o najbardziej pojemnym w historii tytule („Byt i nicność” Sartre’a), zadzwoniłem do jednego z serwisów i spytałem, czy mogę zamówić pracę magisterską na temat „Nicość i byt”.

Zero problemów. 390 zł. Bez dopłat.

Niemiec zapłaci więcej

Niemiec zatrudniający pracowników z zagranicy, w tym Polaków i jednoosobowe firmy usługowe, będzie musiał zapłacić im minimalną stawkę. Tak postanowił niemiecki rząd. Dotychczas minimalne stawki obowiązywały tylko w budownictwie i marynarce cywilnej. Na zachodzie Niemiec wynoszą one 12,47 euro za godzinę, na wschodzie 10,01. W innych branżach będzie to teraz od 7,15 do 10,36 euro. Do tej pory pracownicy z Europy Środkowo-Wschodniej otrzymywali wynagrodzenie w granicach 5 euro. Podwyższenie stawek ma zachęcić niemieckich przedsiębiorców do zatrudniania swoich rodaków. Czy to jednak nie za mało, skoro Niemiec dostaje za godzinę pracy 6-7 razy więcej od Polaka? Teraz będzie to 4-5 razy więcej. Intuicja mi odpowiada, że nie specjalnie w tej sprawie się nie zmieni i Polacy chętni do pracy w Niemczech tylko na tym zyskają. Dla niemieckiego kapitalisty polski robotnik nadal będzie atrakcyjniejszy, nawet za wyższą płacę.

Emeryci na analityków

Nie jest żadną tajemnicą, że przy obecnym systemie emerytalnym, nawet z udziałem otwartych funduszy emerytalnych, przyszli udziałowcy wieku jesienno dostaną tyle, co kot napłakał. Toteż państwo próbuje znaleźć sposób, aby sytuację nieco złagodzić. Nie wyszło jak na razie z Indywidualnymi Kontami Emerytalnymi, które mogłyby dawać nadzieję, że emeryt z dodatkowymi pieniędzmi jakoś przetrwa. Niezależnie od tego inna koncepcja dotyczy najstarszych klientów funduszy emerytalnych. Chodzi o to, by w ostatniej fazie inwestowania w OFE ograniczyć ryzyko utraty pieniędzy np. przez niefortunne inwestycje w akcje. W ramach OFE miałyby powstać subfundusze inwestujące konserwatywnie, czyli w papiery dłużne – obligacje i bony skarbowe. O przejściu do subfunduszu ma decydować sam klient na 10 lat przed emeryturą. Na pięć lat przed świadczeniem przejście ma się odbywać automatycznie. Gdyby jednak się okazało, że w tym czasie rynek akcji przyniósł znaczące zyski, to przyszły emeryt mógłby poczuć się wystrychnięty na dudka. To dlatego właśnie on powinien sam podjąć decyzję, kiedy do subfunduszu przejść. Jeśli będzie miał pretensje, państwo pokaże mu figę i powie: masz, co chciałeś. Nie ma wyjścia. Przyszli emeryci już teraz powinni zacząć się szkolić na analityków długoterminowych, by mogli mieć pretensję tylko do siebie. Do roboty, do roboty...

Kto się boi Chińczyka?

Wydawało się, że to unijni wytwórcy podkoszulków naciskają na Komisję Europejską, żeby coś z tanią bawełną chińską zrobić, by nie pozbawiać europejskich szwaczek możliwości pracy. Chodzi o wprowadzenie restrykcji ograniczających przepływ tekstyliów z Chin. Rozpoczęło się śledztwo w sprawie 11 kategorii ubrań. Oficjalnie na KE naciskają Francuzi. Ale nowa wersja głosi, że komisja poddaje się presji Afryki Północnej, której podkoszulki wypychane są z rynku przez konkurencję. Chińska odzież nie w smak jest także Ameryce. Tymczasem londyńscy eksperci uważają, że Chiny nie zagrażają Europie, która skoncentrowała się raczej na szyciu ekskluzywnej odzieży. Kto ma rację, nie wiadomo. Ale wiadomo, że restrykcje europejskie spowodują, że za to samo będziemy musieli zapłacić nie tak samo. Tu, niestety, drożej.

TADEUSZ A. MOSZ

AUTOR MAGAZYNU EKONOMICZNEGO „PLUS MINUS” W TVP1

biuro, fabryka. A te nastroje żyją swoim własnym życiem, niezależnym od rządowo-unijnych raportów. Ciekawe informacje na temat odczuć właśnie podaje Observateur-Cetelem, który zamieszcza wyniki badań konsumenc- kich autorstwa Institute Research International przeprowadzonych w 12 krajach Unii. Dotyczą one także Polski, Czech, Węgier i Słowacji jako nowych członków UE. Obraz wyłaniający się z tych badań jest dla nas o wiele smutniejszy, niż wynikałoby z raportu rządowego.

Wskaźnik nastrojów w Polsce jest najniższy spośród wszystkich nowych członków Unii i w 10-stopniowej skali wynosi zaledwie 3,78. Według autorów badań świadczy to o głębokim marazmie. Nieco lepsze samopoczucie mają Węgrzy – 4,17 i Słowacy – 4,14. Natomiast Czechy z oceną 4,70 są bliżej średniej europejskiej, która dla przebadanych 12 krajów wynosi 4,91. Jak zatem wyjaśnić sytuację, w której wzrost gospodarczy jest najwyższy od ośmiu lat, jesteśmy w Unii, rządzący rozpylają się nad wspólnotowymi korzyściami, pieniądze podobno płyną szerokim strumieniem, konsumpcja utrzymuje się na wysokim poziomie, a tymczasem rzeczywistość powszechnie oceniana jest źle?

Najłatwiej wytłumaczyć to zjawisko, konfrontując pesymistów Polaków z optymistami Brytyjczykami, którzy oceniają swoją sytuację na 5,59/10. Można powiedzieć, że strasznie by grzeszył taki na przykład Anglik, gdyby nie był zadowolony z już niskiego, stale spadającego i ponad trzy razy niższego niż w Polsce bezrobocia. Albo gdyby narzekał na utrzymujący się od siedmiu lat wzrost gospodarczy. I co ciekawe i warte przypomnienia – Wielka Brytania nie jest związana z UE paktem stabilności tak jak kraje strefy euro i kandydaci do strefy. Ma własną walutę, a jej polityka gospodarcza jest niezależna od pozostałych krajów członkowskich. Nie martwią się także Brytyjczycy stałym wzrostem płac i eksplozją konsumpcji. Chociaż na dobrą sprawę może powinni. Bo w końcu muszą cały czas się wysilać i myśleć, na co wydawać coraz więcej pieniędzy pojawiających się w portfelach.

I takich dokładnie problemów w stylu brytyjskim życzę moim Rodakom, a wtedy już żadne raporty w stylu „jest lepiej, niż miało być” nie będą nikomu potrzebne i spokojnie powrócimy do powitalnego hasła wiecznych optymistów-żartownisiów: „Jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej”.

JEST DOBRZE-
BĘDZIE LEPIEJ!!JEST DOBRZE,
A BĘDZIE JESZCZE LEPIEJ

Niektórzy żartownisie optymiści na powitalne pytanie: „Co słychać?”, odpowiadają, że jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej. I robią tak bez względu na to, czy dobrze jest w istocie, czy może raczej wszystko wskazuje na to, że aż tak dobrze nie jest, a i przyszłość wcale nie rysuje się w radosnych kolorach.

Ale oto mamy nowe czasy. Polska od roku w UE dzielić ma losy zachodniego świata. A skoro zachodniego, to znaczy, że tego wymarzonego.

Pora więc na poprawienie powiedzonka żartownisiów-optymistów. Okazuje się bowiem, że jest nawet lepiej, niż miało być. Od tego momentu, Drodzy Czytelnicy, na powitalne: „Co słychać?”, odpowiadamy: „Jest lepiej, niż miało być”. Nie jest to żaden żart. To całkiem poważny wniosek, jaki wysnuła „Rzeczpospolita”, płynący z oficjalnego rządowego raportu podsumowującego pierwszy rok naszego członkostwa w klubie wybrańców Europy. I to ma być, za przeproszeniem, prztyczek w nos wszystkim przeciwnikom integracji. Bo najważniejsze, że nie dopłacamy do zjednoczenia, jak przewidywali autorzy antyunijnych mitów – stwierdzają komentatorzy. Mało tego. Na koniec ubiegłego roku otrzymaliśmy z Unii o 1,5 mld euro, czyli o 6 mld zł więcej, niż do niej wpłaciliśmy.

Radość powinna być tym większa, że Polak pokazał, iż unijnej konkurencji się nie lęka.

I nie ma upadku małych i średnich firm. Niemcy i inne nacje nie wykupują u nas mało sowo ziemi. Nadal mamy polską żywność, a nie tanią europejską. To raczej odwrotnie. Nasi wciskają się ze swoim mięsem, mlekiem, jogurtami i serami do europejskich sklepów. Tak więc sytuacja rolników, zamiast się pogorszyć – jak przewidywali sceptycy – podobno się poprawiła. Także z powodu żywej gotówki. Do końca marca 1,5 miliona chłopów odebrało 6,5 mld zł dopłat. Autorzy raportu martwią się, że na razie nie udało się obsadzić zbyt wielu Polaków na eksponowanych stanowiskach w unijnych instytucjach. Co do tego ostatniego, to zgoda chyba może być nawet powszechna. Bo na pewno jest spora grupa, która chciałaby te eksponowane stanowiska objąć, a pewnie jeszcze większa grupa chciałaby wyeksportować tę sporą grupę, by nie musieć korzystać z jej usług na rodzimym ziemi.

Niestety, takie oficjalnie raporty mają pewną słabość. Po pierwsze, najczęściej służą do potwierdzenia słuszności bądź niesłuszności podjętych wcześniej decyzji. W tej konkretnej sytuacji jest jasne, że wnioski dotyczą tych, którzy decyzje podejmowali i raport sporządzali, a więc nielogiczne byłoby, aby krytykować samych autorów.

I po drugie, raporty uwzględniają wielkie liczby. I tak naprawdę nie oddają odczuć powszechnych, czyli tego, o czym mówi ulica,

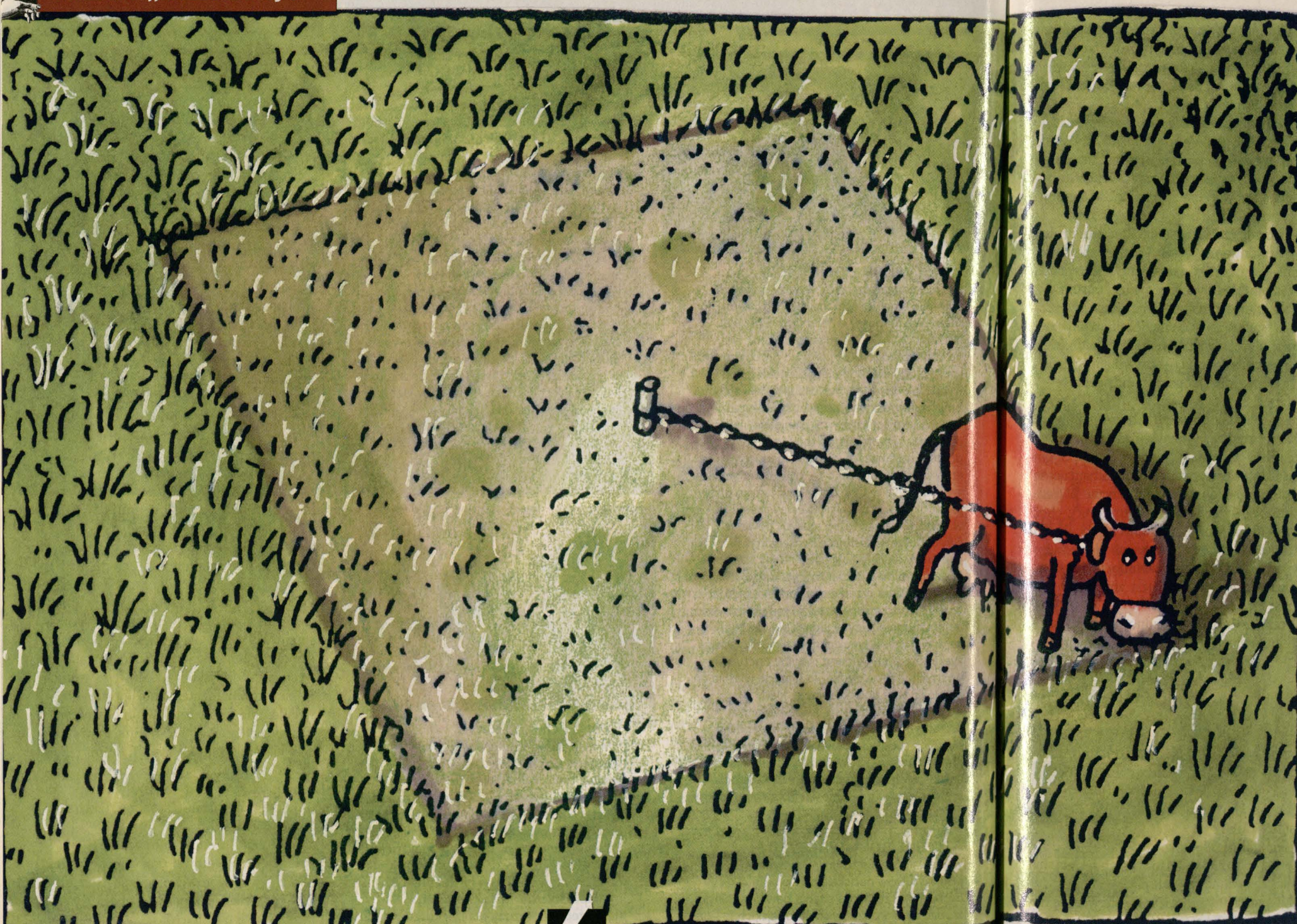
Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI (2)

Fot. PAWEŁ KOZIOL/AGENCJA GAZETA

Fot. STOCK FOOD/FREE

Wojna drożdżowa

Inni mają swoje zimne wojny, mamy i my. I do tego polsko-francuską. Podobno sprawa trafić może nawet do sądu, bo Francuzi poculi się urażeni naruszeniem dobrego imienia koncernu Lesaffre przez prezesa mazowieckiej fabryki drożdży. Polscy drożdżownicy zarzucają francuskiej firmie, której trzy zakłady gwarantują już 65-procentowy udział w rynku, praktyki monopolistyczne. Mają one polegać na sprzedaży drożdży poniżej kosztów produkcji i zmuszaniu polskich hurtowników do zakupu drożdży wyprodukowanych właśnie w zakładach należących do Francuzów. W konsekwencji ma to prowadzić do przejścia przez nich całego rynku. Potem przyszłoby kolej na podwyżkę cen drożdży i pieczywa. Natomiast Francuzi uważają, że to nie oni są przyczyną kłopotów, lecz importerzy prowadzący bardzo agresywną politykę cenową. Skutkiem takiej konkurencyjnej walki jest, o zgrozo, obniżenie cen drożdży aż o 30 procent w ciągu zaledwie ostatnich dwóch lat. Niech żyje wojna! I w ten sposób z mężczyzny o łagodnym sercu, czyli człowieka pokoju, zostałem zmieniony w mężczyznę wojny.



JAK BRAC, KIEDY NIE DAJĄ

Dostępu do unijnych dotacji bronią politycy, biurokraci i procedury. Przez rok naszego członkostwa w Unii do skarbu zdotałi się dobrać tylko najwytrwalsi i najsprytniejsi

TEKST MICHAŁ MATYS
GRZEGORZ RZECZKOWSKI

RYUNKI MAREK RACZKOWSKI

Roman Nowak był trzy razy w agencji, która dzieli dotacje dla rolników z Unii Europejskiej. Za każdym razem windy były zablokowane – trwały dostawy papieru i innych materiałów biurowych. Przestał się dziwić, gdy dostał do wypełnienia wniosek o dotację. Razem z instrukcją 34 strony plus 21 załączników.

NIEUCHWYTNIE PROCEDURY

Niegdyś wzięty architekt w Warszawie, teraz właściciel 10-hektarowego gospodarstwa na końcu Polski stara się o osiem i pół tysiąca złotych na piec oraz baterie słoneczne do swojego gospodarstwa agroturystycznego. Był wrzesień 2004 roku, gdy Roman Nowak usłyszał w mediach, że ruszyły unijne dotacje w ramach programu pomocy technicznej dla wsi. Na dociągnięcie do najbogatszych Polska dostała z Brukseli blisko 13 miliardów euro (ponad 52 miliardy złotych). Pomyślał, że to w sam raz dla niego. Postanowił działać.

Realia okazały się bolesne. Dowiedzieć się czegośkolwiek nie było sposobu. Panie z gminnego ośrodka doradztwa rolniczego czytały mu ulotki z ogólnymi informacjami o korzyściach z przystąpienia Polski do Unii. W powiatowej filii regionalnej izby rolniczej po pięciu minutach odesłano go do oddziału Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Tam z kolei dowiedział się, że Ministerstwo Rolnictwa nie zdążyło opracować przepisów.

– Usłyszałem, że „nie ma procedur”, jak przyznawać dotacje. „Procedury” to magiczne słowo klucz. Wszyscy się nim posługują – mówi Nowak.

„Procedur” nadal nie było w grudniu, ale Nowak uparł się i złożył wniosek o dotację. Wezwano go w styczniu. Musiał zmniejszyć sumę, o którą występuje, bo unijne dotacje nie obejmują podatku VAT. Urzędniczki poleciły: – Trzeba skrócić tytuł wniosku. Inaczej nie dostanie pan dotacji, bo takiego długiego tytułu nikt nie przeczyta.

Drugi raz wezwano go w lutym. Miał dostarczyć zaświadczenie z gminy, ilu ludzi mieszka w jego wsi. A także poświadczyć, że starostwo powiatowe nie ma nic przeciwko temu, aby na dachu umieścić baterie słoneczne. Dostał na to 14 dni. Ale starostwo zgodnie z prawem ma na odpowiedź 30 dni. – Przepisy podatkowe to banał w porównaniu z wnioskami o dotację z Unii. Dla przeciętnego rolnika są nie do przejścia. Szlag mnie trafił, jak słyszę w telewizji, że na wsi łatwo zdobyć pieniądze! – mówi Nowak.

Pieniądzy nie dostał do dziś. Ostatecznej odpowiedzi spodziewa się w maju 2005 roku – rok po wstąpieniu Polski do UE.

Podrażnienie, zmęczenie OCZU?

Różne
oczy
jeden
lek



HOMEOPTIC®

Krople do oczu.

Opakowanie zawiera 10 minimsów po 0,4 ml.

- **PODRAŻNIENIE, PIECZENIE,** zaczerwienienie spojówek, nadwrażliwość na światło, uczucie ciała obcego pod powiekami, suchость spojówek.
- **PRZEMĘCZENIE OCZU** spowodowane np.: długotrwałą pracą przy komputerze, długą lekturą, oglądaniem telewizji.
- **WYGODNA, HIGIENICZNA POSTAĆ** w jednorazowych, jałowych pojemniczkach ułatwia wkraplanie i przemywanie spojówek dorosłych i dzieci.

ZAWIERA ŚWIETLIK.
BEZ ŚRODKÓW KONSERWUJĄCYCH,
może być stosowany przez alergików,
kobiety w ciąży i małe dzieci.

Produkt złożony. Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

LABORATOIRES
BOIRON®

Boiron Sp. z o.o.
ul. Kubickiego 17/29
02-954 Warszawa
www.boiron.pl



Może się zdarzyć, że część z 70 milionów euro funduszy europejskich zostanie zmarnowana – przyznaje wiceminister

STRUMIENIE NIESKoordynowane

Pieniądze z Unii płyną do Polski nie jedną rzeką, ale wieloma strumieniami. Przeciętny Polak kojarzy unijną pomoc głównie z dopłatami do upraw rolniczych. Otrzymują je rolnicy we wszystkich krajach Unii. W 2004 roku był to najszybszy i najbardziej spektakularny efekt przystąpienia Polski do Unii. Zaczęto je wypłacać już jesienią, ostatni rolnicy dostaną zesłoroczne dopłaty w kwietniu. Unia dała nam na to 660 milionów euro, otrzyma je prawie 1,4 miliona gospodarstw.

Państwo z własnej kieszeni dołoży jednak drugie tyle, bo Unia sfinansowała tylko połowę dopłat. Ale to też nie wszystko. Są jeszcze pieniądze przyznane nam w okresie, gdy Polska kandydowała do Unii – najwięcej z programu PHARE (dla małych i średnich przedsiębiorstw), a także SAPARD (dla rolników) oraz ISPA (na inwestycje w transporcie i ochronie środowiska).

Jednak główna część pomocy to właśnie 13 miliardów euro przeznaczone w latach 2004–2006 na wyrównanie poziomu rozwo-

niły terminy – mówi Bartoszewicz. Na dodatek, zamiast ustalić priorytety, zrobił to według zasady „dla każdego coś dobrego”. Niewiele wskazuje na to, by kolejny plan na lata 2007–2013 miał więcej szczęścia.

Wicepremier Jerzy Hausner zapowiadał, że projekt będzie gotowy do maja 2005 roku. Ale już nie jest wicepremierem, a w tym roku będą wybory, po których politycy prawicy z pewnością nie odmówią sobie przyjemności majstrowania przy planie.

Tym bardziej że pieniądze do podziału będzie zdecydowanie więcej – nie 13, ale nawet 70 miliardów euro. Co się stanie, jeśli zostanie powtórzony błąd popełniony przy konstruowaniu poprzedniego planu? Rząd doskonale zdaje sobie sprawę: – Jeśli nie będzie wizji strategicznej, może się zdarzyć, że część funduszy zostanie zmarnowana – przyznaje Krystyna Gurbel, wiceminister gospodarki.

URZĘDNIK NIE ODPOWIADA

Dlatego działający na własną rękę przedsiębiorcy, tacy jak Roman Nowak, muszą przygotować się na ciężką przeprawę. Tym bardziej że nikt nie ma zamiaru ułatwiać im życia. W gąszczu przepisów gubią się nawet urzędnicy, choć przy obsłudze funduszy unijnych pracuje ich cała armia – trzy tysiące ludzi! Na jednego przypada kilka wniosków. Mimo to Krystyna Gurbel narzeka, że ludzi jest zbyt mało i że za mało zarabiają.

O cenne wskazówki trudno nawet na stronach internetowych ministerstw i agencji działających setki milionów euro z Brukseli. Szukamy w nich praktycznych rad. Nic z tego. Roi się za to od tasiecowych opisów „procedur” i „priorytetów”.

Na forum internetowym Ministerstwa Gospodarki i Pracy aż kipi: „Tyle tu niezrozumiałego materiału, że nawet ten, co to robił, pewnie się gubi”. Albo: „Chciałbym połączyć się, ale jakoś trudno. Jestem prawnikiem, ale może się starzeję”.

– Potrafiliśmy dodatkowo utrudnić i skomplikować to, co wynegocjowaliśmy z Unią. Informacja powinna być tak podana, aby zrozumiał ją przeciętny człowiek. Niestety, to się nie udało – uważa Bartoszewicz.

Na dodatek, jeśli urzędnicy przyjmujący wnioski o dotacje popełnią błędy, konsekwencje poniosą i tak starający się o fundusze. Unijni kontrolerzy mogą zażądać nawet zwrotu pieniędzy.

NIEWIDZIALNE PIENIĄDZE SIĘ KOŃCZA

Pieniądze miały być dzielone przez trzy lata – do końca 2006 roku. Ale to teoria. Choć większość beneficjentów ich jeszcze nie zobaczyła, prawie 90 procent tej kwoty już zostało rozdzielone. – Pieniądze posłużyły SLD za kielbasę wyborczą, która ma poprawić notowania tej partii przed wyborami. Poza tym lepiej spać śmietankę teraz, niż zostawić ją prawicy – twier-

dzą nasi rozmówcy, którzy chcą zachować anonimowość.

Skończyły się pieniądze z największego programu – na rozwój regionalny. Rezultat jest taki, że te gminy, które zbyt późno przygotowały wniosek, zostały na lodzie. Rozdano też wszystkie dotacje przeznaczone na kulturę.

Na niedostatek pieniędzy narzekają również przedsiębiorcy, którzy dostali jedynie około miliarda euro. Podstawowym warunkiem uzyskania dotacji było zainwestowanie w przedsięwzięcia poprawiające konkurencyjność na rynku unijnym, na przykład wprowadzenie nowych technologii lub utworzenie dodatkowych miejsc pracy.

Jednak potrzeby zdecydowanie przewyższyły możliwości – do grudnia 2004 roku od małych i średnich firm wpłynęło aż 6,5 tysiąca wniosków. Do przyznania dotacji zakwalifikowano zaledwie 700.

– Przedsiębiorcy zostali wprowadzeni w błąd przez polityków, którzy mówili, że dotacje z Unii rozwiążą wszystkie ich problemy, że dzięki nim rozkręcą interes. Tymczasem te pieniądze przeznaczone są na coś innego – na wyrównanie dysproporcji między różnymi krajami i regionami – twierdzi Bartoszewicz.

EFEKT ZA TRZY LATA

Co dał nam pierwszy rok członkostwa w UE? Rząd nie przygotował jeszcze takiego opracowania.

Może dowiemy się niebawem, bo na stronach Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej umieszczono za to zaproszenie do konkursu na przygotowanie „prezentacji efektów pierwszego roku członkostwa Polski w Unii Europejskiej”.

UKIE chce wydać na to 750 tysięcy złotych. Mogą to być festyny, pikniki, szkolenia i spotkania. Wiceminister Gurbel broni UKIE, mówiąc, że dzięki temu prezentacja będzie... bardziej zrozumiała, niż gdyby przygotowali ją urzędnicy.

Warto dodać, że na takie potrzeby urzędników Unia przeznaczyła około 70 milionów złotych w ramach tak zwanej pomocy technicznej w latach 2004–2006.

Część pieniędzy wydawana jest bez sensu, głównie ze względu na brak koordynacji. Wiele gmin niepotrzebnie budowało tylko dla siebie oczyszczalnie ścieków, choć mogły to zrobić taniej wspólnie z sąsiednimi. Podobnie jest z salami gimnastycznymi. Eksperti obawiają się, że część inwestycji nie będzie w pełni wykorzystana. Podobnie stanie się też z prywatnymi przedsięwzięciami.

Na pocieszenie można tylko stwierdzić, że tak jest w całej Europie. – W krajach starej Unii Europejskiej upadło co 12. dotowane przedsięwzięcie, a co piąte miało poważne kłopoty – mówi Artur Bartoszewicz. – W Polsce dopiero zaczęliśmy rozdzielać pieniądze. Za jakieś trzy lata okaże się, jaki będzie efekt. Poczekamy, zobaczymy.

JAK DOSTAĆ UNIJNE PIENIĄDZE

- Znaleźć instytucję, która rozdziela dotacje. Konkretny adres teoretycznie zależy od dziedziny, w której działa przedsiębiorca, ale to nie jest regułą;
- Formularze wniosków o dotacje są na stronach internetowych Ministerstwa Finansów. Ale uwaga: nie ma jednolitego sposobu ich wypełniania. Nie pozostaje nic innego, jak bombardować telefonami urzędników i wydeptywać ścieżki do instytucji, która przyznaje interesujące nas dotacje;
- Uzbroidź się w anielską cierpliwość i pytaj zawsze trzy razy, bo urzędnicy będą udzielać nam sprzecznych informacji;
- Pisząc wniosek, należy udowodnić, że nasza inwestycja jest w interesie sponsora, czyli Unii Europejskiej – przyniesie korzyści lokalnej społeczności i regionowi. Nawet jeśli chcemy kupić piec akumulacyjny;
- Należy być przygotowanym na liczne, czasem bezsensowne kontrole;
- Jeśli dotacja przekracza połowę wartości naszej inwestycji, musimy wziąć pod uwagę, że możemy mieć na karku Urząd Zamówień Publicznych, który będzie żądał ogłaszania przetargów na dostawy lub wykonawców;
- Nie zrażać się przeszkodami, bo z Unii można wziąć dużą kasę.

AKTYWISTY

Rewelacje
- Beck, muzyczny homeopata

Rewolucje
- Che Guevara is dead

Referencje
- londyńskie zakamarki modowe

DOSTĘPNY

9 771731 664052 05 >

W SALONACH PRASOWYCH

WYTRWALI LUB PRZEGRALI



Dzięki 500 tysiącom złotych dotacji firma Figand zakupiła wyposażenie nowej hali do produkcji wyrobów mleczarskich, w tym do wytwarzania serów

Barokowy kościół w Jasieńcu będzie remontowany za pieniądze z Unii Europejskiej

Kilkadziesiąt stron wniosku przedsiębiorcy o dotacje unijne to nic przy wnioskach dla samorządów – niektóre trzeba wozić ciężarówką

Wśród szczęśliwców, którzy dostali pieniądze z Unii, jest firma mleczarska Figand z podradomskiej wsi Wawrzyszów. Otrzymała 500 tysięcy złotych na wyposażenie nowej hali produkcyjnej. Dzięki temu może produkować wyroby, które trafiają na rynki unijne.

– Co tydzień wysyłamy do Anglii tonę naszych produktów. Bez pieniędzy z Unii nie stałoby się to tak szybko – mówi prezes Figandu Leszek Figarski. Zachęcony powodzeniem przygotowuje kolejny wniosek o milion złotych na maszyny i cysterny do przewozu mleka.

Sukcesem zakończyły się też starania parafii w podgrójeckim Jasieńcu, która ma dostać kilkadziesiąt tysięcy złotych na remont zabytkowego kościoła. Barokowa świątynia zaprojektowana przez Jakuba Fontanę – architekta króla Stanisława Augusta Poniatowskiego – jest w bardzo złym stanie. Za unijne pieniądze proboszcz, ksiądz Maciej Kurzawa, chce wyremontować elewację oraz wymienić część zawilgoconych tynków wewnątrz świątyni. Niektóre prace już wykonał z funduszy parafii.

Takich sukcesów by nie było, gdyby nie pomoc firm, które pomagają wypełniać skomplikowane wnioski. Powstało ich wiele jeszcze przed wstąpieniem do Unii Europejskiej. Biorą góra trzy procent wartości wniosku i załatwiają sprawę od początku do końca.

Anna Majewska i Rafał Milewski pracują wyłącznie na własny rachunek. Swoją firmę założyli pięć lat temu. Dziś na koncie mają kilkadziesiąt pozytywnie załatwionych postępowań i znakomitą wiedzę na temat zdobywania unijnych funduszy. – Przede wszystkim daje się we znaki ogromna biurokracja – oceniają.

Kilkudziesięciostronnicowy wniosek Romana Nowaka to nic przy liczących po prawie tysiąc stron wnioskach dla samorządów. Niektóre trzeba wozić ciężarówką. Przedsiębiorcy ubiegający się o dotacje, których wartość przekracza 125 tysięcy złotych, obowiązkowo muszą starać się o kredyt bankowy jako zabezpieczenie. Do tego dochodzi uznaniowość ze strony urzędników, którzy lubią wydawać sprzeczne polecenia i czepiać się szczegółów. – Zdarzało się, że odrzucano nam wniosek tylko dlatego, że wpisać nie mogliśmy jakiegoś danego w złą

rubrykę. To jest chore – mówi Anna. – W dodatku jeden z naszych wniosków leży w urzędzie już osiem miesięcy, choć powinien być rozpatrzone pół roku temu.

Wątpliwości jest więcej. – Nie jestem przekonany, że unijne pieniądze rzeczywiście idą na wyrównywanie różnic. Na przykład 70 procent pieniędzy na kulturę na Mazowszu wzięły duże miasta – twierdzi Milewski.

Może byłoby lepiej, gdyby rozdziałem unijnych dotacji nie rządziła polityka. Boleśnie przekonali się o tym wnioskodawcy z Wielkopolski i Kujawsko-Pomorskiego. W pierwszym regionie dotacje z funduszy strukturalnych będą rozdzielane ponownie, bo urzędnicy podlegli marszałkowi województwa z SLD przyznali pieniądze, łamiąc procedury według własnego widzimisię. Podobnie było na Kujawach, gdzie również rządzi SLD. Tam Najwyższa Izba Kontroli nakazała powtórzyć konkurs, gdy wyszło na jaw, że pieniądze przyznawano z pominięciem procedur, a dotacje dostali „swoi”.

Jak to zwykle bywa, do pensji postanowili dorobić też urzędnicy, którzy służbowo zajmują się funduszami unijnymi. Niektórzy pozakła-

dali własne firmy, które pomagają zdobyć dotacje. Zdarza się, że taką firmę prowadzi żona urzędnika.

Mimo to niektórym wnioskodawcom udało się samotnie przebrnąć przez biurokratyczne procedury. Produkująca meble z metalu firma Jotkel jest bardzo bliska otrzymania 1,2 miliona złotych. Pieniądze wyda na zakup prasy do obróbki blachy. Rodzinnej firmie z podopiecznego Krotoszyńskiego pozwoli to zwiększyć produkcję, której duża część trafia na rynki zachodnie. Kolejne dwa miliony złotych, o jakie walczy Jotkel, firma chce zainwestować w maszyny i modernizację hal.

Sama poradziła sobie również Powiślańska Fundacja Społeczna z Warszawy. Jej podopieczni to dzieci i młodzież z trudnych rodzin, uzależnieni od narkotyków, mający na koncie konflikt z prawem. Również dorosli: bezrobotni, biedni, zagrożeni eksmisjami. Na pomoc dla nich kierowana przez Annę Gierałtowską fundacja zdobyła już kilka milionów złotych z funduszy unijnych. – Dzięki nim młodzi ludzie mają szansę wrócić do społeczeństwa – mówi Gierałtowska. – Walczymy o te pieniądze, bo nie mamy innego wyjścia. Fundusze krajowe z każdym rokiem są coraz mniejsze.

MICHAŁ MATYS, GRZEGORZ RZECZKOWSKI

(NIEKTÓRE NAZWISKA BENEFICJENTÓW ZOSTAŁY NA ICH PROŚBĘ ZMIENIONE)

NA CO DAŁA UNIA

1. Fundusz strukturalny:

- rozwój regionalny (drogi, kanalizacja, wodociągi): 3 miliardy euro,
- rozwój zasobów ludzkich (szkolenia, komputery dla szkół itd.): 1,47 miliarda euro,
- wzrost konkurencyjności przedsiębiorstw: 1,251 miliarda euro,
- restrukturyzacja i modernizacja sektora żywnościowego oraz rozwój obszarów wiejskich: 1,192 miliarda euro,
- transport: 1,163 miliarda euro
- dopłaty bezpośrednie dla rolników: 660 milionów euro (tylko w 2004 roku),
- rybołówstwo i przetwórstwo ryb: 201 milionów euro,
- regiony przygraniczne: 177 milionów euro,
- organizacje pozarządowe: 144 miliony euro,
- pomoc techniczna: 28 milionów euro.

2. Fundusz spójności:

- transport (autostrady, infrastruktura kolejowa) oraz ochrona środowiska: 4,5 miliarda euro (te pieniądze jeszcze do nas nie wpłynęły).

NAJWAŻNIEJSZE URZĘDY KTÓRE DZIELA UNIJNE PIENIĄDZE

- Ministerstwo Gospodarki i Pracy (www.mgip.gov.pl),
- Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości (www.parp.gov.pl),
- Agencja Rozwoju Przemysłu (www.arp.com.pl),
- Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa (www.arimr.gov.pl),
- Fundacja Programów Pomocy dla Rolnictwa FAPA (www.fapa.com.pl),
- Ministerstwo Nauki i Informatyzacji (www.mnii.gov.pl),
- Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (www.nfosigw.gov.pl),
- Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (www.pfron.org.pl),
- urzędy marszałkowskie województw.

Radość słuchania



Trójka
POLSKIE RADIO

KRZYSZTOF SZCZEPANIAK
HUBERT KUC

Czas na BANK

Kamila Jastrzębska, 31-letnia konsultantka wdrożeniowa z Warszawy, nie dzwoniła do fachowców z ogłoszenia, którzy naprawiliby jej umywalkę. Wezwała Tadeusza. Hydrauliczną usługę wykonywał dłużej, niż przypuszczała, bo sześć godzin, ale przynajmniej w pełni mu ufała. Co więcej, nie dała mu za pracę ani grosza. Zapłaciła własnym czasem – dla wyrównania godzinowego konta podwiozła samochodem parę tygodni później Elę Korszewską, która przewoziła do domu meble. Pomogła także 28-letniej ekonomistce Adriannie Barańskiej, dla której wykonała zabieg duchowego uzdrawiania – reiki – polegający na przekazywaniu energii za pomocą dłoni i stóp.

Adrianna nie ma na razie jak pomóc Kamili, ale nie szkodzi – nauczy Michała tworzyć strony WWW. Tak zarobi godziny, które wydała na Kamilę. Michał jeszcze nikomu nie ofiarował swoich usług, więc być może niebawem zrobi coś dla Tadeusza.

Wszyscy za darmo wzajemnie sobie pomagają, tworząc w Warszawie jeden z pierwszych w Polsce banków czasu. Swoje prace i poświęcony im czas spisują w komputerze i tak się między sobą rozliczają. Na razie na kartach wymiany, w przyszłości w Internecie, wpisują, kto, komu, kiedy, jaką usługę wyświadczył.

Nie umiesz upiec ciasta lub naprawić zlewu, ale możesz komuś przewieźć drzewko lub popilnować dziecka? Zadzwoń do banku czasu



WALUTA TROSKI

– Bank czasu to miejsce wymiany usług sąsiedzkich. Środkiem płatniczym nie są tu pieniądze, ale czas. Godzina dowolnej pracy na rzecz członka banku jest równa godzinie każdej innej pracy – mówi Kamila Jastrzębska.

– To jedna z podstawowych zasad banków czasu: nie wartościujemy, która praca jest lepsza, nawet jeśli porada prawna

jest wyceniana na rynku lepiej niż malowanie ścian – dodaje Piotr Wójcik, jeden z założycieli warszawskiego banku.

– I druga ważna zasada: nie musisz danej usługi oddawać tej osobie, która zrobiła coś dla ciebie. Możesz pomóc komukolwiek, dzięki czemu nigdy nie czujesz się zobowiązany do oddania przysługi – tłumaczy Kamila.

W Polsce w bankach czasu działa już kilkaset osób, głównie w Opolu, Zielonej Górze, Wrocławiu i Poznaniu. Kolejne zawiązu-

ją się w Białymstoku, Bielsku-Białej, Gdańsku, Gdyni, Katowicach, Kępnie, Lublinie, Stalowej Woli, Szczecinie i Wąbrzeźnie.

Na Zachodzie idea wymiany „godzina za godzinę” znana jest już od ponad 20 lat. W sumie na świecie istnieje ponad tysiąc banków. – Najwięcej tego typu inicjatyw jest w Japonii, tam banki czasu działają prężnie, ponieważ dotuje je państwo.

Szybko rozwijają się także inicjatywy w obu Amerykach – mówi Krzysztof Lewandowski, który ideą banków czasu interesuje się od sześciu lat.

Największy i jeden z pierwszych na świecie to bank Time Dollar, którego założycielem jest amerykański prawnik Edgar Cahn. To on stworzył pojęcie płacenia godzinami, o których w Stanach mówi się także „godziny dolarowe” bądź „waluta troski”. W 1980 roku 46-letni ciężko pracujący Cahn przeżył atak serca, po czym trafił do szpitala. Zawsze pełen energii w otoczeniu lekarzy i pielęgniarek poczuł się bezużyteczny. Powracając do zdrowia, zaczął z jednej strony zastanawiać się, dlaczego rezygnuje z rodziny na rzecz pracy, z drugiej zaś, przyglądając się szpitalnym korytarzom, stał się świadkiem redukcji wydatków państwa na opiekę społeczną.

Wpadł na pomysł będący rozwiązaniem obu tych problemów. Stworzył system, który jednakowo oceniał każdy rodzaj pracy. Siedem lat później swą teorię wyłożył w London School of Economics. Dziś Time Dollar to nie tylko sieć banków czasu, ale także instytut zrzeszający członków lokalnych społeczności, zajmujący się promowaniem idei, które mają na celu odbudowę społeczeństwa obywatelskiego.

TELEFON DO PRZYJACIELA

Na czym polega działalność banku czasu? Przystępując do niego, zgłaszasz umiejętności, którymi możesz służyć, oraz potrzeby, których zaspokojenia oczekujesz od innych ludzi. Jedni oferują kursy aerobiku, drudzy pomoc w sprzątaniu, jeszcze inni robią zakupy i wyprowadzanie psa. Zdarzają się też usługi bardziej intrygujące. W warszawskim katalogu można znaleźć gimnastykę chi kung, w Opolu pisanie okolicznościowych śmiesznych wierszyków, a we Wrocławiu naukę emisji głosu.

– Właściwie nie ma osoby, która nie miałaby czego zaoferować. Nawet jeśli ktoś jest inwalidą, może zaproponować pomoc pod tytułem „telefon do przyjaciela” – dodaje Kamila Jastrzębska. Z takich ofert ludzie też korzystają, gdy czują się samotni. Najpopularniejsze są korepetycje językowe, nauka obsługi komputera i różnego rodzaju kursy – od nauki tańców celtyckich, przez grę na saksofonie, po szkolenia z rachunkowości. Wielu mężczyzn w bankach to złote rączki. Zarabiają godziny, przepychając ludziom zlewy czy odnawiając meble. Kobiety na zamówienie pieką ciasta, smażą naleśniki lub wykonują poprawki krawieckie. Nawet dzieci angażują się w wymianę – udzielają korepetycji bądź pomagają w zakupach.

Wiele osób chcących wstąpić do banku czasu pyta jednak, skąd pewność, że nie znajdzie się ktoś, kto będzie chciał z banku czerpać korzyści, nie dając nic w zamian. – Zawsze mogą się znaleźć oszuści, ale staramy się przed tym zabezpieczać – wyjaśnia Piotr Wójcik. Przystępując do banku, trzeba podać numer dowodu osobistego i podpisać się pod regulaminem, w którym znajduje się zapis o obowiązku informowania o każdym niebezpieczeństwie, z jakim członek banku się spotka. Gdziekolwiek trzeba mieć przynajmniej jedną osobę, która poręczy za nowego członka.

Oczywiście ważnym powodem, dla którego ludzie angażują się w taką działalność, jest okazja do zaoszczędzenia pieniędzy. – Wcześniej za hydraulika płaciłam 50 złotych, a teraz mam go za darmo – mówi Jadwiga Magnuszewska z Wrocławskiego Banku Czasu. Zaoszczędzić można na wizytach u fryzjera, remoncie mieszkania, lekcjach angielskiego czy doradztwie kredytowym. – W Polsce wciąż są tacy, którzy traktują całą rzecz jak dowcip. To kwestia polskiej mentalności. Amerykanie są bardziej pragmatyczni i wiedzą, że wstąpienie do banku po prostu im się opłaca – mówi Elżbieta Kurek z Opolskiego Banku Czasu.

Niektórzy członkowie banków czasu obawiają się jednak, że Ministerstwo Finansów będzie chciało opodatkować ich działanie. – Na świecie były takie próby i nigdzie się to nie udało. Nałożenie na banki VAT-u byłoby idiotyzmem – mówi Kamila Jastrzębska. Opolski bank w oczekiwaniu na opinię

Bankowicze dyżurowali w oknach. Gdy zobaczyli rozróbę, dzwonili na policję. W zamian dostawali żywność

– pozwoliła uruchomić w USA usługę darmowych taksówek. Fundusze opłacają utrzymanie i ubezpieczenie dwóch furgonetek, a członkowie banku mogą z nich korzystać codziennie. Niektórzy członkowie dodatkowo zarabiają godziny jako kierowcy taksówek.

Czasami jednak sama wymiana godzin nie wystarcza, więc zarobiony czas pomysłodawcy banków pozwalają wymieniać na dobra konsumenne. W Chicago w ramach programu „Uczący rówieśnik” uczniowie pomagali w nauce swoim kolegom z niższych klas. Za 100 godzin poświęconych na pomoc młodszemu

BANKI CZASU W POLSCE

Opolski Bank Czasu
www.bankczasu.gsi.pl
tel. 0-606 524 520
bankczasu@tlen.pl

Warszawski Bank Czasu
www.bankczasu.prv.pl
tel. 0-507 632 407
bankczasuwar@tlen.pl

Wrocławski Bank Czasu
www.bankczasu.eco.pl
dom parafialny przy kościele
św. Maurycego, ul. Traugutta 34
tel. (0-71) 348 73 30 – w każdy
czwartek w godzinach 16.00–18.00

Zielonogórski Bank Czasu
www.port.strefa.pl/bankczasu
Polska Misja Dobrej Woli,
pl. Słowiański 21
tel. (0-68) 325 74 75 – od wtorku
do piątku w godz. 11.00–13.00

Ciekawie zakończył się również eksperyment amerykańskiej organizacji Eldersplan. Wynajmowane za pieniądze pielęgniarki zatrudniane do opieki nad starszymi ludźmi zastąpili wolontariusze – także starsi ludzie, ale na tyle sprawni, że sami mogli zaopiekować się swoimi rówieśnikami. Pacjenci zaoszczędzili pieniądze oraz dużo rzadziej wzywali pomoc specjalistyczną. – O bólach zapominali, gdy zaczynali rozmowę z osobą w podobnym wieku – wyjaśnia Jadwiga Magnuszewska. Opiekunowie zarobione godziny mogli wymieniać na przykład na zniżki na zakup sprzętu rehabilitacyjnego.

Słynna jest również działalność nowojorskiego ruchu Womanshare. Kobiety wpadły na pomysł, by opłacać różnego rodzaju szkolenia i warsztaty, ale na kurs wysyłały tylko jedną osobę z ruchu. Ta dzieliła się później wiedzą i umiejętnościami z resztą członków banku. Dzięki pomysłowi kobiety zdobyły dziesiątki nowych umiejętności – od obsługi elektronarzędzi po znajomość zasad sporządzania testamentów.

Są przypadki, gdzie banki zaczęły się nawet samofinansować. – W Stanach Zjednoczonych w Baltimore powstał sklep Helping Hands, który sprzedaje używane ubrania. Zarobione pieniądze przeznaczane są na opłaty związane z działalnością banku, a osoby, które prowadzą sklep, są wynagradzane godzinami – opowiada David Boyle, jeden z twórców banków w Wielkiej Brytanii. Dzięki stworzonej między innymi przez niego New Economics Foundation w Anglii powstały banki wymiany umiejętności, tak zwane Skill Swaps. – Działają w nich ludzie nie-

mał wszystkich zawodów. Mamy księży, byłych kryminalistów, a nawet osoby przebywające w więzieniu. Nie słyszałem tylko o żadnym polityku – mówi Boyle.

BANKOWA SPOŁECZNOŚĆ

– To, co najwspanialsze w bankach czasu, to możliwość bezstresowego nawiązywania kontaktów z ludźmi bez nakazu odwiedzania się – ocenia Piotr Wójcik. – Banki ułatwiają tworzenie się więzi międzyludzkich, więc naturalne, że nawiązują się przyjaźnie.

– Gdyby nie sąsiedzka społeczność, nie poznałabym mistrza polskiej ortografii i wielu innych niezwykle ciekawych ludzi – mówi Elżbieta Kurek.

– Działanie w ramach takiej inicjatywy budzi w ludziach poczucie własnej wartości – uważa doktor Hanna Bojar, socjolog kultury z Polskiej Akademii Nauk. – Takie osoby z reguły nie mają dużo pieniędzy, ale mają za to umiejętności. Nagle okazuje się, że nawet nie mając grubego portfela, można zaoferować innym coś wartościowego. Dzięki temu tworzy się rodzaj relacji, która jest dla tych ludzi powrotem do naturalnych zasad istniejących w małych społecznościach.

Właśnie dlatego działalnością w banku czasu najbardziej zainteresowani są ludzie, którzy z małych miejscowości przenoszą się do dużych miast. Tak jest w przypadku stołecznej inicjatywy – tu nikt nie jest rodowitym warszawiakiem.

– Chyba dlatego, że ludzie, którzy przyjeżdżają do bezosobowej Warszawy, czują się wykorzystani. Aby móc nawiązać nowe znajomości lub pomagać, muszą stworzyć własną społeczność lokalną – mówi Weronika Najda, studentka socjologii, która na spotkanie z ludźmi z banku czasu przyszła po raz pierwszy. Deklaruje, że może pomóc w nauce angielskiego i w składaniu wniosków o fundusze europejskie. Pierwszy raz jest też Przemek Krupa, student pedagogiki. Przez sześć lat tańczył w zespole folklorystycznym, ma za sobą kurs automasażu, jest trenerem aerobiku, a na co dzień pracuje w salonie fryzjerskim. Człowiek orkiestra to skarb dla banku czasu. – Interesuje mnie ten taniec – błyskawicznie reaguje Kamila. – A mi w Warszawie najbardziej brakuje domowej kuchni, od dawna mam ochotę na pierogi – odpowiada Przemek.

Kolejna wymiana w ramach Warszawskiego Banku Czasu wisi w powietrzu.

KRZYSZTOF SZCZEPANIAK
HUBERT KUC

PORUSZAMY POLSKĘ



Co roku miliony ton paliwa.

Tysiące ton oleju silnikowego. Tyny asfaltu.

Co roku coraz więcej.

Grupa LOTOS. Ciągle w ruchu.

Bo ruch to życie.

 **LOTOS**
GRUPA

JAKIE USŁUGI PROPONUJĄ BANKI CZASU W POLSCE:

- czytanie książek dzieciom i ludziom starszym,
- hotel dla zwierząt,
- korepetycje z rachunkowości,
- nauka gry w brydża,
- obsługa muzyczna imprez,
- odwiedzanie ludzi w domu,
- oprowadzanie po zabytkach,
- pomoc w wypełnianiu formularzy podatkowych,
- przygotowanie dania naleśnikowego,
- robienie comiesięcznych opłat,
- wizyta w szpitalu,
- wspólne granie – gry planszowe.

LISTA 22 262 962 SŁUCHACZY RMF FM*

administratorzy nieruchomości	34 499
agenci ubezpieczeniowi, dealerzy, brokerzy ubezpieczeniowi	56 493
architekci, urbaniści	57 210
archiwiści, bibliotekarze, muzealnicy	80 575
doręczyciele pocztowi	56 051
drukarze, introligatorzy, pracownicy poligrafii	43 900
duchowni	4 254
dyrektorzy, prezesi	119 047
elektromechanicy i elektrycy	302 320
farmaceuci	25 485
fryzjerzy, kosmetyczki	91 920
górnicy	130 197
informatycy, programiści	101 979
inspektorzy bhp, budowlani, kontrolerzy jakości	153 607
inżynierowie	186 623
jubilerzy, złotnicy, ceramicy, rękodzielnicy	57 016
kasjerzy, pracownicy obrotu pieniężnego	222 563
kierowcy	684 006
kierownicy działów w dużych zakładach pracy	259 443
kierownicy mniejszych i średnich zakładów pracy	1 160 828
kierownicy pociągów, konduktorzy, stewardzi, stewardessy	19 555
krawcy, kapelusznicy, kuśnierze, obuwnicy	367 528
księgowi, specjaliści d/s finansowych	629 724
kucharze, kelnerzy	337 060
magazynierzy, zaopatrzeniowcy	375 485
masarze, robotnicy przetwórstwa ryb, robotnicy produkcji żywności	99 068
maszyniści kolejowi, dyżurni ruchu, manewrowi	86 275
mechanicy samochodów, maszyn i urządzeń	438 083
monterzy	139 127
nauczyciele, wychowawcy przedszkolni, specjaliści szkolnictwa	1 016 245
naukowcy, specjaliści nauk humanistycznych	38 522
naukowcy, specjaliści nauk ścisłych i przyrodniczych	44 206
operatorzy maszyn	894 480
opiekunki dziecięce, osób starszych, pracownicy opieki	137 096
osoby sprząające, pomoce domowe	362 286
parlamentarzyści, politycy, działacze	29 067
piekarze, cukiernicy	122 661
pielęgniarki, położne, personel medyczny	471 223
planiści produkcyjni, pracownicy transportu i produkcji	142 609
plastycy, literaci, dziennikarze, muzycy, filmowcy, tancerze	43 464
policjanci, wojskowi, strażacy, detektywi	195 362
portierzy, woźni, gońcy, bagażowicy	174 010
pośrednicy handlowi, agenci, spedytory	334 669
pozostali	991 454
pracownicy biur podróży, przewodnicy turystyczni	14 803
pracownicy branży artystycznej, rozrywkowej	13 825
pracownicy socjalni	51 226
pracownicy umysłowi różnych kategorii	554 937
pracownicy zakładów pogrzebowych	3 688
pracownicy żeglugi i lotnictwa, marynarze	27 908
prawnicy, sędziowie	66 560
prezenterzy radiowi, telewizyjni	2 674
repcjonistki, telefonistki	95 133
referenci ekonomiczni, finansowi, statystyczni	352 805
robotnicy budowlani i wykończeniowi	874 239
robotnicy pomocniczy różnych branż	329 599
rolnicy, hodowcy, ogrodnicy, sadownicy, pszczelarze	1 165 545
rybacy, myśliwi, robotnicy leśni	54 816
rzeczoznawcy, taksatorzy, licytatorzy	3 834
sekretnicy	144 446
specjaliści do spraw biznesu, zarządzania, ekonomisci	202 341
sportowcy, trenerzy, działacze sportowi	24 124
sprzedawcy, ekspedienty	1 372 287
stolarze, robotnicy produktów drewnianych	147 934
stomatolodzy, lekarze, weterynarze	132 983
strażnicy, pracownicy ochrony	216 493
studenci, uczniowie	3 812 330
ślusarze, spawacze, blacharze	459 629
technicy różnych specjalności	719 475
tkacze, dziewiarze, robotnicy włókiennictwa i odzieży	33 634
urzędnicy	68 419

* Źródło: RadioTrack SMG/KRC A Millward Brown Company, zasięg tygodniowy RMF FM, rok 2004, na podstawie ogólnej klasyfikacji zawodów (ISCO)

ROBERT . 43 LATA. LEKARZ.

• NA RYBACH ZAWSZE SŁUCHA RMF FM •

www.rmfm

RADIO MUZYKA FAKTY



RADIO
JAK ZAWSZE RMF FM

nauka

Żebyś wiedział

Przyspieszamy

Co chwila bijemy jakiś rekord prędkości. Najszybszy dziś superkomputer IBM Blue Gene jest blisko 450 tysięcy razy szybszy niż maszyna sprzed 30 lat i dwa razy niż najszybszy komputer młodszy zaledwie o rok. Budujemy pociąg pasażerski, który będzie pędził z szybkością 430 km/godz., i samochód z napędem rakietowym, który przekroczył prędkość dźwięku. Czy możemy teraz zwolnić? Nigdy!

Rekord odpału

Znajduje się w Six Flags Great Adventure w Jackson, New Jersey. Kolejka górską Kinda Ka „wysztzerła” z prędkością 206 kilometrów na godzinę. Została wyposażona w hydrauliczną katapultę o mocy 12 tysięcy koni mechanicznych. Inspiracją dla jej stworzenia były katapulty wspomagające start myśliwców z amerykańskich lotniskowców. Kolejka może być odpalana co 45 sekund, co daje 1400 jazd na godzinę. Pobiera trzy megawaty energii. Kosztowała 25 milionów dolarów. Po wystrzeleniu wjeżdża na wysokość 139 metrów. Potem spada, pozwalając pasażerom przez kilka sekund odczuwać stan nieważkości. Cała przejażdżka trwa 50 sekund.



Fot. SP/EAST NEWS

Rekord gryzienia

Najszybciej na świecie gryzie mrówka *Odontomachus bauri*, która może otworzyć i zamknąć swoją mikroskopijną szczękę w jedną trzecią milisekundy. To 100 razy szybciej, niż trwa mrugnięcie oka.

Fot. DZIEŃ W PRZEMIOŚCI
LONNIEG THOMSON

Rekord topnienia

Oori Kalis w Peru to najszybciej na świecie cofający się lodowiec. Położony powyżej 5486 metrów nad poziomem morza w peruwiańskich Andach topnieje w tempie prawie 213 metrów na rok. To 40 razy szybciej niż jeszcze w połowie lat 70. XX wieku. Przy obecnym tempie wycofywania się stopienie całego lodowca może zająć jedynie 50 lat. Jeśli na świecie górskie lodowce stopnieją całkowicie, poziom mórz i oceanów podniesie się o pół metra, co zmusi do przeprowadzki 100 milionów ludzi z wybrzeży.



Fot. CORBIS/FREE

Rekord wzrostu

Niektóre gatunki bambusa rosną nawet metr na dzień. To o 30 procent szybciej niż najszybciej rosnące drzewo. Na świecie występuje około 1500 gatunków bambusa i co roku odkrywa się nowe rodzaje. Roślina ta może przyjmować postać cienkiej trzciny o długości jednego metra, ale i drzewa (choć bambus to gatunek trawy) o średnicy 30 centymetrów, wysokiego na 50 metrów.



Rekord pędu

Thrust SSC pobił 15 października 1997 roku rekord prędkości naziemnej. Wyniósł on blisko 1228 kilometrów na godzinę. Kierowcą pojazdu był Andy Green, brytyjski pilot myśliwca. Do napędu użyto dwóch silników Rolls-Royce Phantom z odrzutowca Lightning. Razem osiągają moc prawie 110 tysięcy koni mechanicznych. Konstrukcja waży 10 ton i ma 16 metrów długości. Do 100 mil na godzinę (161 km/godz.) Thrust SSC przyspiesza w cztery sekundy, a od zera do 600 mil na godzinę (966 km/godz.) – w 16 sekund, pożerając przy tym 20 litrów wysokooktanowego paliwa na sekundę. Z rur wydechowych wypuszczał płomień długości 25 metrów.

Rekord liczenia

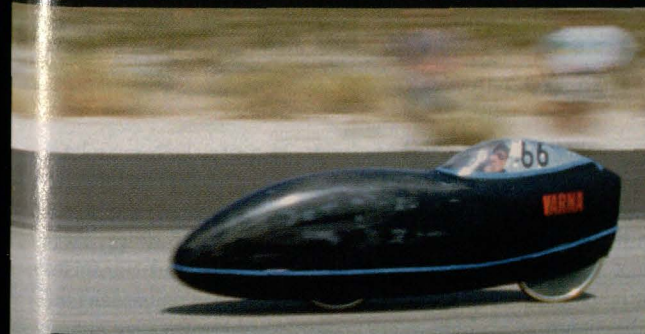
IBM Blue Gene jest blisko 450 tysięcy razy szybszy niż maszyna sprzed 30 lat. Pierwszy superkomputer CRAY-1 uruchomiony w Los Alamos w roku 1976 miał moc tylko 80 megaflopsów, czyli 80 milionów operacji na sekundę. Blue Gene w marcu przekroczył 135 bilionów operacji na sekundę (135,5 teraflopsa). Wcześniej był niemal dwukrotnie wolniejszy. Docelowo Blue Gene ma osiągnąć 360 teraflopsów. Będzie się wtedy składać z 64 wielkich szaf. Na razie jest ich 32, a w każdej – 1024 procesory.



Fot. IBM

Rekord pedałowania

Łądowy rekord szybkości w pojeździe napędzanym siłą ludzkich nóg osiągnął w październiku 2002 roku Kanadyjczyk Sam Whittingham. To 130 kilometrów na godzinę. Kanadyjczyk leżał w środku pociskokształtnego roweru i pedałowal po płaskiej powierzchni w Battle Mountain w Nevadzie.



36 KM/GODZ.

NAJSZYBSZY ŻÓŁW ŚWIATA
(MORSKI)
DERMOCHELYS CORIACEA

56 KM/GODZ.

NAJSZYBSZY ZAJĄC ŚWIATA
LEPUS ALLENI

120 KM/GODZ.

NAJSZYBSZE ZWIERZĘ ŁĄDOWE
GEPARD

395 KM/GODZ.

NAJSZYBSZY SERYJNY
SAMOCHÓD
KOENIGSEGG CCR

1234 KM/GODZ.

PRĘDKOŚĆ DŹWIĘKU

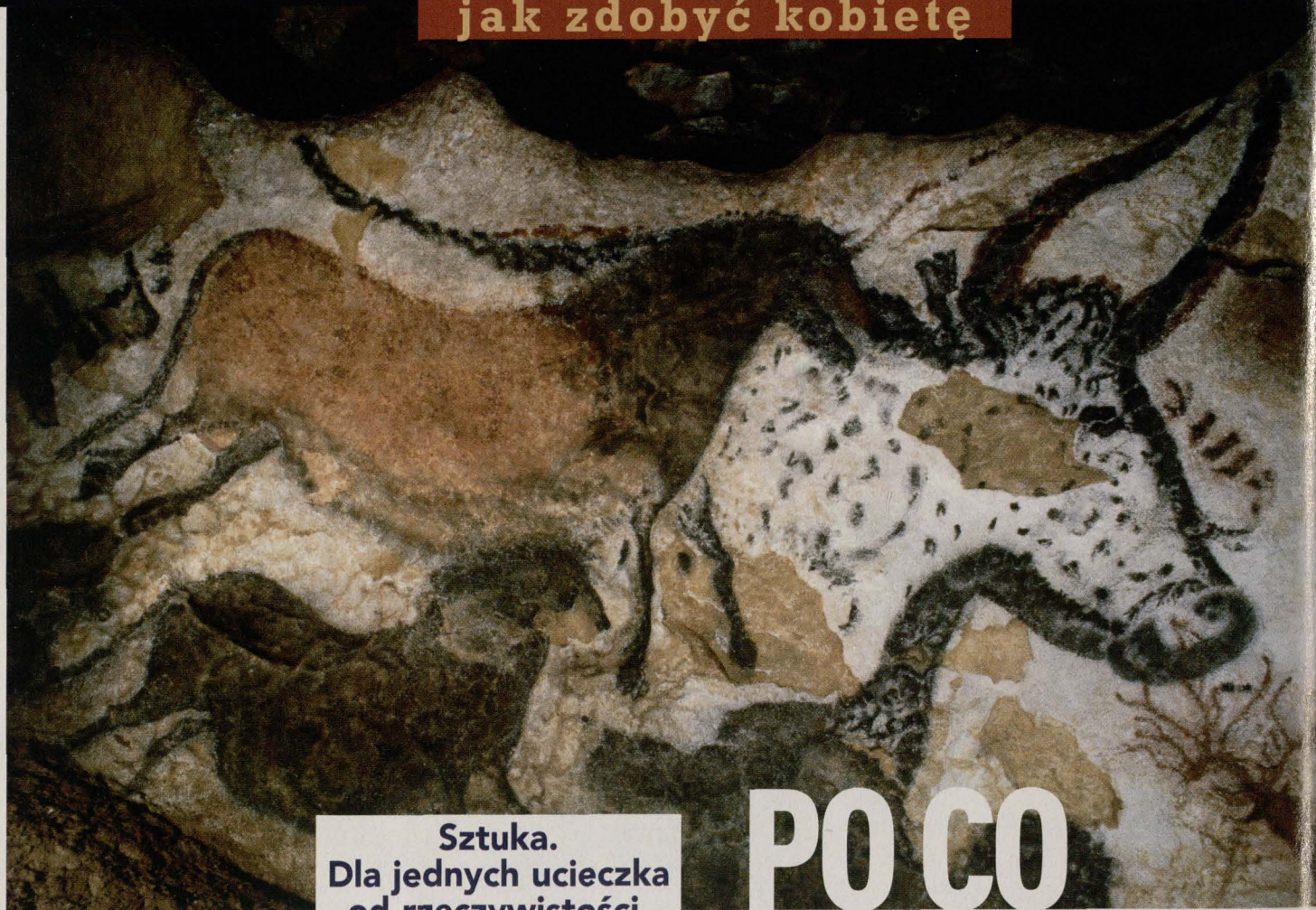
3800 KM/GODZ.

PRĘDKOŚĆ POCISKU

1 080 000 000 KM/GODZ.

PRĘDKOŚĆ ŚWIATŁA

jak zdobyć kobietę



Sztuka.
Dla jednych ucieczka
od rzeczywistości,
dla innych
pasożytniczy twór,
pragnący przeżyć
naszym kosztem.
Czym jest?

PO CO NAM SZTUKA?

OLGA WOŹNIAK

Piękny lipcowy dzień, słońce miło łechce skórę. Jedzenia wokół w bród, donikąd nie trzeba się spieszyć. Pełnia szczęścia. Ale nie pełnia spokoju. Gdzieś w środku zaległo się dziwne uczucie, którego nie sposób się pozbyć. Chęć, której nie daje się określić.

Pewną ulgę przynosiło błędzenie palcem po piasku przed jaskinią, rysowanie patykiem różnych kształtów, co wywoływało piski dzieciarni uradowanej rysunkami jeleni, bawołów, małych ludzików wychodzących spod patyka na udeptanym klepsku.

Kobiety wracające z lasu z jagodami i owocami przystawały na chwilę wyraźnie zacieka-wione. Widząc to, inni mężczyźni pomrukiwali groźnie i posyłali zazdrosne spojrzenia. Jednak obrazki na piasku znikały, gdy ktoś postawił na nich stopę, gdy zawiął wiatr, spadł

deszcz. Wtedy dzieci rozbiegały się po okolicy, kobiety traciły zainteresowanie, a mężczyźni pomrukiwali z satysfakcją.

Co zrobić, by zachować te wizerunki na dłużej? Pomysł przyszedł pewnego dnia, gdy ręka ubrudzona ochrą, którą malowano na ciele wzory, odbiła się przypadkiem na kamieniu.

Okazało się, że wystarczyło pociągnąć po skale palcem umoczoną w farbce, by zostawić trwałe ślady. Z czasem pokryły się nimi ściany jaskini. Ludzie przychodzili popatrzeć. Nawet najbardziej wybredne kobiety stawały się miłsze, gdy mogły obejrzeć rysunki.

I tak się narodziła. Sztuka.

Eksplozja sztuki

36–30 tysięcy lat temu w Europie pojawiły się najstarsze znane dziś wytwory sztuki. Figurki zwierząt i instrumenty muzyczne, malowidła naskalne. Pierwsze obrazy były rozczula-jące proste: odbite dłonie, nieporadne

wizerunki zwierząt. 21 tysięcy lat temu ręka ja-kiegoś paleolitycznego artysty wyrzeźbiła słyn-ną Wenus odnaniezoną przez naukowców w Willendorfie w Austrii. 17–15 tysięcy lat te-mu jaskiniowy twórca uwiecznił na ścianie w grocie w Lascaux we Francji najbardziej dziś chyba znane malunki jaskiniowe.

Eksplozja ludzkiej twórczości w skali ewo-lucji nastąpiła bardzo niedawno. Gdyby na-sze dzieje od pojawienia się pierwszych ho-minidów przyrównać do doby, można by powiedzieć, że artyści zaistnieli kilka minut temu. W tym krótkim czasie przebyli skom-plikowaną drogę od jaskiń, przez sztukę re-nesansu, manieryzm, impresjonizm, fo-wizm, popart, abstrakcjonizm, do instalacji wideo. Włożyli niezwykłą energię w wytworzenie setek tysięcy dzieł, które cieszą oko. Tylko... po co?

Naukowcy od lat głowią się nad sensem sztuki. Przepuszczają nasze mózgi przez coraz bar-



Malowidła naskalne z Lascaux we Francji i obrazy Kazimierza Malewicza – to sztuka, która ma jeden cel – pokazać kunszt artysty

dziej wymyślne aparatury, sprawdzając, jakie wrażenia wywołuje Rafael, a jakie Mondrian.

Jeden z najwytrwalszych tropicieli sensu sztuki to Semir Zeki, profesor neurobiologii w University College w Londynie. Próbuje zlokalizować w mózgu człowieka rejony odpowiedzialne za wrażenia estetyczne. Dzięki niemu wiemy, jakie części naszego mózgu są aktywne, gdy oglądamy sztukę renesansu, a jakie przy impresjonistach.

Wiemy też, że każdy człowiek postrzega świat i sztukę w nieco odmienny sposób – nie ma dwóch takich samych mózgów. Ktoś z wyjątkowo dobrze wykształconym obszarem odpowiedzialnym za barwy jest bardziej czuły na kolory i ich wzajemne relacje. Ktoś z aktywniejszym rejonem oceny głębi zwróci większą uwagę na perspektywę. Inny dostrzeże kształty, jeszcze inny – detale. Są tacy, którzy swoje spojrzenie na świat potrafią przekazać innym. Jak? Tworząc dzieło sztuki. Stymulując nasze

szlaki wzrokowe, obraz, rzeźba czy rysunek sprawia, że nasz odbiór świata upodobni się do właściwego artystom. To jeden z powodów, dla których dzieła sztuki w ogóle nas poruszają – przedstawiają świat w sposób różny od naszego własnego widzenia.

Inni neurobiolodzy – jak choćby profesor Vilyanur Ramachandran z Center for Brain and Cognition z University of California czy William Hirstein z Cognitive Science Laboratory w William Paterson University w USA, ustalili, co powoduje, że dzieło sztuki nam się podoba. To według nich zasługa symetrii, metaforyki, zagadek logicznych, kontrastu, podobieństwa.

Tylko co wynika z tej wiedzy? Czy mówi nam ona, do czego może służyć człowiekowi sztuka?

Rządzi mem

W 1976 roku ukazał się „Samolubny gen” Richarda Dawkinsa. Zdaniem autora stworzyły

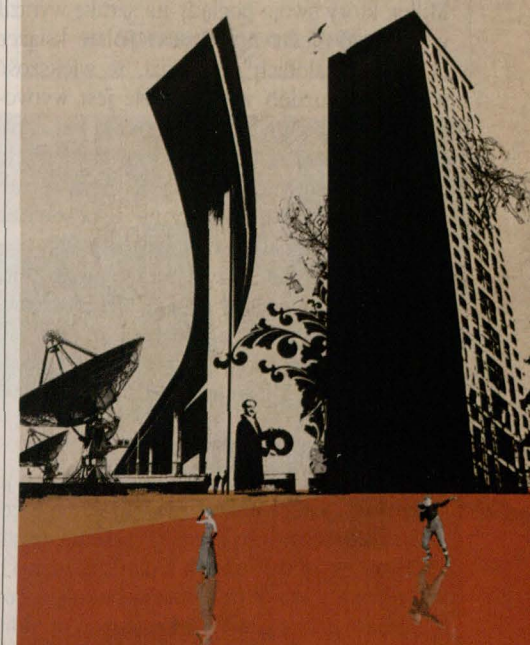
MORCHEEBA
THE ANTIDOTE

13.05.2005
premiera nowego albumu

www.morcheeba.co.uk
www.isound.pl

marie claire onet.pl

PRZE
KROJ



jak zdobyć kobietę

nas geny. One są podmiotem ewolucji, a my jesteśmy wehikułami, które pozwalają się im rozprzestrzeniać. Ostatni rozdział książki mówi o memach, które działają jak geny, ale na poziomie kultury. Nie kodują informacji biologicznej, tylko kulturową. Ale tak jak geny walczą o przetrwanie. Mem – tak jak gen – miałby być nadrzędny wobec istot żywych, które go tylko przenoszą. Geny mieszczą się na nici DNA, nośnikami memów są zespoły neuronów – komórek nerwowych. Informacja powiela się, gdy jest przekazywana do innych mózgów.

Memy to melodie, idee, obiegowe zwroty, fasony ubrań, sposoby lepienia garnków lub budowania łuków. Najbardziej pierwotne ludzkie memy dotyczą zdobienia i okrywania ciała. Sztuka według tej teorii byłaby właśnie takim zespołem memów. Aby jednak przeżyć, by móc być przekazywaną z pokolenia na pokolenie, musiałaby zapewniać swemu nosicielowi jakąś korzyść. A co przychodzi nam ze sztuki poza przyjemnością obcowania z nią?

Pożyteczna przyjemność

Karol Darwin uważał, że jeśli jakieś zachowanie cechuje wyraźna bezużyteczność, na dodatek kosztuje ono wiele czasu, energii i sprawia przyjemność, to jest to znak, że pełni jakąś funkcję godową.

Ten pomysł podchwycili antropolodzy ewolucyjni zajmujący się sztuką. Tacy jak Geoffrey Miller, który swoje poglądy na sztukę wyraził w wydanej niedawno także w Polsce książce „Umysł w zalotach”. Twierdzi, że większość wizualnych ozdób w przyrodzie jest wytworem doboru płciowego. Ogon pawia jest naturalnym dziełem sztuki, które powstało dzięki preferencji estetycznej pawic. Kolory i kształty kwiatów wabią estetycznie usposobione owady, by dokonały banalnego zapylania.

„Ludzka sztuka, przynajmniej pierwotnie, także wyewoluowała w celu wabienia partnerów seksualnych przez oddziaływanie na ich zmysły i wykazywanie sprawności danej jednostki” – pisze Miller. Jak tego dowodzi?

Artysta altannik

Niewiele jest gatunków zwierząt, które przeznaczają bardzo dużo energii i czasu na czysto estetyczne pokazy. Jednym z bardziej znanych jest altannik. Samce tych ptaków budują gniazda będące najbardziej spektakularnym przykładem przerostu formy nad treścią. Ich głównym przeznaczeniem jest zachwywanie samic. W tym celu ozdabiają swe altanki mchami, pa-

Fot. CORBIS/REX



Dla altannika bardzo cenne są niebieskie ozdoby, rzadko występujące w naturze

„Samice przychodzą na moje wernisaże i doceniają moje dzieło, ale obraziłbym się, gdyby ktoś zasugerował, że stworzyłem je w celach rozrodczych”

prociami, kwiatami, muszlami, papierkami. Potrafią odbywać dalekie podróże, by zdobyć jakąś niezwykłą ozdobę. Gdy kolorowe kwiaty lub jagody więdną, ptaki zastępują je świeżymi.

„Gdyby pismo »Artforum« – pisze Miller – zdołało przeprowadzić wywiad z altannikiem, mógłby on powiedzieć coś takiego: »Zupełnie nie potrafię wytłumaczyć tego nieodpartego pragnienia autoekspresji, zabawy kolorem i formą dla nich samych. Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie tę dławiącą potrzebę przedstawienia bogato nasyconych pól barw w monumentalnej, a przecież minimalistycznej scenerii. (...) Tak się szczęśliwie składa, że samice przychodzą na moje wernisaże i doceniają moje dzieło, ale obraziłbym się, gdyby ktoś zasugerował, że stworzyłem moje dzieło w celach rozrodczych. Żyjemy w okresie postfreudowskim i postmodernistycznym, w którym prymitywne instynkty nie są już wia-

rygodne jako wyjaśnienie impulsów artystycznych”.

Sztuka – męska rzecz

By przyciągnąć partnera, tematem sztuki nie musi być seks. Altannik pewnie świadomie nie rejestruje faktu, że pokazy estetyczne kończą się ściąganiem chętnej partnerki do gniazda. Ewolucja robi to za niego.

Dziwimy się altannikom? Spójrzmy na siebie. Nasze miasta, ogrody, mieszkania wypełnione są pięknymi, bezużytecznymi przedmiotami. Mamy też coś z pawia – od wieków ozdabiamy swoje ciała. Malujemy się, czesemy włosy, inwestujemy w modne stroje. Nasze dzieła sztuki są nieco bardziej skomplikowane niż altanki małego ptaszka. To wynik skomplikowania naszych mózgów. Być może dzięki nim funkcja sztuki wyewoluowała już poza prosty dobór naturalny. Na początku było jednak inaczej. Sztuka była prosta.

Ewolucyoniści uważają, że w pierwotnej postaci istniała także u pierwszych hominidów, może nawet jeszcze wcześniej. Wtedy nie chodziło wcale o tworzenie rzeczy bezużytecznych.

Szło raczej o to, kto sprawniej i lepiej wykona jakieś zupełnie przeciętne przedmioty. A do tego trzeba było posiadać cechy takie jak zdrowie, energia, wytrwałość, dobra koordynacja ruchów i wzroku, inteligencja, kreatywność, wolny czas. Ten ostatni zaś oznaczał, że artysta był na tyle sprytny, że nie musiał godzinami poszukiwać jedzenia i schronienia, ale zaspokoiwszy swoje podstawowe potrzeby, znalazł jeszcze chęć, by poszukać wyjątkowej skały na pięściak, czy niezwykłego barwnika do ozdobienia ciała.

To nie przypadek, że przez tysiące lat głównie mężczyźni zajmowali się sztuką. Artystów zaś podziwiała kobiety. To kolejny element godowego tańca. Historyk sztuki Ernest Gombrich zgadza się z ewolucjonistami – sztuki plastyczne to pokaz zręczności ich twórców. Każda sztuka: wojenna, kulinarna, miłosna i plastyczna, polega na pokazaniu wyższych umiejętności, niż wymaga tego użyteczność.

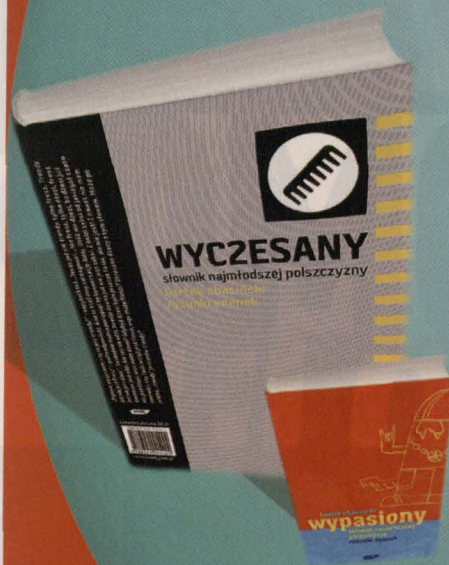
Piękno oznacza dla nas to, co trudne do uzyskania, rzadkie i kosztowne, wymagające dużej zręczności i talentu. I choć podczas bardzo długiej drogi, jaką pokonała sztuka od jaskiń do współczesności, zmieniły się wskaźniki, według których ją oceniamy, piękno wciąż mierzy się tą samą miarą – nieprzeciętności.

Zrobić coś, czego nie umieją inni – w tym cała sztuka.

OLGA WOŹNIAK

znak

Mówią, że Wypasiony się skończył. Nadchodzi Wyczesany....!



BARTEK CHACIŃSKI

WYCZESANY
SŁOWNIK
NAJMŁODSZEJ
POLSZCZYZNY

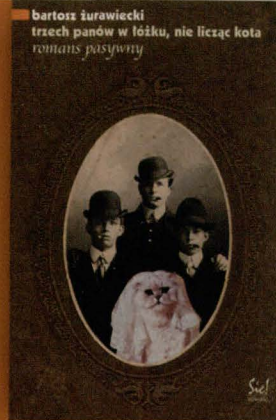
SIW Znak, ul. Kościuszki 37
30-105 Kraków
bezpłatna infolinia 0 800 130 082
www.znak.com.pl

onet.pl MERLIN.PL bis PRZE KROJ

Bartosz Żurawiecki

Trzech panów w łóżku, nie licząc kota

romans pasywny



Sic! POWIEŚĆ

<http://www.wydawnictwo-sic.com.pl>
(nowości, zapowiedzi, księgarnia)

PRZE KROJ

Patronat medialny:

INDEPENDENT

homelife.pl

A widzisz, że widzisz! Niech inni też zobaczą...

Zamów reklamę modułową w maju, a otrzymasz 2 moduły w cenie 1 :-)

Grażyna Janiak (022) 5842172
grazyna.janiak@edipresse.pl



Z WAGĄ wiesz więcej

KAREN ARMSTRONG
W IMIĘ BOGA
Fundamentalizm w judaizmie, chrześcijaństwie i islamie



PATRONI MEDIALNI:

PRZE KROJ

dwójka POLSKIE RADIO

PORTAL KSIĘGARÓKI
www.ksiaska.net.pl

POLSKA KULTURA NIEZALEŻNA
www.independent.pl

www.wab.com.pl

DOM & WNĘTRZE poleca wydanie specjalne

Łazienki sypialnie

NAJMODNIEJSZE STYLE
fusion • glamour • minimal • lata 70. • techno



79 PROPOZYCJI
- kabiny prysznicowe
- baterie - grzejniki
- łóżka - suszarki do bielizny
CZY TO WANNA W SYPIALNI, CZY ŁÓŻKO W ŁAZIENCE
jak zintegrować łazienkę z sypialnią

PREZENT

2 płyty CD z kolekcji D&W lub

HIT na DVD: „Nigdzie w Afryce”

w sprzedaży od 9 maja

WAB

technika

Z
KOMÓRKĄ
DO BOJU

Dbasz o jego uzbrojenie, pilnujesz poziomu energii. Ale przede wszystkim wyszukujesz wroga roboty i atakujesz je bądź bronzisz się przed napadnięciem. Gdy dopadniesz słabszego przeciwnika, możesz go ostrzelać z lasera, działa cząsteczkowego czy lancy tachionowej. Za zwycięstwo dostajesz punkty – tym więcej, im silniejszego wroga pokonałeś.

Gra wyobraźni

Tak w skrócie wyglądają zasady Xyber Mechu – pierwszej tak rozbudowanej komórkowej gry lokalizacyjnej wprowadzonej przez sieć Plus GSM. Choć świat gry to przyszłość z XXIII stulecia, tak naprawdę rozgrywka opiera się na wysyłaniu i odbieraniu zwykłych SMS-ów – reszta zależy od wyobraźni gracza i... zasobności jego portfela.

Pierwszą czynnością jest zgłoszenie swojego udziału w grze – trzeba wysłać SMS-a o treści ZGODA, a potem ustalić swój nick, czyli pseudonim, pod którym będziemy identyfikowani w grze – oczywiście wysyłając kolejnego SMS-a. W ten sam sposób odbywa się poszukiwanie potencjalnych przeciwników, zdobywanie o nich informacji oraz prowadzenie ataku. Jedną taką sekwencję to zazwyczaj trzy-pięć SMS-ów, oczywiście płatnych.

Gdzie wróg twój?

Jednak nie chodzi tylko o wysyłanie wiadomości – gra nie na darmo nazywa się lokalizacyjną. Rodzaje broni, w które możemy uzbroić roboty, mają różny zasięg. Gdy wydamy komendę poszukiwania przeciwnika, dowiadujemy się nie tylko o obecności innych graczy, ale i o tym, jak daleko od nas się znajdują. Aby to określić, system wykorzystuje mechanizm lokalizacji telefonu w sieci komórkowej. Wiedząc, w której stacji bazowej zalogowała się komórka gracza, oraz mierząc siłę sygnału radiowego, można określić pozycję gracza.

Jeśli siedząc w centrum miasta, zdecydujemy się zaatakować kogoś odległego o parę kilometrów, musimy użyć broni dalekiego zasięgu. Konfiguracja robota odbywa się przez stronę WWW, na której gracz się loguje i uzbraja swoją maszynę, więc nie możemy błyskawicznie zmienić karabinku snajperskiego na rakiętnicę.

Gdy odnajdziemy przeciwnika, on również dowiaduje się o naszej obecności i może pierwszy zaatakować. Wynik walki obliczany jest na podstawie siły obu robotów, ich uzbrojenia i wzajemnej odległości. O zwycięstwie lub przegranej obaj gracze są informowani SMS-

Komórka to broń,
a SMS-y są amunicją.
Ty kierujesz
gigantycznym
robotem
– Xyber Mechem

-ami, a punkty system dolicza do konta. W Internecie publikowane są rankingi, a Plus planuje organizowanie walk z nagrodami.

Mimo pozornego prymitywizmu gry zasady walki wymuszają stosowanie pewnej taktyki – dobór uzbrojenia czy wybór odległości decydują o porażce lub zwycięstwie. Scenariusz przewiduje też łączenie się graczy w klany – grupa wspólnie walczących Mechów jest w stanie roznieść niemal każdego przeciwnika. Xyber Mech to klon BotFighters – gry, która wzbudziła emocje w Szwecji, Finlandii, Irlandii i Rosji. Tam gracze wysyłali miesięcznie nawet sto SMS-ów, przynosząc sieci komórkowej przyzwoite zyski.

Bo o to właśnie tu chodzi – uczestnik zabawy poza normalnym korzystaniem z telefonu zaczyna wysyłać wiadomości, które generują

niewielki ruch w sieci, ale kosztują kilkadziesiąt złotych miesięcznie.

Sieć Plus liczy na kilkanaście tysięcy aktywnych graczy – w okresie testów bawiło się już około ośmiu tysięcy użytkowników, a rekordzista wysłał w ciągu miesiąca 2500 SMS-ów!

Nokia nocą

Telefon jako jedyne zaawansowane urządzenie elektroniczne, które stale przy sobie nosimy, stał się celem westchnień licznych speców od gier. Jednak proste zabawy w stylu nieśmiertelnego węża czy wyścigów samochodowych

wych szybko się nudzą. Inaczej jest z grami, w których przeciwnikiem jest żywy człowiek.

Kilka lat temu ogromną popularnością cieszyła się Nokia Game – międzynarodowa zabawa, której uczestnicy musieli odgadywać zagadki. Przysyłano je SMS-ami, ogłaszano w radiu, telewizji lub publikowano w Internecie. Aby nie wypaść z gry, trzeba było stale śledzić zadania. Główną nagrodą, o którą ścigało się pół miliona graczy z 18 krajów, był oczywiście najnowszy telefon Nokii. Do dziś Nokia Game pozostaje najbardziej zaawansowaną z komórkowych gier.

Nadciąga jednak nowa epoka. Wraz z upowszechnieniem się telefonii trzeciej generacji oraz aparatów przypominających mocą małe komputery popularna stanie się rozrywka, w której gracze będą się łączyli ze sobą bezpośrednio. Jadąc autobusem, będzie można poszukać chętnych do gry gdzieś wśród innych abonentów operatora i razem z nimi strzelać do terrorystów lub walczyć ze smokami.

PIOTR STANISŁAWSKI

O NOWYCH TECHNOLOGIACH

CZYTAJ ZA TYDZIEŃ

W SPECJALNYM DODATKU „PRZEKROJU”

**KOLEKCJA „PRZEKROJU”
MALARZE ŚWIATA**
20 ALBUMÓW POŚWIĘCONYCH SZTUCE

CARAVAGGIO
100 stron
1700 barwnych ilustracji i reprodukcji

PRZEKROJ

najsłynniejsze dzieła

5-Maja
19-Maja
9-Czerwca
7-Lipca

papier kredowy
najwięksi malarze

TASCHEN
infolinia 0801 272750
cena 15,99 zł
TASCHEN



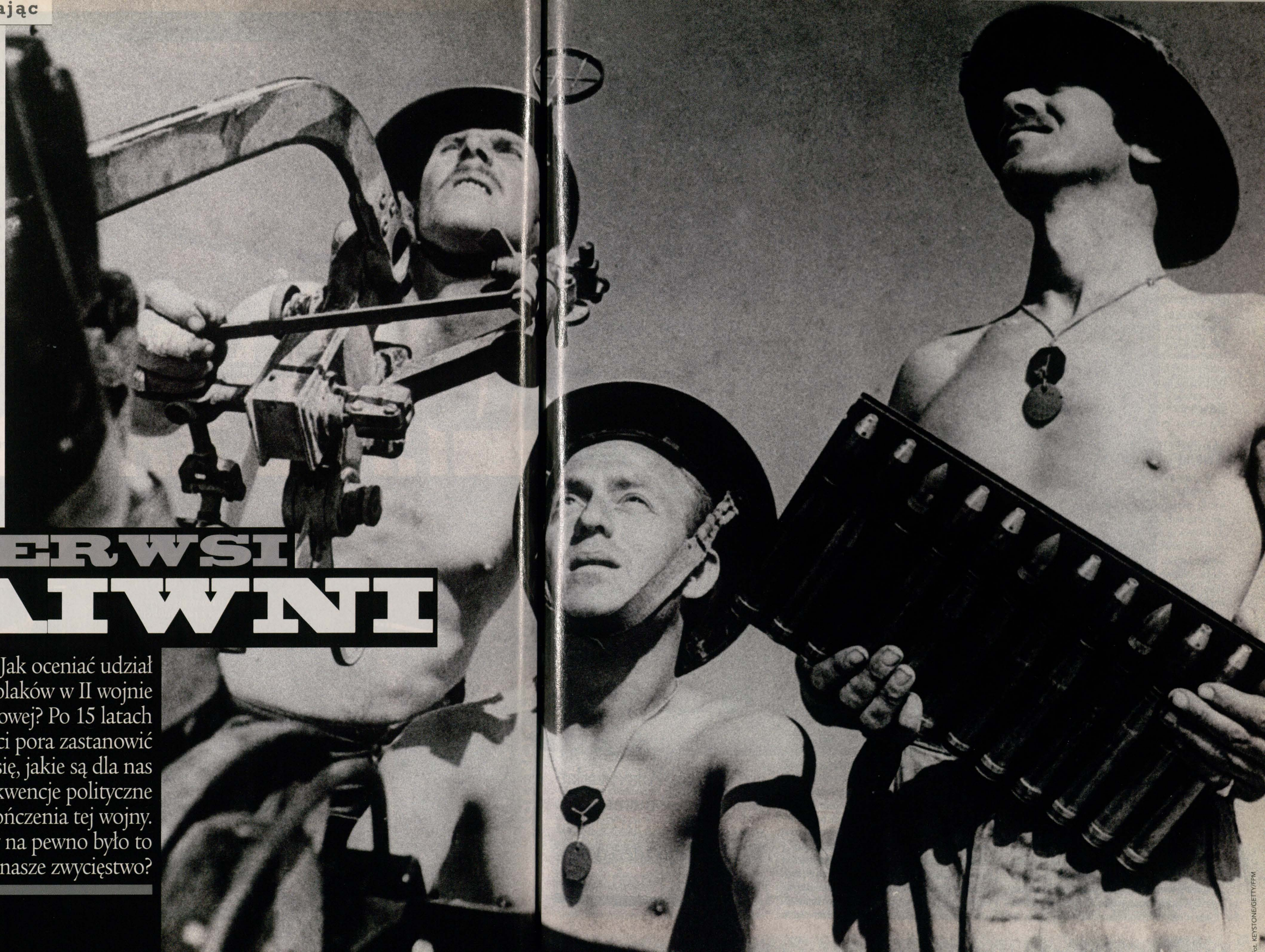
patrzac i czytając

Walki o libijski
Tobruk
(1941 rok)
to jeden
z narodowych
mitów, który
lubimy
przywoływać,
mówiąc
o polskim
udziale
w II wojnie
światowej.
Jaki był nasz
rzeczywisty
wkład
i co dzięki
niemu
zyskałszy?

PAWEŁ WIECZORKIEWICZ

PIERWSI NAIWINI

Jak oceniać udział
Polaków w II wojnie
światowej? Po 15 latach
wolności pora zastanowić
się, jakie są dla nas
konsekwencje polityczne
zakończenia tej wojny.
Czy na pewno było to
nasze zwycięstwo?



P

o pierwszej wojnie światowej w wyniku traktatu w Trianon Węgry utracili ponad połowę terytorium. Choć Królestwo Węgier pozostało państwem niepodległym przez cały okres międzywojenny, jego mieszkańcy czcili tę tragiczną rocznicę jako dzień żałoby narodowej: flagi spuszczone do połowy masztu, czarne stroje obywateli...

Polsce w wyniku II wojny światowej również amputowano blisko 50 procent przedwojennej powierzchni. Kraj poniósł niewyobrażalne straty ludnościowe (wedle nowszych badań około 7,5 miliona obywateli, to jest 21 procent ogółu ludności) i materialne. Mimo to 9, a ostatnio 8 maja świętujemy jako symbol zwycięstwa. Czy było to jednak naprawdę zwycięstwo polskie?!

JAK ROZPĘTALIŚMY II WOJNĘ ŚWIATOWĄ

W roku 1939 przywódcy II Rzeczypospolitej – prezydent Ignacy Mościcki, generalny inspektor sił zbrojnych marszałek Edward Rydz-Śmigły i minister spraw zagranicznych pułkownik Józef Beck – postanowili odrzucić żądania niemieckie i sowieckie zmierzające do ograniczenia suwerenności i naruszenia integralności państwa. Wbrew powszechnie przyjętym poglądom Adolf Hitler do wiosny 1939 roku nie chciał wojny z Polską, ale jedynie jej neutralizacji w przewidywanym konflikcie z Francją i następnie współdziałania w wyprawie na Związek Sowiecki. Aby uzyskać gwarancje lojalności potencjalnego sojusznika, postulowano drugorzędne i ściśle prestiżowe ustępstwa – zgodę na włączenie Gdańska do Rzeszy i budowę eksterytorialnych linii komunikacyjnych przez Pomorze do Prus Wschodnich. Diagnoza Becka, podzielana przez prezydenta i marszałka, była jednoznaczna: przyjęcie propozycji „prowadziłoby w sposób nieunikniony na równię pochyłą kończącą się utratą niezależności i rolą wasala Niemiec”.

Z tego, że przyjęcie lub odrzucenie przez Polskę żądań niemieckich może zdecydować o losach świata, zdawano sobie sprawę powszechnie. Dziś ten moment nie jest już tak wyrazisty, a warto uzmysłowić sobie, że całkiem prawdopodobna zgoda Warszawy oznaczałaby klęskę nie tylko Francji, ale i Związku Sowieckiego, a w konsekwencji – być może triumf III Rzeszy w II wojnie światowej. Od tego Mościcki, Rydz-Śmigły i Beck uratowali Europę.

Polski minister spraw zagranicznych, licząc na realizm Hitlera, chciał pohamować go, tworząc spójną koalicję brytyjsko-francusko-polską. Oznaczało to wyłączenie z rozgrywki Związku Sowieckiego – Stalin, który w wojnie europejskiej widział szansę dla własnej ekspansji, proponował swe usługi obydwu stronom potencjalnego konfliktu. Dla Polski ceną za udział w aliansie antyniemieckim miała być zgoda na wprowadzenie wojsk sowieckich jeszcze przed rozpoczęciem ewentualnej wojny na wschodnie terytoria, w rejon Wilna i Lwowa. Beck, trafnie oceniając intencje dyktatora, stwierdzał: „Żądają od nas, abyśmy podpisali czwarty rozbiór; jeżeli nam grozi rozbiór, to przynajmniej będziemy się bronić. Nic nam nie gwarantuje, że Rosjanie raz zainstalowani na naszym wschodzie wezmą rzeczywiście udział w wojnie”.

Pogląd ten znalazł później uzasadnienie, bowiem wkrótce w podobnych okolicznościach oddziały sowieckie weszły na terytoria republik nadbałtyckich i długo ich nie opuściły.

ZA WOLNOŚĆ NASZĄ I WASZĄ

Kiedy i gdzie Polska i Polacy odegrali istotną rolę po wybuchu wojny? Przede wszystkim właśnie w roku 1939. Naczelny wódz i sztabowcy polscy, ufając przyrzeczeniom aliantów, stawili czoła agresji niemieckiej w przeświadczeniu, że po 17 dniach walk z Zachodu nadejdzie realna pomoc; w innym wypadku wszelki opór wobec dysproporcji sił byłby beznadziejny. Hitler tymczasem rzucił na Polskę gros swoich sił. Niemal do końca września Francuzi mieli możliwość, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, rozpoczęcia zabójczej dla Niemiec ofensywy.

Wybitny dowódca II wojny światowej, późniejszy marszałek Alphonse Juin, mówił o tym z gorczyzą: „Dlaczego nie zaatakowaliśmy natychmiast na naszym froncie, gdy wojska niemieckie rzuciły się na Polskę? Jakież błąd niewybaczalny! Nakazywał to przede wszystkim honor (...). Pozwoliliśmy zdruzgotać Polskę związaną z nami paktem sojuszniczym. (...) Cóż za hańba! (...) Z punktu widzenia strategii popełniliśmy błąd poważny i ciężki. Nie było ryzyka. Wszystkie niemieckie dywizje pancerne, z wyjątkiem jednej, były zajęte w Polsce. Niemcy nie mieli prawie żadnych sił przeciw nam”.

Ofiara Polski miała jednak i tak sens strategiczny – Niemcy wobec zużycia sprzętu i nadwyżenia zapasów amunicji musieli odłożyć do wiosny początkowy plan niemal natychmiastowego uderzenia na Zachód. Dało to Francuzom



Monte Cassino, maj 1944 roku. Czy Polacy wykrwawili się nadaremnie? Czy generał Anders słusznie podjął decyzję o udziale PSZ w tej operacji?

Przyjęcie
lub odrzucenie
przez Polskę żądań
niemieckich
z 1939 roku
mogło zdecydować
o losach świata

i Brytyjczykom bezcenne, ale – jak się miało okazać – zmarnowane miesiące na przygotowanie swych armii, zwłaszcza w świetle doświadczeń, jakie chcieli im przekazać Polacy.

Marynarze, żołnierze i lotnicy polscy bili się u boku aliantów na Zachodzie od pierwszego do ostatniego dnia ich wojny. Z uwagi na trudności w pozyskaniu odpowiedniej liczby ludzi mobilizowanych wśród Polonii i przede wszystkim napływających różnymi drogami z kraju i państw neutralnych, później zaś ze Związku

Sowieckiego, obecność wojsk polskich w działaniach miała charakter przede wszystkim polityczny i propagandowy.

Nie ludźmy się, że to Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich obroniła Tobruk czy I. Dywizja Pancerna przesądziła o zwycięstwie w Normandii, bez względu na najwyższe bohaterstwo ich żołnierzy. Z brutalną szczerością mówił o tym generałowi Andersowi Winston Churchill w roku 1945: „Mamy dzisiaj dość wojska i waszej pomocy nie potrzebujemy. Mo-

że pan swoje dywizje zabrać. Obejdziemy się bez nich”.

Zwrócić uwagę trzeba na słowo „dzisiaj” – we wcześniejszych partiach wojny nawet skromne liczbowo polskie siły odgrywały jednak w pewnych jej momentach rolę strategiczną. Chodzi tu przede wszystkim o rok 1940. Wobec groźby niemieckiej inwazji Wielka Brytania nie miała sił do obrony swego terytorium. W tej sytuacji łączny potencjał Polskich Sił Zbrojnych (po ewakuacji z Francji części

Fot. ARCHIWUM „P”

Polacy walczyli wszędzie, nie uchylając się nawet od zadań z punktu widzenia interesu narodowego wątpliwych

organizowanych tam oddziałów – do 30 tysięcy wyszkolonych i bitnych ludzi) był bezcenny, zwłaszcza na krótką metę. Dla porównania jednostki czeskie liczyły do pięciu tysięcy żołnierzy, Wolnych Francuzów – dwa tysiące, norweskie, holenderskie i belgijskie – do tysiąca. Trzeba jednak pamiętać, że Norwegia dysponowała liczną flotą handlową, bardzo użyteczną dla Brytyjczyków, Belgia – imperium kolonialnym, zaś Holandia – oboma tymi atutami.

Losy Brytanii rozstrzygnęły się – jak wiadomo – w powietrzu. Polscy piloci w liczbie 145 (co stanowiło nieco ponad 5 procent załóg myśliwskich RAF-u) zestrzelili 131 maszyn niemieckich, czyli 7,6 procent strat Luftwaffe w bitwie o Anglię. Pamiętając, że jej losy ważyły się przez dłuższy czas, zaś Brytyjczycy nie mieli kadrowej rezerwy, aby w miejsce Polaków zaangażować własnych obywateli, uzasadnione wydaje się twierdzenie, że polscy lotnicy odegrali rolę jęczyczka u wagi, decydując wobec wyczerpania obydwu stron o ostatecznym wyniku.

Po raz drugi Polacy byli bardzo potrzebni Brytyjczykom w 1942 roku na Bliskim Wschodzie, gdy wobec niemieckiego natarcia w Egipcie zagrożony został Kanał Sueski. Churchill zrobił wówczas wszystko, a Stalin się bynajmniej temu nie sprzeciwiał, aby mieć do dyspozycji dywizję organizowaną w Rosji Armii Polskiej generała Władysława Andersa. Chodziło o to, aby same, niegotowe do działań, mogły zastąpić w służbie ochronnej jednostki brytyjskie, umożliwiając ich bojowe użycie.

Jedyną większą operacją PSZ, w której Polacy występowali w sile większej niż dywizja, była bitwa pod Monte Cassino. Nie był to triumf oręża polskiego. Generał Anders, lekkomyślnie podejmując się natarcia w ekstremalnie trudnych warunkach, przeprowadził je nieudolnie i postawionego celu nie osiągnął. Polacy mimo ogromnych strat nie potrafili zdobyć klasztoru, ale jedynie zajęli go po wycofaniu się niemieckiej załogi. Wobec ciężkich chmur gromadzących się od czasu konferencji teherańskiej nad przyszłością Polski naczelny wódz generał Kazimierz Sosnkowski uważał przyjęcie krwawej bitwy za ciężki błąd, bowiem szafowanie krwią żołnierzy nie służyło polskim interesom.

Polacy – najpierw 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, później korpus, a następnie 1. i wreszcie 2. Armia – walczyli również na froncie wschodnim. Krew żołnierza ma jednakową cenę i żal, że tak hojnie, a niepotrzebnie szafowali nią (na przykład pod Kołobrzegiem czy Budziszynem) zgodnie z sowiecką doktryną wojenną wywodzącą się z Armii Czerwonej Polawscy i Świerczewscy. Wobec wielomiliono-

wych armii Stalina około 200 tysięcy polskich żołnierzy nie odegrało w żadnym momencie wojny wschodniej większej roli.

PODZIEMNY KRAJ

Trzecim komponentem polskiego czynu zbrojnego było podziemie i partyzantka. Badający ten problem Andrzej Chmielarz przyjmuje, że wyłączwszy powstanie warszawskie, około

130 tysięcy żołnierzy armii podziemnej stoczyło 1200 potyczek i walk z wojskami i siłami nieprzyjacielskimi oraz przeprowadziło kilkaset tysięcy akcji sabotażowych, w tym najbardziej dotkliwe na liniach komunikacyjnych, w trakcie których wykolejono około 3000 pociągów.

Jeśli przyjąć nawet wiarygodność podanych liczb, nie były to straty, które mogły w znaczącym stopniu wpłynąć na bieg wojny ani zaszkodzić potencjałowi III Rzeszy. Odwet był przerażający – wedle tego samego badacza zginęło zostało zabitych około 200 tysięcy żołnierzy podziemia oraz 100 tysięcy osób cywilnych podejrzanych o współdziałanie z konspiracją.

Dane powyższe wskazują na to, że doktryna Armii Krajowej „stania z bronią u nogi” była słuszną. Występować zbrojnie należało bowiem dopiero w momencie zbliżania się frontu, gdy była szansa współdziałania z regularnymi wojskami. Niewątpliwie akcja „Burza”, a potem powstanie warszawskie odegrały rolę wojskową, a także polityczną. Wystąpienia AK na Kreśtach ułatwiły i przyspieszyły zajęcie przez wojska sowieckie Wilna, Lwowa i dziesiątków innych miast. Warszawy Stalin zdobywać jednak – z powodów politycznych – nie chciał.

Pozostaje jeszcze wkład najmniej wymierny, ale kto wie, czy nie najistotniejszy. Chodzi o tak zwany tajny front oraz walkę o najnowsze technologie. Można dyskutować, czy Enigma wygrała II wojnę światową, ale jej wkład w alianckie zwycięstwa jest niepodważalny. Wywiad AK dostarczył aliantom pełnych danych, łącznie z egzemplarzami okazowymi, dotyczących rakiet V1 i V2, umożliwiając skuteczną walkę i ochronę przed następstwami ich użycia. Polacy odegrali nadzwyczaj istotną rolę w wywiadowczym i dywersyjnym przygotowaniu inwazji Francji. Należy także przypomnieć wynalazki polskich inżynierów: działa bezodrzutowe, wykrywacze min, wyrzutniki bombowe i tak dalej.

GORYCZ ZWYCIĘSTWA

Jak widać, Polacy walczyli wszędzie na miarę swoich sił, nie uchylając się od zadań najtrud-

niejszych lub nawet z punktu widzenia interesu narodowego wątpliwych.

Nagrodą za to było oddanie Polski przez jej zachodnich sojuszników Stalinowi. Latem 1943 roku prezydent Roosevelt i premier Churchill nie poparli rządu generała Sikorskiego w sprawie katyńskiej, a ukrywając dowody świadczące o winie sowieckiej, stali się jej co najmniej moralnymi współsprawcami. Sprzedano nas już w 1943 roku w Teheranie. Polacy późno zdali sobie z tego sprawę. „Jeśli Anglia hodowała u siebie podczas wojny rząd polski – pisał z goryczą Stanisław Cat Mackiewicz w chwili, gdy do Stalina w roku 1944 udawał się premier Stanisław Mikołajczyk, licząc naiwnie na to, że uda się coś osiągnąć drogą negocjacji – to tylko jako cielaka przeznaczanego na sprzedaż. (...) Mikołajczyk jest teraz tym cielakiem już nie biegającym po łące i porykującym, jak to było w początkach naszej kolaboracji z Anglią, lecz cielakiem związanym sznurem za kopyta i przywiezionym tu, do Moskwy, na sprzedaż i na rzeź, że może jeszcze porykiwać, ale już nie może się wtrącać do targu o swoją skórę i mięso”.

Przypomnijmy jeszcze raz: wojna kosztowała Polskę połowę terytorium (nabytków na zachodzie nie można traktować jako „rekompensat”, lecz co najwyżej zadośćuczynienie za straty i zbrodnie wyrządzone narodowi polskiemu przez Niemców), w tym dwa z pięciu centrów kształtujących od setek lat kulturę i tożsamość narodową – Lwów i Wilno. Główny intelektualny ośrodek kraju – Warszawa – został unicestwiony. Setki tysięcy inteligentów, którzy uniknęli śmierci w walce, pod okupacją, w obozach i na zsyłkach, po wojnie nie zdecydowały się na powrót do Polski ujarzmionej przez Sowieców.

Dlatego rocznica zakończenia II wojny światowej – podobnie jak 1 sierpnia – winna być dniem smutnej refleksji nad własnymi błędami i ofiarami, a także nad trwałością aliansów i uczciwością sojuszników...

PAWEŁ WIECZORKIEWICZ



Defilada zwycięstwa w Moskwie, czerwiec 1945 r. Radzieccy żołnierze prezentują zdobyczne flagi Wehrmachtu

Obok: Walki o Gdańsk, marzec 1945 r.

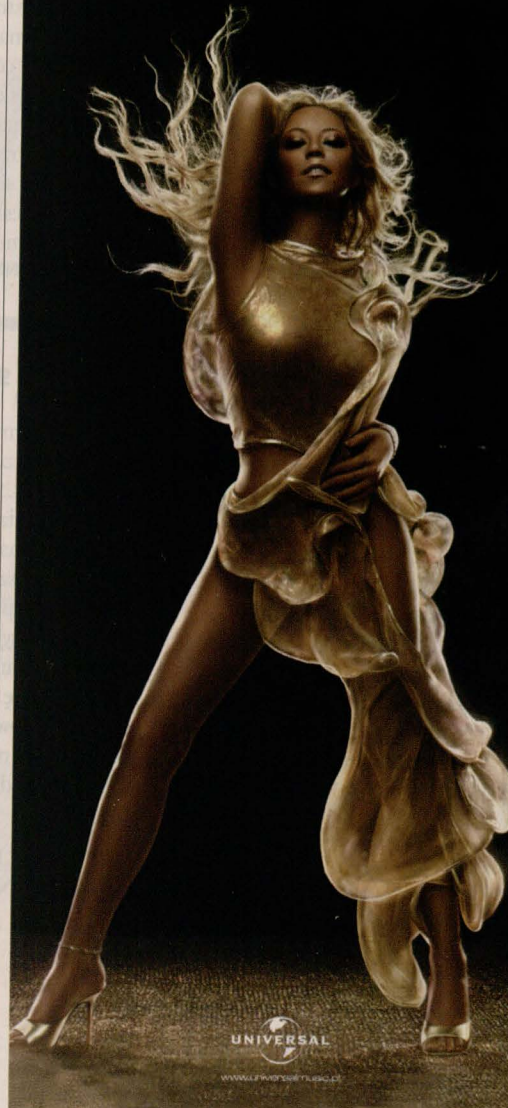
Fot. z ARCHIWUM ROMUALDA BRONIAK/AFORUM



RADIO
eska

MARIAH CAREY

NOWY REWELACYJNY ALBUM



UNIVERSAL

MTV
MUSIC TELEVISION

dosdedos

PRZE
KROJ

VIVA!

onet.pl



Takie miasta

Ostatni numer „P” był poświęcony w dużej części mniejszościom – najpierw raport o zaskakującej tolerancji Polaków wobec innych narodowości, a zaraz potem świetny tekst o hermafrodytach. Kiedy przeczytałem, że interseksualistów jest w Polsce 12 tysięcy, nie mogłem powstrzymać się od porównań. 12 tysięcy to liczba mieszkańców Drawska Pomorskiego. Proszę sobie wyobrazić całe miasto ludzi o niezdefiniowanej płci. Ile jeszcze takich miast można stworzyć na podstawie lektur statystyk dotyczących wszelakich mniejszości? Skojarzenia można ciągnąć w nieskończoność: Jasło pełne Wietnamczyków, Górny Śląsk zamieszany wyłącznie przez homoseksualistów, sami czarnoskórzy na ulicach Ostródy... (nie wiem, czy te liczby się zgadzają, strzelam). Ciekawe, jak nam by się żyło w takim tworze. I co z tymi, którzy należą do kilku mniejszości jednocześnie? Takich dylematów nie miałiby tylko mieszkańcy, powiedzmy, gminy Goczałkowice – sześć tysięcy to roczna liczba ofiar wypadków drogowych.

STEFAN SZUBA, WAŁCZ

Mamucia mama

Do napisania natchnął mnie ostatni artykuł o „mamutach” i „matriksach”. Nie ukrywam, że gdybym była mamą, nie chciałabym, aby moje dziecko mówiło na mnie/do mnie „mamut” (mimo najlepszych intencji autora). Moją Mamę nazywam Mamutti, tak się do niej zwracam, tak mam ją zapisaną w telefonie, tak o niej mówię. Już lecę z wyjaśnieniem etymologii: na mój prywatny neologizm składają się dwa wyrazy: „ma” i mutti; pierwszy – jak sądzę, oczywiste – znaczy „moja”, drugi natomiast to z niemieckiego „mama”. Po przeczytaniu ostatnich „Słów wyczesanych” doszłam do wniosku, iż moja Mamutti może być postrzegana jako jakiś zmutowany mamut (zmutowany mamut, czyli co? słoń?). Mogę mieć tylko nadzieję, że moja Mamutti nie przeczyta ostatniego „Przekroju” i nie poczuje się urażona, że rzekomo jest dla mnie kудłatym słoniskiem.

MARIANNA MATUSZEWSKA

Nie jestem głupim Polaczkiem

Jestem waszym stałym czytelnikiem zamieszkującym aktualnie w USA (od dwóch lat). Myślę, że w dziale „Telewizja” albo jako temat numeru powinniście szerzej przyjrzeć się temu, co proponują polskie stacje telewizyjne w swojej ofercie programowej dla Polonii. Przecież to się nóż w kieszeni otwiera. Człowiek będący daleko od kraju jest naprawdę spragniony odrobiny polskości

– chociażby poprzez ekran telewizora. O ile program informacyjny TVN24 to kapitalna sprawa, o tyle reszta już zahacza o poziom dna, bo oprócz informacji potrzebna jest również człowiekowi rozrywka, i to ta wcale w nie najgorszym polskim wydaniu. Niestety, polscy nadawcy uważają, że najlepszą rozrywką dla „głupiego Polaczka” jest katowanie w kółko niestrawnych telenoweli, które w Polsce już dawno wyszły z obiegu – bo emigrant będzie oglądał z otwartym dziobem wszystko, gdzie gada się po polsku. Albo też serwowanie odgrzewanych teleturniejów – sprzed około trzech-czterech lat. Chciałbym się spytać za waszym pośrednictwem tych wszystkich polskich nadawców, czemu uważają nas za dojną krowę, bo mocniej już tego nie nazwę, z której można doić „zieleninę”, w zamian dając gówno, którego nijak skonsumentować się nie da. Wiem, że może to nie wasza działka, ale warto się też przyjrzeć samemu życiu polskiego emigranta na obczyźnie, bo ja, zasilający „ich” szeregi od dwóch lat, jeszcze patrzę na to wszystko z szeroko otwartymi oczami i ustami. Ludzie w Polsce nie zdają sobie sprawy, jak tu się żyje, a to, co kiedyś starała się pokazać TVP w telenoweli dokumentalnej „Zielona karta”, jest tak podkoloryzowane i nieoddające rzeczywistości, że wzbudza w nas, widzach, salwy nerwowego śmiechu. Bo ci, którzy mają „zielone papiery”, i ci „nielegalni” to dwa skrajnie różne światy.

MARCIN CZARNECKI

Czekamy na listy i maile

Nasz e-mail: redakcja@przekroj.pl Nasz adres: ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa.

I JAK TAM JEST?

DUŻY, PIĘKNY KRAJ,
ALE LUDZIE GŁUPI
JAK TUTAJ.

WILHELM SASNAL

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA,
TEL. 584 25 25,
FAXS 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Najsztub

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędziorowska, Marcin Sendeki,
Maria Świetlik (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska

KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez,
Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska,
Justyna Sobolewska

KRAJ:
Wojciech Mazowiecki (szef),
Magda Papuzińska (zastępca), Juliusz Cwieluch, Marcin
Fabjański, Joanna Gorzelinska, Grzegorz Indulski,
Cezary Łazarewicz, Rafał Madajczak, Michał Matys,
Grzegorz Ręczkowski, Max Suski, Paweł Wieczorek

ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Jakub Kumoch,
Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk.
Stale współpracują: Jonathan Cook (Jeruzolima),
Piotr Kowalczyk (Rzym)

NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski, Mateusz Hankała, Maria Klich,
Patrycja Kühn, Małgorzata Łaska, Agata Loth,
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTOEDYCJA:
Marcin Kapica (szef), Bogdan Krężel (fotograf),
Urszula Matusik, Olga Piłśniak, Marek Szczepański

KOREKTA:
Tatiana Hardej,
Sylvia Raczynska

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

EDIPRESSE
POLSKA

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.,
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA,
TEL. (0-22) 584 22 00
FAXS (0-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierała

WICEPREZES:
Ewa Redel

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Izabela Bochenek

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

PUBLIC RELATIONS:
Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PRODUKCJI:
Danuta Kamińska – dyrektor

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

DZIAŁ PROMOCJI:
Dorota Rakowska – Product Manager

BIURO REKLAMY:
Ewa Kozłowska – dyrektor,
Artur Dudek, Grażyna Janiak,
Małgorzata Skórupa

ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa,
tel. (0-22) 5842-295, -172, -311, -594
faks (0-22) 584 25 92

DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIŃ
PAPIER: OKŁADKA – GALERIE FINE,
PRODUCENT – M-REAL

ŚRODEK – GALERIE BRIT,
PRODUCENT – M-REAL

PRENUMERATA WYDAWNICZA
zamówienia (płatność przy odbiorze przesyłki)
tel. (0-54) 2365528 (pn.-pt., godz. 8-16)
Dodatkowe informacje i reklamacje
(Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska)

TEL. (0-22) 584 22 29 LUB 584 22 30 (PN.-PT., GODZ. 9-17)
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL

PRENUMERATA KONKURSY@EDIPRESSE.PL

PRZEZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-22) 532 87 31,
FAXS (0-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM

FAKS/TEL. +46-8-6639963



ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONICH NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTRZEŻA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

„Przekrój” wydaje
polecenia
kulturalne

PIENIĄDZ I SZTUKA

Drugie targi sztuki

współczesnej w Poznaniu:

w Starym Browarze

w Starej Rzeźni kolejno

wielki przekrój przez

polską sztukę najnowszą.

Malarstwo i nowe

media. Zachwyty

kontrowersje.

Pieniądze, władza

seks. Kolekcjonowanie

provokacje.

targi i zatargi. Trzy

wystawy tematyczne

w tym „Milość

demokracja”,

której pracę

Katarzyny Korzenieckiej

okazujemy obok,

oferta handlowa

galerii prywatnych

prezentacja działalności

instytucji niekomercyjnych.

Dla najwytrwalszych

seria sympozjów.

Organizatorzy zadbali,

by w tym roku temperatura

imprezy była wysoka.

Więcej o targach Art Poznań

na kolejnych stronach

„Przekroju”. (MAV)

Art Poznań

TARGI ART POZNAŃ 2005 – 5-9.05 POZNAŃ,
STARY BROWAR, STARA RZEŹNIA

WYDANIE DRUGIE, POPRAWIONE

Od Mirosława Bałki po Alicję Żebrowską – przez cztery najbliższe dni prace 200 polskich artystów można obejrzeć na targach Art Poznań

Ubiegłoroczny debiut targów Art Poznań przypominał ryzykowną akcję kaskaderską. Największe święto polskiej sztuki współczesnej przyciągnęło w jeden weekend ponad 40 tysięcy widzów. Przez te kilka dni w części wystawienniczej poznańskiego Starego Browaru można się było poczuć jak na przyzwoitej europejskiej imprezie artystycznej. Niezły poziom prac, niezła przestrzeń i spora – jak na Polskę – skala całego wydarzenia. Gorzej było z koncepcją. Pomieszczenie promocji raczkującego polskiego rynku sztuki z niekomercyjnym przeglądem i niezręczną nadreprezentacją środowiska profesorów miejscowej ASP ściągnęły na organizatorów zasłużone głosy krytyki.

Tym razem targi Art Poznań zapowiadają się lepiej.

MIEDZY BROWAREM A RZEŻNIĄ

Zaletą wielkich imprez sztuki współczesnej jest to, że można się w tę sztukę zanurzyć. Masa różnorodnych, multimedialnych obiektów, projekcje, dźwięk – to wszystko pomaga na chwilę zagłuszyć zrządzenie zdrowego rozsądku. Dopiero uwolnienie od przyziemnego myślenia pozwala w pełni zrozumieć i docenić dziwactwa sztuki współczesnej. A Art Poznań to w gruncie rzeczy jedyny w Polsce duży festiwal sztuki najnowszej.

W tym roku prezentacji oferty galerii komercyjnych towarzyszyć będzie wystawa przedstawiająca scenę instytucji non profit, ponadto dwie duże wystawy tematyczne i pokaz kolekcji poznańskiej Akademii

Sztuk Pięknych, głównego organizatora targów. Tego wszystkiego nie dałoby się już pomieścić w Starym Browarze, dlatego w tym roku Art Poznań zajmie też wspaniałą przestrzeń Starej Rzeźni leżącej na przeciwległym krańcu poznańskiego śródmieścia.

– To piękna architektura, idealne miejsce dla sztuki współczesnej, zarazem miejsce naznaczone swoją okrutną przeszłością – mówi Marek Wasilewski, kurator umieszczonej w Rzeźni wystawy „Horyzont zderzeń”. Konflikt między dekoracyjną ceglana architekturą a funkcją rzeźni Wasilewski postanowił wykorzystać jako motyw wystawy, oczekiwaniu, że dzieła powinny do siebie pasować – tłumaczy Wasilewski.

NA TARGACH BĘDZIE
MOŻNA ZOBACZYĆ
MIĘDZY INNYMI
NAJNOWSZE PRACE
TOMASZA CIECIERSKIEGO
Z CYKLU „OBRAZY
NIESFOTOGRAFLOWANE”

„Sztuka funkcjonuje dzisiaj w dynamicznej, pełnej konfliktów rzeczywistości, na ostrą konkurencję pomiędzy artystami nakładają się konflikty kulturowe, przemiany społeczne, globalizacja i doraźne gry polityczne” – pisze w katalogu.

Mocnym akcentem wystawy będzie przygotowana specjalnie na Art Poznań instalacja Mirosława Bałki zatytułowana „Au”, a także zestawione w jednej sali projekcje wideo „Terminator IV” Huberta Czerepoka i „Ekstazy, histeryczki i inne święte” Anny Baumgart. Obie prace były już pokazane wcześniej, ale kuratorowi wystawy zależy właśnie na efekcie zderzenia tych dwóch silnie oddziałujących obrazów.

TARGI MIŁOŚCI

Epicentrum imprezy będzie jak przed rokiem Stary Browar. Tu, w budynku Słodowni, znajdą się stoiska 20 uczestniczących w targach galerii komercyjnych. W Poznaniu zabraknie w tym roku galerii Starmach z Krakowa, największej polskiej galerii prywatnej, ale będzie krakowski Zderzak z mocną ofertą.

– Zabieramy prace Jarosława Modzelewskiego, najnowsze zdjęcia Krzysztofa Zielińskiego, nowe obrazy Igora Przybylskiego i handlowego pewniaka, czyli Andrzeja Wróblewskiego – wylicza Jan Michalski ze Zderzaka. Tak jak w ubiegłym roku Zderzak będzie w Poznaniu oferował obrazy Anny Ostoi, młodej artystki lansowanej przez galerię na gwiazdę.

Warto też będzie odwiedzić stoisko warszawskiej galerii Program, która konse-

kwentnie promuje sztukę nowych mediów, niejako na przekór konserwatywnym gustom polskiej publiczności i kolekcjonerów. – Przygotowaliśmy na sprzedaż wyłącznie prace wideo, a dla mniej odważnych klientów mamy fotografie filmowych kadrów – wylicza Aneta Muszyńska z galerii Program. Rarytasem w ich ofercie może okazać się praca Joanny Rajkowskiej „Dwadzieścia dwa zlecenia”, pokazywana ubiegłej zimy w warszawskiej siedzibie galerii. Edycja filmu ograniczona jest do trzech sztuk, jedna została już zakupiona przez zagranicznego kolekcjonera.

Pozostałe galerie prywatne nastawiają się raczej na malarstwo – najchętniej kupowane przez kolekcjonerów. Na pewno sporo niezłego malarstwa zaprezentuje warszawska galeria Milano. Ciekawie zapowiada się też targowy debiut galerii Klimy Bocheńskiej z warszawskiej Fabryki Trzcinicy. W Poznaniu Bocheńska zaoferuje prace Ryszarda Grzyba, Anny Okrasko i kolektywu Łódź Kaliska.

Ważną propozycją w programie Art Poznań 2005 jest też wspólna wystawa polskich galerii niekomercyjnych – zarówno prywatnych, jak i państwowych. W Poznaniu zaprezentuje się na przykład gdański Instytut Sztuki „Wyspa” – stworzona przez

Anetę Szyłak placówka, która ma ambicje stać się jedną z najważniejszych instytucji artystycznych w Polsce. Wobec wciąż słabego rynku to właśnie galerie non profit, takie jak zielonogórska BWA, białostocki Arsenał czy warszawska Zmiana Organizacji Ruchu, utrzymują polską sztukę współczesną przy życiu. Ich wspólny pokaz, którego kuratorem jest Sławomir Sobczak, jest okazją do ukazania pełnego przekroju przez wszystkie zjawiska zachodzące na polskiej scenie.

Podobnie jak w Starej Rzeźni, na terenie Browaru widzowie też mogą oczekiwać sztuki mocnej, dyskusyjnej. Dla wielu nawet kontrowersyjnej. A to za sprawą kolejnej wystawy towarzyszącej targom, zatytułowanej „Miłość i demokracja”. Luksusowe pomieszczenia Galerii Starego Browaru, oczka w głowie Grażyny Kulczyk, zostaną tym razem udostępnione polskim „artystom przeklętym”, między innymi Robertowi Rumasowi, Dorocie Nieznalskiej i Alicji Żebrowskiej. Kuratorem odważnej wystawy poświęconej obliczom seksualności w pluralistycznym społeczeństwie jest Paweł Leszkowicz. W katalogu Leszkowicz waży słowa: „Demokracja w odniesieniu do sztuki, tak jak i do innych aspektów życia, powinna gwarantować wolność artystycznej wypowiedzi. Wystawa »Miłość i demokracja« została zainspirowana liberalną i humanistyczną tradycją, stawiającą w centrum indywidualność w jej wielości”.

Łatwo przewidzieć, że prace pokazane w ramach jego wystawy już takie wyważone nie będą. I bardzo dobrze. Dobrze, że sponsorzy i organizatorzy Art Poznań 2005 postanowili otworzyć imprezę na tematy sporne i dyskusyjne. To ważne i dla polskiej sztuki, i dla społeczeństwa.

MARCEL ANDINO VELEZ
ART POZNAŃ 2005, 5–9 MAJA
WIĘCEJ NA WWW.ARTPOZNAN.PL



ARENY TARGOWYCH WYSTAW.
U GÓRY SUROWA STARA RZEŻNIA,
PONIŻEJ – LUKSUZOWY STARY
BROWAR



KRÓL BALDWIN IV
(EDWARD NORTON)
UKRYWA
POD MISTERNIE
RZĘBIONĄ MASKĄ
ZŻERANĄ TRĄDEM
TWARZ. TO,
CO WYŁANIA SIĘ
SPÓD EFEKTOWNYCH
KADRÓW FILMU
SCOTTA, TEŻ
POZBAWIONE JEST
URODY I BLASKU



KOWALERKA

●●●○○○

„Królestwo niebieskie” to bez wątpienia jeden z najsłabszych filmów Ridleya Scotta. **Bóg tak chciał?**

Pytanie: czy można było wykrzesać coś z tak słabego scenariusza i z tak słabego bohatera, którego gra jeszcze słaby aktor o charyzmie chłopca z boysbandu? Orlando Bloom, bo o nim mowa, wciela się w rolę biednego francuskiego kowala Baliana, którego los rzuca do Jerozolimy. Trwa epoka wypraw krzyżowych, w świętym mieście chwieje się właśnie kruchy rozejm między chrześcijanami okupującymi miasto a muzułmanami rządzącymi okolicznymi ziemiami. Szlachetny i czysty jak po praniu w wybielaczu Balian w ekspresowym tempie zyskuje zaufanie króla, sympatię jego siostry, kawał ziemi po ojcu i zaszczyt bycia głównodowodzącym armii.

Jakim cudem zwykły kowal ze średnio-wiecznego francuskiego zadupia tak doskonale zna się na dyplomacji i wojennej strategii, tego już nikt nie wyjaśnia – widocznie „Bóg tak chciał”, jak mawiał papież Urban II, śląc kolejnych rycerzy na wojny krzyżowe.

Podobnie jak w innych historycznych widowiskach – „Troi” czy „Aleksandrze” – akcja „Królestwa niebieskiego” sprowadza się do romansu, efektownych potyczek i jeszcze efektowniejszych bitew. Chodzi wyłącznie

o wykreowanie jak największej liczby jak najbardziej widowiskowych scen. W bitewnym kurzu ginie oczywiście historia: wątpliwa, infantyl-na i tak nudna, że w połowie 145-minutowego filmu człowiek zaczyna drzeć w obawie, że „Królestwu” temu nie będzie końca!

Po Petersenie i Stonie Scott stworzył kolejnego kolosa na glinianych nogach; wielkie, ciężkie widowisko, które ugina się pod własnym ciężarem, naładowane efektami, wypełnione komputerowymi armiami, rozbuchane scenograficznie i kostiumowo. Jedyne, co w „Królestwie niebieskim” nie jest wagi ciężkiej (a co najwyżej piórkowej), to tak zwane przesłanie. Film odkrywa przed nami oszałamiające prawdy w rodzaju: miłość zwycięża wszystko; każdy jest kowalem swojego losu; dasz pokój – masz pokój; dobrego i karczna nie zepsuje, a złego i kościół nie naprawi; wszystkie religie są palcami tej samej ręki, a wszyscy ludzie są równi. Nie mówiąc o „wybaczymy i prosimy o wybaczenie” – słowach skierowanych ku muzułmańskiemu światu. Wyznawcy islamu są tu krystalicznie czysti, szlachetni i honorowi, wzniosli i piękni. Polityczna poprawność sięgnęła nawet napisów końcowych, nazwiska aktorów pojawiają się bowiem na ekranie w parach lub trójkach narodowościowych (na przykład: Marokańczyk, Amerykanin, Niemiec). Ale stróż tej przegiętej (przekłętej) poprawności popełnili jeden karygodny błąd – na samym początku filmu pojawia się bowiem Murzyn. I nie dość, że ginie po kilku minutach, to nie wypowiedział nawet jednego słowa!

MAŁGORZATA SADOWSKA

„KRÓLESTWO NIEBIESKIE”, REŻ. RIDLEY SCOTT,
USA 2005, CINEPIX,
PREMIERA 6 MAJA

EROTOMANI AKWARIOWI

●●●○○○

Komedia, która już nie gorszy

W sztuce Arthura Schnitzlera sprzed ponad stu lat – „Korowód” – bohaterowie z różnych kręgów społecznych tworzą łańcuch nieczystych serc. Każdy kolejna postać zdradza postać poprzednią, aż wreszcie koło się zamyka (a ostatni będą z pierwszymi) i bilans zdrad wychodzi na zero. Podobnie jest w filmie Liz Gill, gdzie kilkunastu bohaterów – od profesora uniwersytetu do gońca na rowerze – krąży po Dublinie w poszukiwaniu szczęścia erotycznego. Co rusz wpadają na siebie, idą razem do łóżka, po czym gnają dalej, zapominając o tym, co się stało. Dramat Schnitzlera był skandalizującą satyrą na tak zwaną moralność, film Gill jest zaledwie pastelową komedią obyczajową. Cóż, seks już tak nie gorszy, sankcje społeczne i religijne tracą na ostrości, a sztuka jest znacznie bardziej... konserwatywna niż w czasach doktora Freuda. Mimo bowiem erotycznego galimatiasu Gill od początku dąży do normalizacji (zwanej niekiedy happy endem). Koniec końców dziwny karz zapragnie romantycznej miłości, lesbijka postanowi urodzić dziecko, a gej zamarzy, by zostać ojcem. Jak na katolicki Dublin i jeszcze bardziej katolicką Polskę może i jest to przekaz rady-



kalny. Ja jednak zamiast tytułowej metafory ze złotą rybką proponuję inną z akwariem związaną: kręcimy się w kółko i objamy o gładkie ściany konwencji.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

„PAMIĘĆ ZŁOTEJ RYBKII”, REŻ. LIZ GILL,
IRLANDIA 2003, SPINKA,
PREMIERA 6 MAJA



GORĄCY DOKUMENT

W tym numerze „Przekroju” proponujemy jako dodatek „Wrzeszczących facetów” Miki Ronkainen. Kolejny po „Super Size Me” intrygujący, kontrolny i doceniający na światowych festiwalach dokument, który chcemy zaprezentować czytelnikom w naszej serii. Tytułowi faceti to chorzyści z miasteczka Oulu w Finlandii, którzy zamiast śpiewać... wrzeszczą. W repertuarze Mieskuoro Huutajat znajdują się między innymi piosenki dziecięce, fragmenty aktów prawnych, pieśni narodowe i hymny – chorzyści zawsze wykonują je w języku, w którym powstały. Istnieje jeszcze jedna żelazna zasada – niezależnie od tego, czy występują w ambasadzie, galerii sztuki, na ulicy, w supermarkecie czy na lodowcu, Finowie zawsze ubrani są w staroświeckie garnitury, nieskazitelnie białe koszule i wąskie, czarne, gumowe krawaty.

O dyscyplinę w chórze dba jego założyciel i dyrygent – despotyczny Petri Sirviö, który również jest autorem „The Art of Shouting”, zbioru zasad dotyczących wrzeszczenia. Nie chodzi bowiem Mieskuoro Huutajat o zwykłe, bezładne pokrzykiwanie, ale o zharmonizowane wrzaski, krzyki albo wycie dostosowane do danego utworu. Występy tego chóru to swoisty performance, Finowie starają się zawsze swoją widownię zaskoczyć: i tak w Tokio niespodziewanie podczas występu wyciągnęli aparaty fotograficzne i zaczęli pstrykać zdjęcia Japończykom, na Islandii zaś długo pomilczeli, by później wywrzeszczeć te zapisy konstytucji Islandii, które... zabraniają „niekanonicznego” wykonywania hymnu tego państwa.

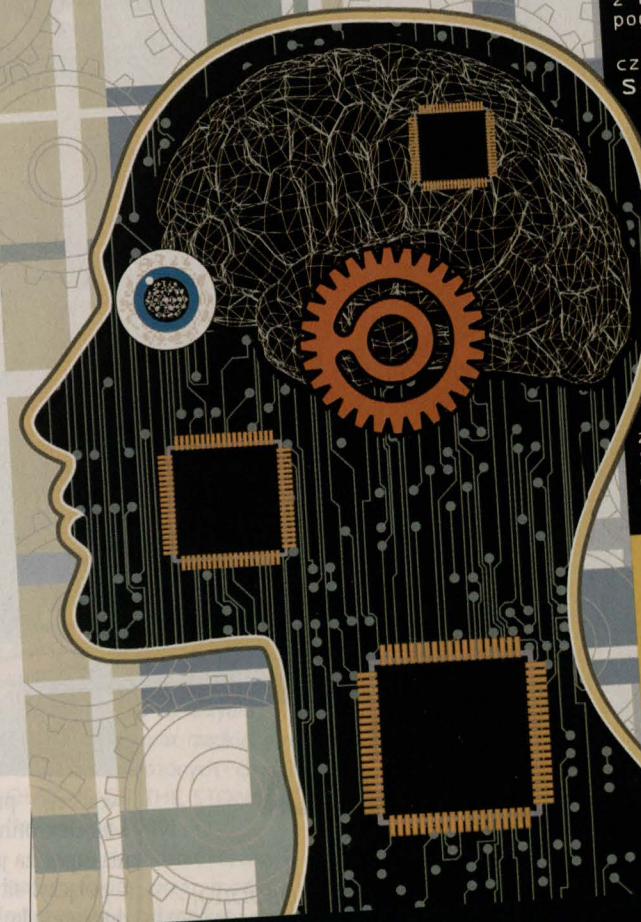
Ale już sam nabór do chóru ma charakter performance – chętni muszą odpowiedzieć na kilka dziwacznych pytań i pozwolić zmierzyć sobie pojemność płuc... Trzeba zaznaczyć, że wstępować do Mieskuoro Huutajat mogą wyłącznie mężczyźni. Dlaczego? – Bo to męski chór – odpowiada przekornie Petri Sirviö. (MASA)

W następnym numerze „Przekroju”
dodatek specjalny

PRZE
KROJ

13 technologii,
które zmieniają
twoje życie

ISSN 0033-2488
DODATEK JEST INTEGRALNĄ
CZĘŚCIĄ „PRZEKROJU” NR 20/3125
CENA „PRZEKROJU” OBEJMUJE DODATEK



dom,
z którym da się
pogadać

czyste i ciche
samochody

tania
muzyka
wprost
z Internetu

telewizja
pokazuje
tylko to,
co lubisz

telefon,
przez który
możesz gadać
za grosze

zdjęcia
satelitarne
dla każdego

Ten dodatek
będzie ci
służył przez
najbliższe
10 lat!!!

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujrzeć
kiepskie
dno



ENVEE I FISZ
PONIŻEJ: EMADÉ
I OSTRO



FOT. ROBERT JAWORSKI/PHOTOPASS

FOT. TOMEK PABLIŃSKI/ASFALT

FENOMEN CIĄGLE DZIAŁA

● ● ● ● ● ○

Bracia Waglewscy osobno, a raczej w duetach – ale każdy z kim innym

Są artyści, którym trofea i zaszczyty nie służą. Za sprawą laurów na laurach osiadają. Co innego bracia Waglewscy, Fisz i Emade. Choć wielokrotnie – ostatnio również Fenomenami „Przekroju” – wyróżniani, wciąż rozwijają się jako twórcy i zaskakują słuchaczy. Od lat nierozłączni jako muzyczni partnerzy, po sześciu wspólnie nagranych płytach bracia postanowili odpocząć od siebie na chwilę. Do studia wprawdzie weszli niemal w tym samym czasie, ale pierwszy raz oddzielnie, z towarzyszeniem nowych współników

twórczego procesu. Fisz – dziś raczej wszechstronny wokalista o wielu twarzach niż raper, za jakiego zwykle się go uważać – połączył siły z Enveem, didżejem i producentem kolektywu Niewinni Czarodzieje, ważną postacią okołojazzowego frontu rodzimej sceny klubowej. Emade z kolei zaprosił do współpracy Ostrego (O. S. T. R.), czołowy głos polskiego hip-hopu. W obu przypadkach spotkały się ze sobą żywioły oryginalne, nieszablonowe, zjawiskowe wręcz. I taki też musiał być efekt tych spotkań.

Wątpliwości, czy Fisz poradzi sobie bez podkładów młodszego brata, rozwiewa już otwierające „Fru!” znakomite „Idzie miłość”. „Bez pretensji do mądrości, której nie ma. Bez odbijania jej na ksero i wpadania w schemat” – melodeklamuje starszy z Waglewskich na tle

skocznej afrobeatowej produkcji Envego, jakby ostrzegając, że postawili na niezobowiązujący zabawny eksperyment. Nieoczekiwanie wyszedł im jeden z najbardziej nowoczesnych i odważnych albumów ostatnich lat.

Skrojony na eklektyczną nutę według najlepszych zachodnich wzorców, łączy w sobie elementy broken beatu, electro-funku, futurystycznego hip-hopu. Raz po raz przeszywa wątrobę głębokim, przesterowanym basem. Z numeru na numer zadziwia producencką wyobraźnią Envego, który równie frywolnie bawi się programowaniem połamanych pętli rytmicznych, co śladami z głosem Fisz. Ten zresztą nie pozostaje mu dłużny na lirycznym polu – niby nie od dziś wiemy, jak daleko potrafi zabrnąć w swoich abstrakcyjnych tekstach, jak mocno przymrużyć oko na otaczającą go rzeczywistość, ale zdarza się, że na „Fru!” przechodzi sam siebie.

„Za bardzo pop na podziemiu, za bardzo podziemny na pop” – w ustach Waglewskiego brzmi to jak artystyczny manifest, jak klucz do poznania jego twórczości. Stając tym albumem w rozkroku między własnym widzimisię a realiami rodzimego rynku, z podniesioną głową godzą się z Enveem na medialną banicję, choć z materiałem takim jak ten bez trudu i wstydu poradziłoby sobie na Zachodzie.

Emade i Ostrego problem rozdwojenia artystycznej jaźni już nie dotyczy. Ich wspólny projekt to przedsięwzięcie programowo eksperymentalne, nieprzebojowe, dla wtajemniczonych. Podobnie jak Fisz z Enveem, i oni stworzyli bezbłędnie uzupełniający się tandem. Współpraca z Ostrem zmotywowała Emade do stworzenia jednych ze swoich najlepszych podkładów w karierze. Dzięki współprowadzącemu Tworzywa Sztucznego łódzki raper, tak bardzo przywiązany dotąd do produkcji własnego autorstwa, wspinał się na nieznane wyżyny słownych kalamburów i łamię główek. Mocą doświadczenia, otwartości umysłu i uwielbienia dla tego, co w światowym hip-hopie inne i dziwne, obaj wprawili w ruch maszynę, której nie sposób zatrzymać.

BARTEK WINCZEWSKI



FISZ ENVEE „FRU!”,
Asfalt



POE (PROJEKT OSTRO EMADÉ)
„SZUM RODZI HAŁAS”,
Asfalt



PIĘKNA LAPTOP

Tujiko Noriko
i inne gwiazdy
elektronicznych
poboczy w Polsce

Laptop na stole, papieros w jednej ręce, kieliszek z winem w drugiej – tak się robi teraz cybernetyczny pop! Japońska artystka Tujiko Noriko będzie gościem 17. edycji Festiwalu Muzyki Elektronicznej Alt + F4. W stołecznym klubie 1955 wystąpi w sumie 17 ważnych artystów eksperymentujących z laptopami (COH), gamofonami (Ignaz Schick) i syntezatorami (Schlamm-Peritziger). Będą składy improwizowane (Emiszyń), sety solowe (Hecker), muzyka będzie się ocierała o współczesną (Ekkehard Ehlers) i rozrywkę (Deuce). Nie zabraknie również miejsca na dobrą piosenkę. Choć niektórzy nazywają Tujiko Noriko „japońską Björk”, sama artystka dosyć skromnie mówi o swojej twórczości. Wcześniej pracowała jako hostessa i studiowała filozofię w Tokio. Klawisze i komputer pożyczala od swojego chłopaka, żeby pobawić się w karaoke. Nagrała płytę, ale nikt nie chciał jej wydać. Odkrył ją dopiero szef austriackiej wytwórni Mego, skupiającej najciekawszych artystów z kręgu eksperymentalnej elektroniki. Ze swoim słodkim głosem i delikatną, klikającą i szumiącą elektroniką Tujiko stała się pośród nich prawdziwą gwiazdą. (JAS)

FESTIWAL ALT+F4,
6-7.04 Warszawa, 1955

PRZEKRÓJ MUZYKI: NOWY ROCK

Zestaw nowych płyt
rockowych, które trzeba znać,
jeśli już żyje się w XXI wieku

W kolekcji „Przekrój muzyki” publikujemy 5 maja drugą składankę – zestaw godnych polecenia nowych utworów rockowych. Poniżej płytowy przewodnik po rocku XXI wieku.

BROKEN SOCIAL SCENE „You Forgot It In People” (Arts & Crafts 2003)

Kanadyjska scena rockowych improwizatorów wpływa dziś na oblicze rocka. Broken Social Scene też są z Kanady, grają utwory mniej rozbudowane, ale równie emocjonalne, z intensywnością przypominającą Sonic Youth.

THE RAPTURE „ECHOES” (Universal 2003)

The Rapture przypomnieli, że przy muzyce gitarowej da się tańczyć. „Dance punk” – słowa, które wydawały się nie do pogodzenia, teraz stworzyły nazwę nowego nurtu.

FRANZ FERDINAND „Franz Ferdinand” (Domino 2004)

Pixies? Blur? Pulp? Często, gdy rockowi muzycy zbliżali się do popu, ale nie na tyle, by zbanalizować przekaz, powstawało coś klasycznego. Podobnie u tej szkockiej grupy.

THE WHITE STRIPES „Elephant” (XL 2003)

Najbardziej wyrazisty image nowego rocka. Ludzie zadają sobie pytanie, czy Meg i Jack White z The White Stripes to mąż i żona. Ale



nikt nie pyta o jakość propozycji artystycznej, nowoczesnej, choć zakorzenionej w bluesie.

INTERPOL „Turn On The Bright Lights” (Matador 2002)

Czwórka nowojorczyków dała światu jedną z najpiękniejszych i najsmutniejszych piosenek XXI wieku. Zespół kultowy, choć nie tak popularny jak Franz Ferdinand czy The Strokes.



Składanka „Przekrój muzyki: Nowy rock” wydana przez „Przekrój” i Kompanię Muzyczną „Pomaton” dostępna jest od 5 maja w salonikach prasowych i EMPIK-ach. To zestaw nagrań najciekawszych spośród wykonawców nowej fali rockowej (Franz Ferdinand, Broken Social Scene, Bloc Party, The Libertines, The Kills i inni). Wciąż do nabycia płyta „Soul bez pościeli”, a kolejna, z klasykami hip-hopu – już w czerwcu!

MODEST MOUSE „The Moon & Antarctica” (Epic 2000)

Jeśli punkowo-grunge’owa Nirvana była Sex Pistols amerykańskiej alternatywy, to krajanów Cobaina – Modest Mouse (spod Seattle) – można nazwać nieodkrytymi alternatywnymi Pink Floydami.

THE STROKES „Is This It” (RCA 2001)

Grupa, od której wszystko się zaczęło. Założona w Nowym Jorku, ale to przez brytyjską prasę okrzyknięta nową nadzieją garażowego rocka.

THE MARS VOLTA „De-Loused In The Comatorium” (Universal 2003)

King Crimson z turbodoładowaniem – ta formacja zrodziła się z truchła At The Drive-In i sprawiła, że wielowątkowe 15-minutowe suit y znów podobają się nastolatkom. Hałaśliwa,



mroczna i trudna płyta. Nic dziwnego, że jej sukces zaskoczył nawet samych muzyków.

SYSTEM OF A DOWN „Toxicity” (Sony 2001)

Kalifornijscy Ormianie o lewackich poglądach, sile rażenia Slayera, wszechstronności Franka Zappy oraz rzadkiej umiejętności pisanie numerów złożonych i chwytliwych zarazem.

QUEENS OF THE STONE AGE „Rated R” (Interscope 2000)

Pojawili się w ostatniej chwili, kiedy rock został oswojony przez media i wykastrowany przez speców od marketingu. Ale za ich sprawą wszystko wróciło do normy. Ojcowie boją się o synów, matki trzymają córki pod kluczem, a hasło „Sex, drugs & rock’n’roll” znów symbolizuje życie na krawędzi, a nie reklamę dezodorantu.

PŁYTY WYBIERALI: BARTEK CHACIŃSKI, JACEK HAWRYLUK, PIOTR KOWALCZYK, JACEK SKOLIMOWSKI, JAREK SZUBRYCHT, ROBERT ZIĘBIŃSKI

VIVA! poleca

VIVA! PARTY ZONE

Dla wszystkich,
którzy uwielbiają bawić
się przy roztańczonych
rytmach.



„SATURDAY NIGHT”

Klubowe hity ostatnich miesięcy, w sam raz na gorące weekendowe szaleństwa. Basement Jaxx, Salome de Bahia, James Brown, Junior Jack czy Donna Summer to tylko niektóre z wielkich gwiazd, które zagwarantują Wam najlepszą muzyczną mieszankę na domowe imprezy.

„SUNDAY MORNING”

to podróż w świat chilloutowych dźwięków, które umilą Wam niedzielne poranki i leniwe wieczory. Zadbają o to artyści: Marvin Gaye, Mr Hermano, Earth, Wind & Fire, Can 7 czy wschodząca gwiazda – Angela McCluskey.

Patronem medialnym albumu
jest dwutygodnik **VIVA!**

2 CD już w sprzedaży!

Music from **EMI**

MISTERY BLUŻG

Świetna niecenzuralna powieść o miłości do rosyjskiej dziewczyny i amerykańskiej metropolii

Eduard Limonow to skandalista co się zowie, a jego wydana właśnie w Polsce debiutancka proza jest w dużej mierze autobiograficzna. Ale „To ja, Ediczka”, książka napisana w roku 1976, to przede wszystkim dobrze skonstruowana powieść, fikcja, przetworzenie świata w dziarski układ słów. A więc nie Eduard Limonow dzisiejszy, nie przywódca Partii Narodowo-Bolszewickiej; nie Limonow, więzień polityczny putinowskiej Rosji, skazany w sfirowanym najpewniej procesie za nielegalne posiadanie broni; nie Limonow, wielbiciel Miloszewicia i Mładicia, który dla sportu strzela w kierunku oblężonego Sarajewa; nie Limonow, którego pretorianie palą polską flagę etc., etc. – nie Limonow polityk jest tu ważny, ale Limonow sprzed 30 lat: pisarz i twórca literackiej wersji samego siebie – Ediczki zbłąkanego na nowojorskim bruku.

Ediczka – w ZSRR samizdatowy, lecz głośny poeta i ekscentryk, na emigracji traci ukochaną żonę – modelkę, która puszcza się z miejscowymi i ani jej w gło-

wie trwać przy pozbawionym widoków na jakiegokolwiek sukces bohaterze. Ediczka skutecznie zraża do siebie wszystkich, którzy mogliby być dla niego oparciem, z polityczną emigracją na czele. Ediczka obraca się w niewielkim kręgu jemu podobnych nieudaczników i jest, proszę wybaczyć określenie, setnie wkurwiony na wszystko i wszystkich dookoła. Wkurwiony niemądrze, stronniczo i egotycznie, ale jest w jego złości przewrotna niewinność i butny wdzięk. Ameryka, do której uciekł, zdaje mu się bardzo podobna do matczynego Sojuza, a może i gorzej, bo w Ameryce ni sławy, ni miłości nie może się nijak dochrapać.

„Tam ideologia – tutaj komercja” – powiada odkrywczo i dziwi się, czemu Nowy Jork nie chce przyhołubić rosyjskiego poety.

Ediczka włóczy się po Manhattanie, tęskni za ukochaną, pije, bierze kasę z opieki społecznej i z rozpaczyny wdaje w seksualne przygody z panami (gustuje szczególnie w czarnych włóczkach i rzeźmieszkach) i nieładnymi paniami – a przede wszystkim kłnie na czym świat stoi. Ale mistery blużg Limonowa, który stara się – z sukcesem – o prawie każdym powie-

dzieć coś przykrego i co chwila świeci w oczy grubym, ale jędnym słowem, jest jednak w istocie utworem miłosnym.

„To ja, Ediczka” to rzecz o miłości do kobiety i miłości do miasta, na które psio-czy się i wyrzeka, ale którego aleje i zaułki opisuje się z nadspodziewaną czułością. „Wciąż jeszcze potężna symfonia nowojorska rozbrzmiewa we mnie muskularnie, przypominając mi osobistą i okrutną wojnę, jaką toczyłem z tym miastem pełnym piękna i wściekłości” – pisał Limonow w połowie lat 80. I rzeczywiście, wściekły blużg Ediczki świetnie wpisuje się w wielojęzyczny zgłęb sławiący i przeklinający pierwsze miasto świata. Warto posłuchać. A jeśli się komu nie podoba – tu jeszcze raz oddajmy głos „ocierającemu ły” autorowi: „Pierdolę was, skurwysyny jebane. Chuj wam wszystkim w dupę!”.

MARCIN SENDECKI



OBSESJA PAPIERU

Ciemne oblicze miłości do książek

O czego służą książki? To tylko pozornie proste pytanie. Prawdziwym pasjonatom – nie tylko do czytania. Wpływają na życie, czasem drastycznie, bohaterów „Domu z papieru” Carlosa Marii Domingueza. Dla takiego miłośnika nie ma bowiem lepszej śmierci niż pod kołami samochodu z tomikiem ukochanej Emily Dickinson w ręku. Jedyne warte zachodu życie to obcowanie z książkami jak towarzyszy życia, kochankami, w łóżku, przy jedzeniu, wszędzie. Po ważnym życiowym problemem staje się to, czy można ustawić obok siebie autorów, którzy się nie nawidzili albo kradli swoje pomysły. Może się pogryzać? U Domingueza miłość do książek staje się obsesją. Kiedy bohater pragnie zamieszkać w domu zbudowanym z tomów, miesza je z tynkiem i zaprawą, widzimy ciemną stronę tej miłości. Tomy przekształcone w cegły, nie służą już do dialogów ponad wiekami. Nie pytajcie, co było dalej, i nie próbujcie budować takiego domu. Już lepiej po prostu czytać. (JS)

CARLOS MARIA DOMINGUEZ, „DOM Z PAPIERU”, Świat Książki, Warszawa 2005



BESTIARIUSZ NA OPAK

Ugrešić w swojej arcypowieści jest bezlitosna i tkliwa jednocześnie

Pojmujesz, Jura, oni w aptekach sprzedają czysty spirytus, ha! (...) Jaki to standard, co?” – mówi Sapożnikow, jeden z wielu niewydarzonych bohaterów w powieści-bestiarium Dubravki Ugrešić. Niby zwykła międzynarodowa konferencja, a tyle uciechy. Schyłkowy socjalizm. Trzy rozjuszone damy przy użyciu baloników gwałcą dobre imię miejscowego szowinisty. Poeci i prozaicy bratają się z robotnikami w fabryce kielbasy. Doktor No, jak z Bonda, kradnie powieść, która na zawsze mogła zmienić blade oblicze literatury słowiańskiej. Do tego prawdziwy cyrk ludzkich (pisarskich) ułomności – na wskroś współczesny, choć Ugrešić napisała „Forsowanie powieści-rzeki” w 1988 roku (w Polsce powieść wydano po raz pierwszy w 1992 roku). Z jednej strony ambicji i podłości panów pisarzy – zawistnych i bez końca międlących swoje wschodnioeuropejskie kompleksy (dlaczego „nasi” poeci mają zawsze tłuste włosy i krosty?). Z drugiej – hamletowskie rozterki i ukradkowe ciepło trzydniowych romansów nawiązywanych w poczuciu permanentnej życiowej klapy. Ugrešić na „swoją” konferencję sprosila gości z całego świata i miesza w woru jak w wielkim kulturowym tyglu. Wprowadza naraz kilka wątków – miłosnych, kryminalnych, szpiegowskich – przeskakując z jednego na drugi, każe niecierpliwie czekać na diaboliczny finał. Fabularny pastisz tworzy tło dla krytyki obyczajowej pisanej jednocześnie tklawie i bezkompromisowo, z dystansem i absurdalnym humorem, z którego słynie chorwacka pisarka. Ugrešić porównuje ludzi do zwierząt, tyle że w przeciwieństwie do autorów moralitetów kocha swoje postaci za ich małość. Tamtego Zagrzebia już nie ma, ale równie uroczych konferencji rocznie odbywają się setki. Na tej są państwo mile widziani.

MAJA MOZGA-GÓRKA

DUBRAVKA UGREŠIĆ „FORSOWANIE POWIEŚCI-RZEKI”, PRZEK. DANUTA CIRLIĆ-SZTRASYŃSKA, Czarne, Wołowiec 2005

ADRIEN BRODY KEIRA KNIGHTLEY



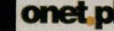
producenci
STEVEN SODERBERGH oraz GEORGE CLOONEY
przedstawiają thriller

OBLĘD

MIAŁEM 27 LAT, KIEDY UMARŁEM PO RAZ PIERWSZY.

W KINACH OD 12 MAJA

www.thejacketmovie.com www.monolith.pl





Pvt. Kevin Leggett
Radio Operator

MSgt. Mac Hassay
Platoon Sergeant
M1 Rifle

Pvt. Larry K. Allen
Rifleman
M1 Rifle

Cpl. Jack Courtland
Team Leader
Thompson SMG

BRATERSTWO KRWI

Połączenie wojennej gry taktycznej i gry akcji, które każe **podejmować trudne decyzje i przeżywać lzy**

Gra jako przejmujący dramat? Trudne zadanie. Medium to wciąż jest postrzegane jako z natury swej rozrywkowe i ciężko przełamać ów stereotyp. Trzeba jednak przyznać, że „Brothers In Arms: Road to Hill 30” niejednokrotnie potrafi człowiekiem wstrząsnąć.

Stare zdjęcia w czerni i bieli lub sepia zdają się płynnie przechodzić w kolorowe obrazy ze świata gry. Normandia, rok 1944. Czas inwazji aliantów okupionej morzem krwi na plaży Omaha i polach północnej Francji. Przenikające się oryginalne fotografie sprzed półwiecza i wykreowane komputerowo wirtualne obrazy prezentowane mediom miały być dowodem na to, że gra „Brothers In Arms: Road to Hill 30” wiernie odda realia tamtej epoki.

Napięcie towarzyszące oczekiwaniu na premierę podgrzewały deklaracje twórców, że na odwzorowaniu topologii i architektury bynajmniej się nie skończy. Odtworzona miała zostać także atmosfera tamtych wydarzeń – intensywność życia na krawędzi, euforia i lęk rozpoczynające każdy nowy dzień, świadomość uczestnictwa w wydarzeniach, które decydują o przyszłości świata. Nade wszystko jednak gra miała być hołdem dla braterstwa broni – po-

czucia wspólnoty i więzi z kolegami z oddziału. Takiego jak w serialu „Kompania Braci”, do którego nawiązuje „Brothers In Arms: Road to Hill 30”. Takiego jak w słynnej amerykańskiej 101. Dywizji Powietrznodesantowej, która w Normandii podczas operacji „Overlord” odegrała bardzo ważną rolę.

Spielberg zdecydował, że „Szeregowiec Ryan” i wyprodukowana później „Kompania Braci” w niczym nie będą ubarwiać historii – i w zgodnej opinii tak właśnie się stało. Twórcy „Brothers In Arms: Road to Hill 30” mieli podobne ambicje. Czy im się udało?

Gracz w „Brothers In Arms: RtH30” wciela się w dowódcę małego oddziału zrzuconego na tyły wroga. Jak w większości wojennych gier bierze osobiście udział w walce, ale tym razem to nie jego celne oko ma znaczenie decydujące, lecz zdolności przywódcze. „Brothers In Arms: RtH30” to hybryda gry akcji i gry taktycznej. Tu można nawet zatrzymać na chwilę program, by ocenić układ sił na mapie okolicy i przemyśleć kolejność działań.

W wielu sytuacjach dopiero właściwy rozkaz umożliwia osiągnięcie celu. Zwykle najbardziej sensowny jest atak z flanki. Bywa jednak i tak, że jedynym rozwiązaniem wydaje się szturm przy nieuniknionych wysokich stratach własnych. Trzeba podejmować trudne decyzje i przeżywać lzy. Gra to wymusza i za to jej twórcom chwała.

Akcent na taktyczną grę drużynową był także cechą charakterystyczną „Full Spectrum Warrior”. Komu nie przypadł do gustu tamten tytuł, może być rozczarowany także „Brothers In Arms: RtH30”. To nie jest typowa strzelanina w stylu „Call of Duty”. Bardzo dobrze, że wprowadzono możliwość kierowania ze spolem, ale nie obyło się przy tym bez potknięć. Postanowiono na przykład nakłonić gracza do wydawania rozkazów drużynie w ten sposób, że drastycznie zmniejszono skuteczność ostrzału przeciwników korzystających z osłony. Nawet gdy na chwilę wystawią korpus, kulę zdają się ich nie imać. Wszystko po to, by nieszczęsny dowódca wydał wreszcie rozkaz oskrzydlenia pozycji.

Mimo pewnych ryzykownych założeń koncepcyjnych gra „Brothers In Arms: RtH30” robi wrażenie. Głównie niepowtarzalnym klimatem. Plus dla polskiego wydawcy za to, że zatrudnił Jarosława Łukomskiego, lektora „Kompanii Braci”. To na pewno nie szkodzi. Ortodoksi mogą jednak zrezygnować z dubbingu, decydując się na tłumaczenie tekstowe lub wersję oryginalną. Co kto lubi.



„BROTHERS IN ARMS: ROAD TO HILL 30”, Gearbox, dystrybucja Cenega

RZEŹ WINIĄTEK

Gadżet do filmu z Keanu Reevesem w roli głównej. Rzeź winiątek – demonów maści wszelakiej. W kinie nie byłem, więc nie wiem, jak gra się broni w oczach widza. Bez podpórki wspomnień i skojarzeń wypada tak sobie. Ot, nieskomplikowana strzelanina plus parę zaklęć. Najmocniejszy punkt – parafilmowe przerywniki. Niezłe kadry, sensowna narracja. Rzadkość to, proszę państwa, rzadkość. Lecz coś z tego, skoro danie główne cokolwiek nieświeże?

Eksterminacja sług piekieł zarówno na tym, jak i na tamtym świecie była również motywem polskiego „Painkillera”, gry zdecydowanie lepszej. „Constantine” ma jednak mocny marketingowy atut, który prawdopodobnie zapewni mu większą sprzedaż. Otóż nasze alter ego w grze ma aparycję boskiego Keanu. I jak się oprzeć pokusie takiej projekcji?



„CONSTANTINE”, SCI Games, dystrybucja CD Projekt



WYRĄBAĆ DROGĘ

Perelka, którą łatwo przeoczyć. Godny przedstawiciel ginącego gatunku turowych gier taktycznych miał światową premierę co prawda półtora roku temu, ale nawet dziś, gdy wreszcie trafił na polski rynek, nie obawia się w swej kategorii żadnej konkurencji. Rosjanie z Nival Interactive postawili na sprawdzone rozwiązania i dopieścili je do perfekcji. Jest rok 1943, gracz dowodzi elitarnym oddziałem komandosów działających na tyłach wroga. Interaktywne środowisko umożliwia stosowanie oryginalnych rozwiązań. Można na przykład przestrzelić drewnianą podłogę na parterze, wyrubując sobie szybką drogę do piwnicy, albo obsadzić stacjonarne stanowiska broni ciężkiej w zaatakowanej bazie wroga, by odeprzeć szturm z pobliskiego garnizonu. CD Projekt wydał „Silent Storm” razem z dodatkiem „Sentinels”. Brać. Koniecznie.



„SILENT STORM + SENTINELS”, Nival Interactive, dystrybucja CD Projekt

SWOJSKIE CHŁOPAKI

Ośmialem się jak norka już na etapie instalacji. Potem z dowcipem bywało różnie, ale generalnie ta jakże polska gra autorstwa rodzimego studia L'Art zdobyła moją sympatię. To przygodówka, czyli aby podążać za fabułą, należy rozwiązywać zagadki. Gra opowiada dalsze losy Freda i Gruchy z filmu Olafa Lubaszenki „Chłopaki nie płaczą”. Nie znamy? Nie szkodzi. Film – na DVD – jest dołączony do gry. Kinomani docenią, że głosy pod znane z duże-



go ekranu postacię podkładają aktorzy, którzy w te postaci się wcielili: Cezary Pazura, Mirosław Zbrojewicz i Mirosław Baka. Swojskość, aluzje i humor to oprócz udziału wyżej wymienionych aktorów podstawowe atuty gry. Reszta jest konsekwencją skromnego budżetu. Ale w końcu ile mamy gier z własnego podwórka? Brawa za odwagę.



„CHŁOPAKI NIE PŁACZĄ”, L'Art, dystrybucja Axel Springer

JUŻ W SPRZEDAŻY

DOSTĘPNE RÓWNIEŻ
SPECJALNE WYDANIE DWUPŁYTOWE:

UPADEK

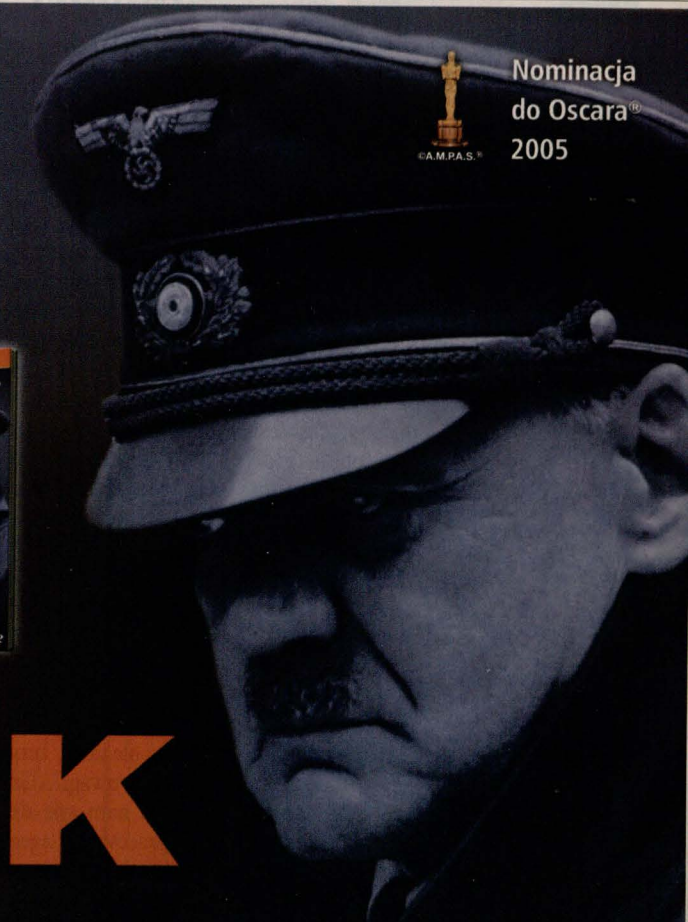
+
**SEKRETARKA
HITLERA**

wspomnienia Traudl Junge
ostatniej sekretarki wodza III Rzeszy

ORAZ
**ŻYCIE
ADOLFA HITLERA**
dokument zrealizowany na podstawie
unikalnych materiałów filmowych
pochodzących z archiwów 11 krajów



UPADEK



Nominacja
do Oscara®
2005

„Jeżeli ta wojna jest przegrana, to nie jest moim zmartwieniem, że giną w niej ludzie. Nie uronię za nich jednej łzy, bo nie zasłużyli na nic lepszego.”
Adolf Hitler

Radio 24

onet.pl

PATRONI
MEDIALNI

www.monolith.com.pl

PRZEKRÓJ MUZYKI

to seria składanek prezentująca poszczególne gatunki, prądy i epizody z historii muzyki.

„Nowy rock”

to druga płyta z kolekcji.



LISTA UTWORÓW 1. **Franz Ferdinand:** Take Me Out 2. **Idlwild:** You Held The World In Your Arms 3. **Sons And Daughters:** Dance Me In 4. **The Thrills:** Big Sur 5. **Phoenix:** Everything Is Everything 6. **Soulwax:** Any Minute Now 7. **Athlete:** One Of Those Days 8. **Bloc Party:** Helicopter 9. **The Kills:** The Good Ones 10. **The Libertines:** Can't Stand Me Now 11. **The Vines:** Factory 12. **Broken Social Scene:** Cause=Time 13. **The Music:** Freedom Fighters 14. **Black Rebel Motorcycle Club:** US Government 15. **Clearlake:** Wonder If The Snow Will Settle

29,99 zł

(W TYM 22% VAT)

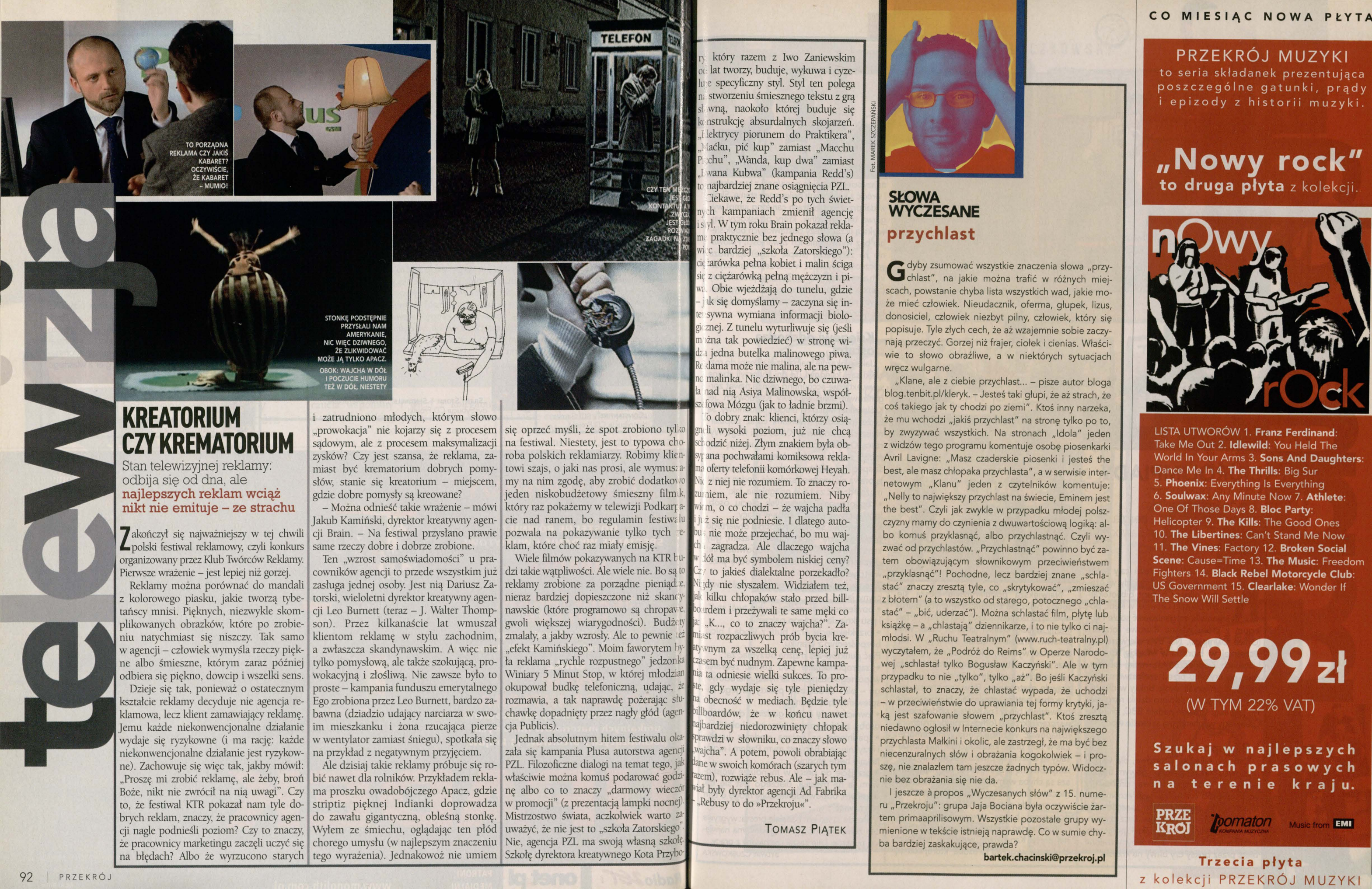
Szukaj w najlepszych salonach prasowych na terenie kraju.

PRZEKROJ

pomaton

Music from EMI

Trzecia płyta z kolekcji PRZEKRÓJ MUZYKI



TO PORZĄDNA
REKLAMA CZY JAKIŚ
KABARET?
OCZYWIŚCIE,
ŻE KABARET
- MUMIO!

STONKĘ PODSTĘPNIE
PRZYSŁALI NAM
AMERYKANIE.
NIC WIĘC DZIWNEGO,
ŻE ZLIKWIDOWAĆ
MOŻE JĄ TYLKO APACZ.
OBOK: WAJCHA W DÓŁ
I POCZUCIE HUMORU
TEŻ W DÓŁ, NIESTETY

CZY TEN MEZCZY-
JEST GŁO-
KONTAKTU A-
ZAWCZ-
JEST GŁO-
ROZWIĄ-
ZAGADKI NA Z-
PO-

KREATORIUM CZY KREMATORIUM

Stan telewizyjnej reklamy: odbija się od dna, ale **najlepszych reklam wciąż nikt nie emituje – ze strachu**

Zakończył się najważniejszy w tej chwili polski festiwal reklamowy, czyli konkurs organizowany przez Klub Twórców Reklamy. Pierwsze wrażenie – jest lepiej niż gorzej.

Reklamy można porównać do mandali z kolorowego piasku, jakie tworzą tybetańscy mnisi. Pięknych, niezwykle skomplikowanych obrazków, które po zrobieniu natychmiast się niszczy. Tak samo w agencji – człowiek wymyśla rzeczy piękne albo śmieszne, którym zaraz później odbiera się piękno, dowcip i wszelki sens.

Dzieje się tak, ponieważ o ostatecznym kształcie reklamy decyduje nie agencja reklamowa, lecz klient zamawiający reklamę. Jemu każde niekonwencjonalne działanie wydaje się ryzykowne (i ma rację: każde niekonwencjonalne działanie jest ryzykowne). Zachowuje się więc tak, jakby mówił: „Proszę mi zrobić reklamę, ale żeby, broń Boże, nikt nie zwrócił na nią uwagi”. Czy to, że festiwal KTR pokazał nam tyle dobrych reklam, znaczy, że pracownicy agencji nagle podnieśli poziom? Czy to znaczy, że pracownicy marketingu zaczęli uczyć się na błędach? Albo że wyrzucono starych

i zatrudniono młodych, którym słowo „prowokacja” nie kojarzy się z procesem sądowym, ale z procesem maksymalizacji zysków? Czy jest szansa, że reklama, zamiast być krematorium dobrych pomysłów, stanie się krematorium – miejscem, gdzie dobre pomysły są kreowane?

– Można odnieść takie wrażenie – mówi Jakub Kamiński, dyrektor kreatywny agencji Brain. – Na festiwal przysłano prawie same rzeczy dobre i dobrze zrobione.

Ten „wzrost samoświadomości” u pracowników agencji to przede wszystkim już zasługa jednej osoby. Jest nią Dariusz Zatorski, wieloletni dyrektor kreatywny agencji Leo Burnett (teraz – J. Walter Thompson). Przez kilkanaście lat wmuszał klientom reklamę w stylu zachodnim, a zwłaszcza skandynawskim. A więc nie tylko pomysłów, ale także szokującą, prowokacyjną i złośliwą. Nie zawsze było to proste – kampania funduszu emerytalnego Ego zrobiona przez Leo Burnett, bardzo zabawna (dziadzio udający narciarza w swoim mieszkanku i żona rzucająca pierze w wentylator zamiast śniegu), spotkała się na przykład z negatywnym przyjęciem.

Ale dzisiaj takie reklamy próbuje się robić nawet dla rolników. Przykładem reklama proszku owadobójczego Apacz, gdzie striptiz pięknej Indianki doprowadza do zawału gigantyczną, obleśną stonkę. Wyłem ze śmiechu, oglądając ten płód chorego umysłu (w najlepszym znaczeniu tego wyrażenia). Jednakowoż nie umiem

się oprzeć myśli, że spot zrobiono tylko na festiwal. Niestety, jest to typowa choroba polskich reklamarzy. Robimy klientowi szajs, o jaki nas prosi, ale wymuszamy na nim zgodę, aby zrobić dodatkowo jeden niskobudżetowy śmieszny filmik, który raz pokażemy w telewizji Podkarpackiej nad ranem, bo regulamin festiwalu pozwala na pokazywanie tylko tych reklam, które choć raz miały emisję.

Wiele filmów pokazywanych na KTR budzi takie wątpliwości. Ale wiele nie. Bo są to reklamy zrobione za porządne pieniądze, nieraz bardziej dopieszczone niż skandynawskie (które programowo są chropawe, gwooli większej wiarygodności). Budżety zmaleły, a jakby wzrosły. Ale to pewnie też „efekt Kamińskiego”. Moim faworytem była reklama „rychle rozpustnego” jedzonka Winiary 5 Minut Stop, w której młodziśnian okupował budkę telefoniczną, udając, że rozmawia, a tak naprawdę pożerając słuchawkę dopadnięty przez nagły głód (agencja Publicis).

Jednak absolutnym hitem festiwalu okazała się kampania Plusa autorstwa agencji PZL. Filozoficzne dialogi na temat tego, jak właściwie można komuś podarować godzinę albo co to znaczy „darmowy wieczór w promocji” (z prezentacją lampki nocnej). Mistrzostwo świata, aczkolwiek warto zauważyć, że nie jest to „szkoła Zatorskiego”. Nie, agencja PZL ma swoją własną szkołę. Szkołę dyrektora kreatywnego Kota Przyby-

ry, który razem z Iwo Zaniewskim od lat tworzy, buduje, wykuwa i czytelnie specyficzny styl. Styl ten polega na stworzeniu śmiesznego tekstu z grą słowną, naokoło której buduje się konstrukcję absurdalnych skojarzeń. „Elektrycy piorunem do Praktikera”, „Maćku, pić kup” zamiast „Macchu Pięchu”, „Wanda, kup dwa” zamiast „Iwana Kubwa” (kampania Redd's) to najbardziej znane osiągnięcia PZL.

Ciekawe, że Redd's po tych świetnych kampaniach zmienił agencję i styl. W tym roku Brain pokazał reklamę praktycznie bez jednego słowa (a więc bardziej „szkoła Zatorskiego”): ciężarówka pełna kobiet i malin ściga się z ciężarówką pełną mężczyzn i piwa. Obie wjeżdżają do tunelu, gdzie – jak się domyślamy – zaczyna się intensywna wymiana informacji biologicznej. Z tunelu wyturliwuje się (jeśli można tak powiedzieć) w stronę widza jedna butelka malinowego piwa. Reklama może nie malina, ale na pewno malinka. Nic dziwnego, bo czuwała nad nią Asiya Malinowska, współszefowa Mózgu (jak to ładnie brzmi).

To dobry znak: klienci, którzy osiągnęli wysoki poziom, już nie chcą schodzić niżej. Złym znakiem była obcyta pochwałami komiksowa reklama oferty telefonii komórkowej Heyah. Nie z niej nie rozumiem. To znaczy rozumiem, ale nie rozumiem. Niby wiem, o co chodzi – że wajcha padła i już się nie podniesie. I dlatego autobus nie może przejechać, bo mu wajcha zagradza. Ale dlaczego wajcha w dół ma być symbolem niskiej ceny? Czy to jakieś dialektalne porzekadło? Nigdy nie słyszałem. Widziałem też, jak kilku chłopaków stało przed billboardem i przeżywali te same męki co ja: „K... co to znaczy wajcha?”. Zamiast rozpaczliwych prób bycia kreatywnym za wszelką cenę, lepiej już czasem być nudnym. Zapewne kampania ta odniesie wielki sukces. To proste, gdy wydaje się tyle pieniędzy na obecność w mediach. Będzie tyle billboardów, że w końcu nawet najbardziej niedorozwinięty chłopak sprawdzi w słowniku, co znaczy słowo „wajcha”. A potem, powoli obrabiając dane w swoich komórkach (szarych tym razem), rozwiąże rebus. Ale – jak mawiał były dyrektor agencji Ad Fabrika – „Rebusy to do »Przekroju«”.

TOMASZ PIĄTEK

SŁOWA WYCZESANE przychlast

Gdyby zsumować wszystkie znaczenia słowa „przychlast”, na jakie można trafić w różnych miejscach, powstanie chyba lista wszystkich wad, jakie może mieć człowiek. Nieudacznik, oferma, głupek, lizus, donosiciel, człowiek niezbyt pilny, człowiek, który się popisuje. Tyle złych cech, że aż wzajemnie sobie zaczynają przeczyć. Gorzej niż frajer, ciołek i cienias. Właściwie to słowo obraźliwe, a w niektórych sytuacjach wręcz wulgarne.

„Klane, ale z ciebie przychlast...” – pisze autor bloga blog.tenbit.pl/kleryk. – Jesteś taki głupi, że aż strach, że coś takiego jak ty chodzi po ziemi”. Ktoś inny narzeka, że mu wchodzi „jakiś przychlast” na stronę tylko po to, by zwyzwać wszystkich. Na stronach „Idola” jeden z widzów tego programu komentuje osobę piosenkarki Avril Lavigne: „Masz czaderskie piosenki i jesteś the best, ale masz chłopaka przychlasta”, a w serwisie internetowym „Klanu” jeden z czytelników komentuje: „Nelly to największy przychlast na świecie, Eminem jest the best”. Czyli jak zwykle w przypadku młodej polszczyzny mamy do czynienia z dwuwartościową logiką: albo komuś przyklasnąć, albo przychlastnąć. Czyli wyzwać od przychlastów. „Przychlastnąć” powinno być zatem obowiązuającym słownikiem przeciwieństwem „przyklasnąć”. Pochodne, lecz bardziej znane „schlastać” znaczy zresztą tyle, co „skrytykować”, „zmieszać z błotem” (a to wszystko od starego, potocznego „chlastać” – „bić, uderzać”). Można schlastać film, płytę lub książkę – a „chlastają” dziennikarze, i to nie tylko ci najmłodsi. W „Ruchu Teatralnym” (www.ruch-teatralny.pl) wyczytałem, że „Podróż do Reims” w Operze Narodowej „schlastał tylko Bogusław Kaczyński”. Ale w tym przypadku to nie „tylko”, tylko „aż”. Bo jeśli Kaczyński schlastał, to znaczy, że chlastać wypada, że uchodzi – w przeciwieństwie do uprawiania tej formy krytyki, jaką jest szafowanie słowem „przychlast”. Ktoś zresztą niedawno ogłosił w Internecie konkurs na największego przychlasta Małkini i okolic, ale zastrzegł, że ma być bez niecenzuralnych słów i obrażania kogokolwiek – i proszę, nie znalazłem tam jeszcze żadnych typów. Widocznie bez obrażania się nie da.

I jeszcze à propos „Wyczesanych słów” z 15. numeru „Przekroju”: grupa Jaja Bociana była oczywiście żartem primaaprilisowym. Wszystkie pozostałe grupy wymienione w tekście istnieją naprawdę. Co w sumie chyba bardziej zaskakujące, prawda?

bartek.chacinski@przekroj.pl

BIUROLIMPIADY

Co robią pracownicy, gdy do urlopu daleko, a niewykorzystana energia rozsada? Urządzają zawody sportowe w pracy

Kiedy w ubiegłym roku cały świat szykował się do olimpiady w Atenach, Colleen Chalfant, bibliotekarka z Biblioteki Głównej w Kent, postanowiła zorganizować sobie i kolegom z pracy własne Biurowe Igrzyska (Office Olympics). Nie była pierwsza. Już wcześniej w biurach w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, mniej lub bardziej po kryjomu przed szefostwem, pracownicy zamieniali swoje boksy w olimpijskie stadiony. Ale dopiero dzięki rozgłosowi, jaki akcji Colleen nadało BBC, Biurowe Olimpiady wypłynęły na szerokie wody.

Bieg po kanapki

Zabawy, także te sportowe, dla współpracowników nie są niczym nowym. Już od wielu lat przedsiębiorstwa próbowały w ten sposób rozbudzać w pracownikach lojalność w stosunku do pracodawcy i umiejętność pracy w grupie. Lecz czym innym jest drętwy firmowy piknik połączony z rzucaniem piłką, a czym innym szalone biegi przez boksy czy bitwy na krzesła.

Największą popularnością cieszą się sporty związane z najbardziej chyba biurowym urządzeniem – czyli z krzesłem. I tak mamy wyścig krzeseł (chairiot race), wiosłarstwo krzesełowe (chair rowing) – też w postaci wyścigu, tyle że nie można podczas niego wstawać. Jeżeli twoje krzesło nie ma kółek, ta jazda może się okazać naprawdę ekstremalna. Bitwy na krzesła (office chair battles) zamieniają biuro w arenę prawdziwej bitwy i pozwalają, podobnie jak niszczenie krzeseł (office chair destruction), rozładować wszelkie negatywne emocje. Zaś w hop przez krzesło (chair hop do) zasady są dziecinnie proste – skacze się techniką dowolną przez krzesła. Ale najciekawsze są chyba wymyślnie nazwane „biurowe moczary krzesełowe” (office chair swamp) – tu zawody polegają na jak najszybszym pokonaniu „bagna” stworzonego z krzeseł.

Wiele zadań ma swoje korzenie w codziennej pracy. Kanapkowe wyzwanie (sandwich challenge) wygrywa ta osoba, której uda się

najszybciej dostać do pana/pani z kanapkami i wrócić z kanapką w najlepszym stanie. Skok w dal przez kosze (trash can long jump) wygrywa ten zawodnik, który przeskoczy największą liczbę koszy postawionych obok siebie bez wywrócenia ich zawartości. Polowanie na zszywacze (staple chase) sprawdza zręczność i szybkość w celu zebrania wszystkich zszywaczy z biura. Zaś bieg przez boksy (cubicle hurdles) jest wprawką, na wypadek gdyby kiedyś przyszło nam między nimi uciekać niczym Neo w „Matriksie”.

Księgowi odchodzą ostatni

Jak się okazuje, najbardziej skłonni do ryzykują są... księgowi. To oni stworzyli stronę www.extreme-accounting.com, a nawet zorganizowali dwie wyprawy Księgowych Jej Królewskiej Mości na biegun południowy. Są także (podobno) twórcami coraz popularniejszych zawodów w KWO, czyli Kogo Wyrzuci Ostatniego. Pracownicy ustalają listy zadań, za wykonanie każdego przyznawane są specjalne punkty. O całej zabawie nie mają prawa nic wiedzieć szefowie. Jeden punkt można dostać za takie osiągnięcia, jak:

- zignorowanie pierwszych pięciu osób, które przywitają się z tobą w pracy;
- zostawienie swojego rozporka otwartego przez godzinę – a za każdym razem, gdy ktoś zwróci ci uwagę, odpowiadanie: „Przepraszam, ale muszę go trochę przewietrzyć”.

Trzema punktami są nagradzane takie czynności, jak:

- powiedzenie do szefa: „Lubię twój styl”, i pstryknięcie na niego palcami;
- przyklęknienie przy butli z wodą i picie bezpośrednio z kraniku.

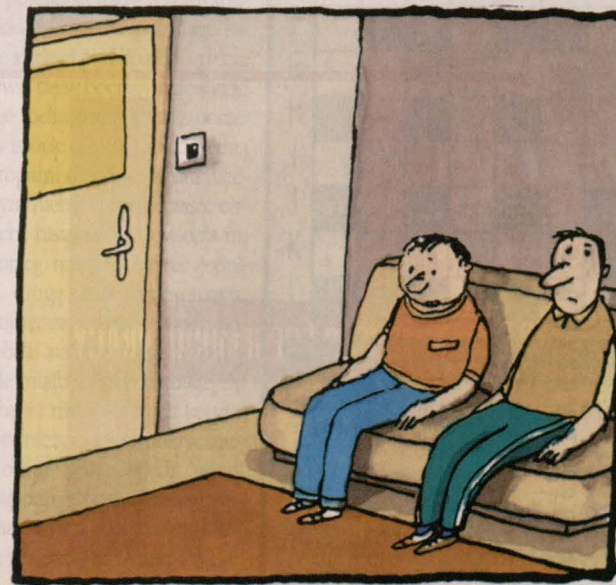
Pięć punktów zaś można otrzymać za:

- zaproponowanie pod koniec zebrania wspólnego odśpiewania hymnu narodowego – plus dodatkowe punkty za jego zaśpiewanie (bezbłędnie!);
- zwracanie się (przez godzinę) do każdej osoby, z którą rozmawiasz, per „koleś”;
- padnięcie na kolana podczas lunchu i krzyknięcie: „Bóg jest mym Panem i nigdy już nie będę głodny”;
- przyjście do pracy w mundurze wojskowym, a na pytania, dlaczego jest się tak ubranym, odpowiadanie: „Nie mogę o tym rozmawiać”.

Reszta zasad jest banalnie prosta: wygrywa ten zawodnik, który po tygodniu ma największą liczbę punktów i nie został wyrzucony z pracy.

SYLWIA CZUBKOWSKA

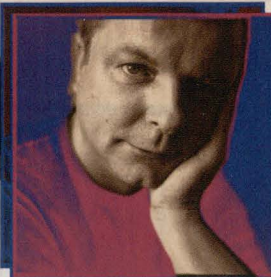
raczej RACZKOWSKI



WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

KULINARNE PIÓRO POLSKI

Zniecierpliwienie



TADEUSZ PIÓRO

Z dnia na dzień zazieleniły się parki i ogrody, lecz na straganach warzywnych wiosna nie wywarła większego wrażenia. Nie wiem, jak długo jeszcze przyjdzie nam czekać na rodzime nowaliki – zniecierpliwiony postanowiłem ostentacyjnie pożegnać warzywa zimowe. Selery, buraki, nawet ziemniaki, choć w ich przypadku poszedłem na ustępstwo, kupując młodsze sztuki, zwane niekiedy sałatkowymi (z ziemniakami młodymi nie mają one nic wspólnego, mimo iż pod tą nazwą bywają sprzedawane). Właśnie z takich ziemniaków skleciłem zapiekankę o smaku, który nie wszystkim będzie miły – lecz odważnym polecam to danie jak najgoręcej.

Ziemniaki należy obrać, pokroić wzdłuż na plastry półcentymetrowe i zanurzyć w zimnej wodzie na kwadrans. Ilość plasterów trzeba dostosować do powierzchni formy, w której będziemy je zapiekać – ma być tylko jedna warstwa. Podaję proporcje na trzy czwarte kilograma ziemniaków. Kiedy ziemniaki są w kąpieli, przyrządzamy sos: rozgrzewamy na małym ogniu dwie łyżki oliwy i tyleż masła, podsmażamy w nich dwa drobno posiekane ząbki czosnku, a po minucie dodajemy 10 filetów anchois oplotkanych z oliwy i drobno posiekanych, odrobinę świeżego rozmarynu oraz szczyptę ostrej, suszonej papryki w płatkach. Po minucie zdejmujemy patelnię z ognia i wylewamy jej zawartość na osuszone ziemniaki, mieszając delikatnie, acz dokładnie. Dodajemy 200 mililitrów kremówki i dwie łyżki utartej parmezanu, sól oraz pieprz. Zamiast kremówki można użyć sera mascarpone – wówczas wymieszane z czosnkowo-sardelowym sosem ziemniaki układamy w formie, posypujemy parmezanem i na każdym plasterku kładziemy odrobinę mascarpone. Formę zawijamy w folię aluminiową i pieczemy w tempera-

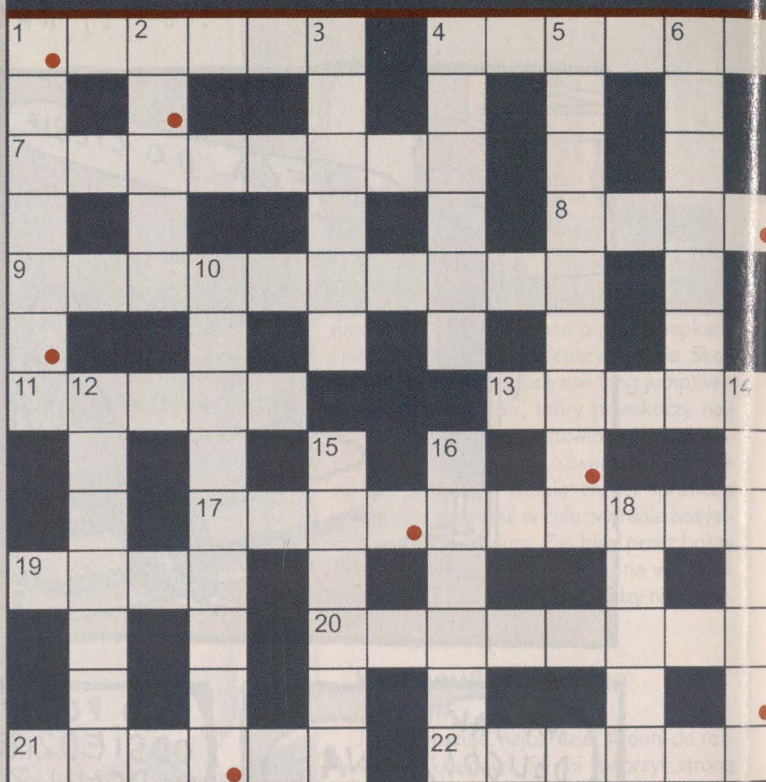
turze 200 stopni przez pół godziny. Następnie folię zdejmujemy, ziemniaki przewracamy na drugą stronę, posypujemy dwiema łyżkami posiekanej natki pietruszki i dodatkową łyżką parmezanu i zapiekamy jeszcze kwadrans, aż się ślicznie zrumienia.

Połączenie słodkiej śmietanki z czosnkiem, ostrą papryką i sardelami idzie wbrew przyzwyczajeniom smakowym uśrednionego Polaka. Jednak jest to połączenie znakomite, zwłaszcza jeśli towarzyszy delikatnej pieczeni ciełej marynowanej przez dobę w mleku i liściach laurowych, tak samo potraktowanemu schabowi bądź rybm morskim, na przykład dorszowi.

Dzięki pieczonemu korzeniowi selera mija zniecierpliwienie ślamazarnością przyrody jadalnej. Trzeba go obrać i pokroić na dwucentymetrowej grubości plastry, które obtaczamy w oliwie z dodatkiem drobno posiekanego czosnku i świeżego tymianku. Wszystkiego powinno być dużo – i oliwy, i tymianku, i czosnku, a dodatkowo – pieprzu i morskiej soli. Zapiekamy seler w temperaturze 225 stopni w formie owiniętej w folię aluminiową przez 15 minut. Następnie folię zdejmujemy, plastry przewracamy na drugą stronę i pieczemy jeszcze 20 minut. Do tak przyrządzonego selera idealna jest pieczona wołowina – antrykot lub polędwica. Kto ma termometr do mięs – a nie jest to drogi gadżet – może piec wołowinę w temperaturze 75 stopni tak długo, aż jej wewnętrzna temperatura wyniesie 52 stopnie. Wówczas należy mięso wyjąć z piekarnika, dać mu poleżeć przez pół godziny i tuż przed podaniem wrzucić na gorące, sklarowane masło, po trzy minuty na stronę. Konsystencja wołowiny tym sposobem pieczonej będzie miłą niespodzianką. ■

www.przekroj.pl/pioro

KRZYŻÓWKA nr 19



POZIOMO:

1. KSIĄŻKA O POCIĄGU
4. POD MUŁEM
7. SKRZYNIA ZBIEGÓW
8. WIE, CO DOBRE
9. WIE, CO ZŁE
11. FRYZJER
13. NA GWOŹDZIU
17. ZNIKAJĄCA KSIĄŻKA

19. OBOK WARKI

20. PRZYSZŁOŚĆ PANNY
21. KIJ BIL
22. ZĄB

PIONOWO:

1. KRÓLESTWO PANA KLEKSA
2. 2 + 2 = 3
3. SKĄPIEC MOLIERA

4. POD MUŁEM

5. OCZKO WODNE
6. NIEMIEC W MALBORKU
10. KOLEŻANKA LANDARY
12. KRZYSZTOF AGD
14. STRUPEK
15. BLISKI DALEKO
16. NIECHĘĆ POLAŃSKI
18. SŁUŻY W MARYNARCE

LITERY Z OZNACZONYCH PÓŁ CZYTANE POZIOMO UTWORZĄ WYRAZ-ROZWIĄZANIE.

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 14 nagrody wylosowali: Urszula Bargiel, Będzin; Franciszek Bywalec, Katowice; Janina Flaga, Ostróda; Jacek Grubizna, Ziębice; Helena Kamińska, Pisarzowice; Bartłomiej Makowiecki, Kraków; Ryszard Paciejewski, Elbląg; Magdalena Tarasiewicz, Warszawa; Irene Woroszczuk, Warszawa; Janusz Woźniak, Bystrzyca Kłodzka. **Gratulujemy!**

„Przekrój”, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem Krzyżówka 19 lub Jolka 19

GRUPA TWOŻYWO

BEZSENS I HEGEMONIA PRACY

WWW.TWOZYWO.PL

WINNY

BIEŃCZYK

Krzewiciel odpuszcza

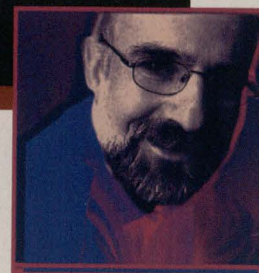
Na korytarzu mijam się z panią Duszką i pani Duszka mówi: – No dobrze, ale dlaczego nie pisze pan nigdy o winie z porzeczek? – Bo to nie jest wino – odpowiadam prawidłowo – widzę, że pani Duszka marszczy czoło i już ma mnie dosyć. – Bo nigdy nie miałem babci – drapię się namysłem w głowę i odpowiadam tym razem zgodnie z prawdą. – Ani jednej, ani drugiej.

Obie odpowiedzi są sprzeczne i obie mają swoje racje. Odpowiedź prawidłowa przyjmuje za wytyczną europejskie ustawodawstwo i ma tę zaletę, że udeżyca w naszą przekłętą narodową przypałość, jaką jest nazywanie winem wszelkiego produktu winopodobnego, a już zwłaszcza wina marki wino, czyli wyciągu z jabłek i siarki, który niszczył i nadal niszczy polskie wątroby i obniża polskie IQ bez względu na panujący strój polityczny i stosunek złotego do dolara. Jako tak zwany krzewiciel kultury wina nie mogę zgodnie z brukselską dyrektywą, ale i własnym rozumieniem rzeczy nazywać winem czegoś, co nie powstało z gron winorośli, pod karą brukania własnego sumienia i ośmieszenia własnego imienia. Odpowiedź prawdziwa dotyka zaś sedna sprawy, czyli szlachetnej, przekazywanej z pokolenia na pokolenia tradycji wytwarzania napitków z owoców polskiego sadu. Kto nie siedział pod lipą czy gruszą, nie wpatrywał się w bociany i nie sączył z babciniego kieliszeczka wina z porzeczek, ten w istocie nie wie, po co ziemia pod jego stopami obradza i w jakim celu po naszym niebie suną pierzaste obłoki. Niestety, historia nie dowiodła mi babci na brzeg mego istnienia; jedną rozstzelali, drugą trafili w powstaniu, a ponoć – ojciec zapewniał – wina z porzeczek robiła nadzwyczajne. Gdyby przeżyły, nie miałbym pewnie takiej do niego niechęci i nie byłbym na korytarzu taki zasadniczy i kosmopolityczny.

– Jak to nie wino, kiedy wino! – oburza się pani Duszka i ma w pełni rację, choć jej nie ma wcale. – Robię pyszne wino z porzeczek.



*Revelacyjny riesling
Neuberg 2003
od Wieningera,
najlepszego winiarza
spod Wiednia,
około 63 złotych*



MAREK BIEŃCZYK

Głęboko w to wierzę, przymilam się, proszę o buteleczkę i czuję nagle głęboką tęsknotę za tym, co się nie zdarzyło, za pannami z Wilka, za tym całym geniuszem polskich babci i ciotek, którego nie poznałem, za tymi wszystkim polskimi cudami, nie wyłączając pierogów z wiśniami. Nigdy ich nie jadłem.

– Z kaszy jaglanej też się robiło wino, w latach 50. – informuje mnie pani Duszka. – Bardzo nam smakowało. – Krzywię się jako krzewiciel, ale przypominam sobie moich sąsiadów, którzy w stanie wojennym na-

warzyli mnóstwa wina – tak to nazywali – z ryżu. Do dzisiaj butelki z białawą cieczą walają się w mojej piwnicy, nawet złodzieje po szybkim rozpoznaniu zawartości wzgardzili produktem. Częstowaliśmy nim francuskich anarchistów, którzy przyjeżdżali wspierać podziemną Solidarność; pili dzielnie, a potworny ból głowy, jaki wywoływał najmniejszy łyk specyfiku, przypisywali ogólnie niezwykle duchowi polskiego oporu, któremu swym cierpieniem starali się sprostać. – Pani Duszko – wołam poruszony wspomnieniem koszmarnego migreny – porzeczkowe, błagam, tylko porzeczkowe.

– Co porzeczkowe? – pani Duszka punktuje bezlitośnie.

– No... wino... wino porzeczkowe – cedzę przez ściśnięte usta krzewiciela. – Wino! Prawdziwe wino porzeczkowe! I, gdyby się dało, pierogi z wiśniami. ■

www.przekroj.pl/bienczyk

JOLKA nr 19

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

K11 _ E2 _ D3 _ / D12 _ F10 _ G13 _ H2 _ L7 _ B13 _ / A10 _ A4 _ H7 _ / J4 _ J9 _ / H12 _ A12 _ D6 _ K5 _ C2 _ L10 _ J12 _ .



Rozwiązanie jolki nr 16: PATRZĘ W NIEBO, GWIAZD SZUKAM, PRZEWODNICZEK ŁODZI (ze „Stepów Akermanskich” Adama Mickiewicza)

Rzędami: dobosz, szyćgar, bawół, zakrystia, szarm, pośpiech, akcent, pletwy, fontanna, Lucas, tekściarz, zabór, piastun, prosba.

Kolumnami: populizm, działo, ceber, hydropatka, struś, szeryf, drut, kępa, harnaś, bobas, Zachariasz, sówka, nerwus, kłamstwa.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 14 nagrody wylosowali: Renata Banaszewska, Poznań; Robert Ejsmont, Gdańsk; Anna Galka, Mielec; Wiktor Gilas, Legnica; Agnieszka Majewska, Łódź; Anna Mazurek-Rakowicz, Wrocław; Krystyna Michalik-Stokłosa, Tarnowskie Góry; Janina Ozdowa, Płock; Romuald Pohl, Zduńska Wola; Wojciech Wróblewski, Warszawa. **Gratulujemy!**

WYRAZY 8-LITEROWE:

- namiastka na ławę
- estrada ogarka
- błędnik w opalach
- tytanki dopilnowanka
- nie ma salaty na raty za łaty
- ułamek zza pazuchy

WYRAZY 7-LITEROWE:

- będzie na kolacze
- ma gada i obada
- trabant dla tropiciela
- solidna porcja Wielkiego Postu

WYRAZY 6-LITEROWE:

- na głowie przyjaciela wczasowicza

- w kochbuchu ślimaka
- igły proszą nitki
- mister orok
- na pewno nie harcerz
- przekąs mandoliny
- białas bez towarzystwa
- kuma muła
- kolebka Boney M
- Najsztub pyta Bonda
- najwrażliwsza przyimków fuzja

WYRAZY 5-LITEROWE:

- zdrowie ćpuna
- ostrze do sztuki
- niejednemu kapeluszuwiśnierz
- zgryz dumy

Rozwiązania możesz teraz przesłać szybciej i taniej SMS-em! Wyślij SMS-a o treści PRKK.HASŁO KRZYŻÓWKI lub PRKJ.HASŁO JOLKI na numer 7135 (netto: 1 zł; brutto: 1,22 zł/SMS). Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 15 maja nadesłają prawidłowe rozwiązanie jolki lub krzyżówki za pomocą SMS-a lub na kartkach pocztowych (decyduje data stempla), rozlosujemy 20 książek Jilliane Hoffman „Odwet” (Świat Książki).

Dzień dobry. Czy rozmawiam z kandydatem na prezydenta?

– Nie, skądże. Kandydatem na prezydenta jest ten, kto wyraził chęć kandydowania i jest umieszczany w sondażach.

Nie tylko.

– No dobrze. Nie wyraziłem chęci kandydowania. Wstrzymuję się z tą decyzją.

Na razie?

– Po prostu wstrzymuję się z tą decyzją.

Ale partia, do której zresztą pan należy, Ruch Odrodzenia Gospodarczego, wysunęła pana kandydaturę. Jak mam to rozumieć?

– Jako ich życzenie. Podobna dyskusja o moim ewentualnym kandydowaniu toczy się również w „Trybunie”.

I w części SLD.

– Coś słyszałem, ale oficjalnie nic na ten temat nie wiem.

Czyli wygląda to tak, że partia pana zgłasza, ale pan się zastanawia.

– Na razie zgody nie wyraziłem, to prawda. Ale ponieważ żyjemy w demokratycznym kraju, więc dziennikarze mogą na ten temat dywagować, zwłaszcza gdy dotyczy to osób publicznych i nie narusza to ich dóbr osobistych.

A wręcz przeciwnie. Mówi pan: „Na razie nie wyraziłem zgody”. Kiedy pan podejmie decyzję?

– Sytuacja polityczna jest płynna, gorący okres przedwyborczy, dyskusje, jedne partie tracą, inne zyskują. Musiałoby się stać coś naprawdę nadzwyczajnego, abym zgodę wyraził.

Ale na przykład co?

– Gdy w kraju dzieje się bardzo źle, to patriotycznym obowiązkiem jest działanie. Jeśli tak było i opinia publiczna by mnie wezwała, to wówczas pewnie musiałbym się zgodzić. Ale na razie nie widzę takiej potrzeby. Wszystko w Polsce idzie w dobrym kierunku, wszystko – z wyjątkiem tej rozhuśtanej sceny politycznej.

Rozhuśtana to jest przede wszystkim lewica.

– Tak, lewica wciąż szuka dobrego kandydata.

A Marek Borowski, który już zadeklarował, że wystartuje, to dobry kandydat dla lewicy?

– Wie pani co, ten podział na lewicę, to powstanie SdPi, to był właśnie przedsmak tych przedwyborczych ruchów podjazdowych. Oczywiście nie jestem entuzjastą tego, co się dzieło w SLD, ale nie wolno zapominać,

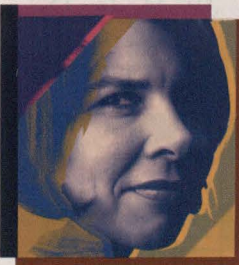


PROFESOR
ADAM GIERK,
EURODEPUTOWANY,
SYN EDWARDA GIERKA

Fot. Paweł Terlikowski/Forum, Piotr Malecki/Newsweek Polska/Forum

LEPSZE JUTRO BYŁO WCZORAJ

JAK OCENIA
KANDYDATÓW
NA PREZYDENTA
I CZY SAM BĘDZIE
KANDYDOWAŁ?
– ADAMA GIERKA
PYTA



KATARZYNA
KOLENDA-ZALESKA
„FAKTY”, TVN

że gdy lewica doszła do władzy, czekała na nią ogromna dziura budżetowa do załatwienia. Teraz nikt już nie pamięta o warunkach, w których Sojusz zaczynał rządzić.

Czyli Marek Borowski nie. To kto?

– Ten, który nie jest wciągnięty w wewnętrzne polityczne i partyjne rozgrywki, który ma świetne rozeznanie w świecie, w Unii Europejskiej czuje się znakomicie, umie współpracować z innymi krajami, a na dodatek ma lewicowe poglądy gospodarcze.

Wypisz, wymaluj Cimoszewicz.

– Ha, ha. Nie chcę operować nazwiskami. Mówię o kandydacie idealnym.

A Lepper? Pan go chyba ceni?

– Powiem pani, że pan Andrzej jest trochę obrzydzonym przez niesprzyjające mu media.

Obrzydzonym? Ja myślę, że niektóre jego działania mogły go wszystkim obrzydzić.

– Samoobrona miała parę wpadek, to prawda. Te Klewki! Toż to kompromitacja była. Ale osobiście pan Andrzej jest człowiekiem oddanym i bardzo patriotycznie nastawionym. Ja w ogóle uważam Samoobronę za ugrupowanie lewicowe.

A opozycja i Lech Kaczyński, który wygrywa w sondażach?

– No wie pani, te propozycje powrotu do kary śmierci, to odrzucenie wszystkiego, co było, całej przeszłości. Buta, powiem pani. Przecież nie da się skreślić całej historii Polski, tych 50 lat

w PRL-u. Czy wszyscy teraz spadliśmy z księżycy, a wcześniej nas tu nie było?

Z pewnością nie wszyscy. Pan na pewno nie. Bracia Kaczyńscy mówią o konieczności zerwania z III RP i tworzenia IV RP. A panu to przypadkiem nie marzy się powrót do II RP?

– Niech pani nie przesadza. Historia nie zna cofania się. Trzeba zawsze iść do przodu. I wcale nie jestem entuzjastą powrotu do tego, co było, do tej gospodarki centralnie sterowanej. Ale wtedy innych możliwości nie było. Geopolityka, proszę pani. Nie dało się inaczej. A teraz musimy dążyć do społecznej gospodarki rynkowej. Społecznej, bo rynek nie może być wyłącznym regulatorem wszystkiego. I jeszcze powiem, że jestem bardzo dumny z naszej akcesji do Unii Europejskiej, więc gdzie tu mówić o powrocie do przeszłości?

Ale pana partia dąży do „rehabilitacji polityki kredytowej PRL-u z lat 70.”. Co tu rehabilitować? Kredyty zaciągnięte przez pana ojca spłacamy do dziś.

– A tu się pani myli. I właśnie o to nam chodzi, żeby ludzie nie powtarzali tych beczelnych kłamstw, że wszystkiemu winny Gierk. Kredyty zaciągali wtedy wszyscy. Polska też. I nie były to błędne decyzje. Jak się rozwijało budownictwo mieszkaniowe, 500 wielkich zakładów powstało, a ile starych zmodernizowano! Te kredyty, niech pani to wie, nie zostały przejęte. Pani powtarza kłamstwa komunistycznej propagandy lat 80. Na Gierka chcieli zrzucić całą winę, chcieli go pognać, że z Zachodem się bratał. Musimy walczyć o prawdę historyczną i rehabilitację tamtych decyzji, bo proszę pani, wtedy naprawdę dbano o człowieka. Nie tak jak teraz, gdy takie nożyce są w zarobkach ludzi, jedni opływają w bogactwa, a drudzy żyją w nędzy. Człowiek, proszę pani, jego dobro było najważniejsze.

Wie pan co? Jak tego słucham, to mnie się nóż w kieszeni otwiera. Radom 1976 roku i „ścieżki zdrowia” dla opozycji to też wymysł komunistycznej propagandy lat 80.?

– To wszystko wymaga dokładnych studiów historycznych. Wobec mojego ojca istniała ogromna opozycja wewnątrzpartyjna, której zależało na wywoływaniu niepokojów. Minie wiele lat, żeby cała prawda wyszła na jaw.

Jeśli pan wystartuje, to będzie pan miał okazję, aby to wszystko wyjaśnić po swojemu, ale teraz dziękuję za rozmowę.

PRAWDZIWE KOLORY PRAWDZIWA POMOC SAMSUNGARTMASTER AUKCJA CHARYTATYWNA OBRAZÓW 22 MAJA 2005 ROKU NIEDZIELA GODZINA 16:00 STARA POMARAŃCZARNIA ŁAZIENKI KROLEWSKIE

**CAŁKOWITY DOCHÓD Z AUKCJI
ZOSTANIE PRZEKAZANY
UZDOLNIONYM PLASTYCZNIE
DZIECIOM Z DOMU DZIECKA
W BOCHNI.**

Ministerstwo Kultury
Rzeczypospolita Polska

fundacja przyjaciół

radiostacja

diaczego

EXIT

WIK

VIVA!

artinfo.pl

wp.pl

Business Centre Club

SAMSUNG

Electronics Polska

Najszczęśliwsi
Boga
można
wymazać.
Na papierze.

Flakru Brzóska Miłość

Broni Larwa
Komara
Chociaż brudna
I stara

Rys. MASLIN/NEW YORKER



– Znęczyła nas zabawa. Chcemy trochę popracować.

TOFO
TOFO
TOFO



Fot. PATRYCJA KUHN

Rodzina Obłych

Intrygująca
książka

Syn Obły czyta
książkę, od której nie
może oderwać wzroku.

Gdy zasypia po
kilkunastu godzinach
czytania, pani Obła
wymijuje mu książkę
z dłoni. Przygląda się
okładce, odczytuje tytuł
i zagląda na pierwszą
stronę. Po stronie
pierwszej przychodzi
strona druga, a po niej
następne. Tak jest

porządek stron i nic go
nie zmieni. Dlatego pani
Obła czyta książkę
strona po stronie. Każda
kolejna strona coraz
bardziej ją zniewała.
Obła chciałaby przestać
czytać, ale nie przestaje.

– Czytaj dalej – pogania
ją pisarz.
On tę książkę napisał
i teraz zmusza
wszystkich do czytania.

Patryk Pajk

SONG

BARBARZYŃCÓW

W pierwszą rocznicę akcesji...
(na melodię ludową
„Ouu, Ela, straciłaś przyjaciela”)

Podobno wcale się nie broniłaś,
gdy Zeus dobrał ci się do cnoy,
a w nas jest taka moralna siła,
że starczy nawet na dwie Europy!

Więc lepiej bój się, Unio zmurzała,
bo my som Winkleriedem narodów
i jak idziemy, to już na całość,
a jak pijemy, to zawsze do spodu!

Ouu, Unia!

Nie zrobisz ty nas w kónia!
Nie po tośmy tutaj leżli,
by dać się oszwać i zeżyć!

Ouu, Unia!

Szykuj nom olet pecunia
za naszą niewolę, kajdany,
za kraj nasz czymś tam zbryzgany!
Ty nie rób z nas durnia,
płać money (czyt. many)!!!

KINO

Blżej
Horror miłosny
Wstępują: 2 KOBIETY
& 2 MĘŻCZYZN

Przenka
Jurka

„każdy z każdym”, tonąc przez półtorej
godziny w banałach i potwornym wielośłowiu).
Uwaga, drastyczne sceny! Bohaterowie toną
w banałach i wielośłowiu w sposób nad wyraz
realistyczny! Osoby nieletnie wpuszczane
będą na salę wyłącznie pod opieką rodziców!

THE END (Malo krzepiący).
KURTYNA (Nieumiejętnie pocerowana
przez niewykwalifikowane
pracownice działu konserwacji)

Fraszka
maturalna
Jan Gross

On i Fredro
Taka mu ostatnio
Myśl w głowie wciąż świta:
Zemści się na Fredrze
„Zemsty” nie przeczyła.



19
MINUTE
Długi weekend
(podsluchane):
– Długi.
KRZYSZTOF PĘTYA